

ZESZYT STO SZESNASTY

ZESZYTY HISTORYCZNE

**INSTYTUT
PARYŻ**



LITERACKI

1996

ZESZYT STO SZESNASTY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1996

BIBLIOTEKA «KULTURY»
TOM 494

ISSN 0406-0393
ISBN 83-86907-06-1

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

Wydanie krajowe:
Towarzystwo Opieki nad Archiwum
Instytutu Literackiego w Paryżu
02-103 Warszawa, ul. Hankiewicza 1, pok. 0103

Czesław BRZOZA

ZAPOMNIANA ARMIA. POLSKIE ODDZIAŁY WARTOWNICZE W EUROPIE (1945-1951)

Dzieje Polskich Sił Zbrojnych znane są stosunkowo dokładnie. Poświęcono im dotychczas dziesiątki opracowań monograficznych i setki artykułów w historycznych czasopismach naukowych. Niewiele natomiast wiadomo o Oddziałach Wartowniczych, polskiej formacji istniejącej znacznie dłużej niż regularna armia polska. W literaturze naukowej znajduje się jedynie kilka ogólnikowych wzmianek na ich temat. Trochę więcej miejsca poświęcili im jedynie Krystyna Kersten i Wiesław Hładkiewicz¹. W obu przypadkach zamieszczone informacje są jednak bardzo powierzchowne i w większości niezupełnie ścisłe. Znacznie więcej wiadomości znajduje się w księdze pamiątkowej Oddziałów Wartowniczych, opublikowanej przed czterdziestu laty², w której jednak ze zrozumiałych względów zabrakło wielu istotnych danych.

Należy także zaznaczyć, że wymieniona w tytule końcowa

1. K. Kersten, „Repatriacja ludności polskiej po II wojnie światowej”, Studium historyczne, Wrocław-Warszawa-Kraków-Gdańsk 1974; W. Hładkiewicz, „Polacy w zachodnich strefach okupacyjnych Niemiec 1945-1949”, Zielona Góra 1982.

2. „Dziesięciolecie Polskich Oddziałów Wartowniczych przy Armii Amerykańskiej w Europie 1945-1955”, Mannheim 1955.

cezura czasowa nie odnosi się do istnienia tej formacji w ogóle, bowiem w zmienionej formie, jako oddziały techniczne i pomocnicze, istnieją one po dzień dzisiejszy. Nie są już jednak skoszarowane i uzbrojone, zatraciły także swój polski charakter, chociaż Polacy służą w nich w dalszym ciągu. W roku 1986, według informacji płk. J. Tomaszewskiego, ówczesnego dowódcy, pracowało w nich jeszcze ok. 1100-1200 Polaków. Lepiej chyba zorientowany w tej kwestii ks. K. Latawiec, etatowy kapelan oddziałów, szacował wówczas ich liczbę na 600-700 osób³.

O powstaniu Oddziałów Wartowniczych przy Armii Amerykańskiej zdecydowały dwa czynniki: tradycje i potrzeby wojsk amerykańskich oraz obecność w Niemczech Zachodnich milionowej społeczności polskich dipisów, rekrutujących się z armii robotników przymusowych oraz jeńców wojennych i więźniów obozów koncentracyjnych. Stany Zjednoczone były krajem, w którym w czasie pokoju nie znano przymusowej służby wojskowej. Starano się też w nich ograniczać do niezbędnego minimum liczebność wojska. Chętnie natomiast posługiwano się personelem pomocniczym, którego utrzymanie na ogół kosztowało znacznie mniej niż oddziałów regularnych. Zazwyczaj też wszędzie tam gdzie to było możliwe starano się tworzyć formacje znane pod nazwą „Labor Service” (Służba Pracy). Ich zadaniem było przeważnie wykonywanie pomocniczych prac technicznych, a czasami także pełnienie służby wartowniczej. Druga wojna światowa nic w tym względzie nie zmieniła⁴.

Przygotowania do formowania oddziałów „Labor Service” podjęto już w 1944 r. na terenie Francji. Jesienią tego roku płk Janusz Iliński, reprezentujący polskie władze wojskowe, podpisał w Wersalu ogólnikową umowę z dowództwem amerykańskim w Europie, przewidującą tworzenie we Francji i Niemczech polskich oddziałów pomocniczych z wyzwalanych na tych terenach jeńców wojennych i robot-

3. Relacja J. Tomaszewskiego z 25 III 1986; Informacja ks. K. Latawca z 15 IV 1986.

4. W. Ryłko, „Rok 1948 w Oddziałach Wartowniczych”, *Ostatnie Wiadomości*, nr 14, 4 II 1949; W. Zaleski, „Trudną drogą” [w:] „Dziesięciolecie...”, s. 20.

ników przymusowych. Szczegóły umowy nie są znane, nie wiadomo też jak liczne miały być te oddziały. Przewidywano w niej jednak uposażenie do stopnia generała brygady. Musiano więc zakładać istnienie dużych zgrupowań⁵.

Pierwsze bataliony powstały we Francji pod koniec 1944 r. lub na początku roku następnego. Pierwszy znany raport Kwatery Głównej Alianckich Sił Ekspedycyjnych z 7 IV 1945 r. wspomina o 15 jednostkach, z których część określano jako polskie lub w przeważającej części polskie. Dwa miesiące później w Niemczech i Francji służyło w oddziałach „Labor Service” ponad 40 tys. dipisów, w tym prawie 21 tys. Polaków⁶.

W miarę posuwania się w głąb Niemiec zapotrzebowanie armii amerykańskiej na formacje pomocnicze coraz bardziej rośnie. Szczególnie mocno odczuwano brak ludzi do strzeżenia powstających masowo składów wojskowych, zabezpieczania zdobywanych magazynów niemieckich oraz obsadzania załóg coraz liczniejszych obozów jenieckich. Zakończenie działań wojennych tylko w niewielkim stopniu poprawiło sytuację. Żołnierze potrzebni byli na Dalekim Wschodzie, a ponadto wielu z nich chciało po prostu wrócić do domu. Dowódcy 7. i 3. armii amerykańskiej wydali wówczas polecenie upoważniające dowódców niższych szczebli do formowania oddziałów Labor Service, mających uzupełnić powstające luki.

Na przełomie marca i kwietnia 1945 r. zaczęto organizować w Niemczech pierwsze kompanie i bataliony. Główne ośrodki rekrutacji i formowania oddziałów znajdowały się w Mannheim-Käfertal, Langwasser pod Norymbergą, Winzer i Darmstadt. Jednostki te tworzone z dotychczasowych jeńców wojennych i robotników przymusowych. Kadra oficerska pochodziła przede wszystkim z oflagu Dössel w strefie brytyjskiej, Murnau w Bawarii oraz obozu Ingolstadt, w którym znalazły się resztki oficerów z Murnau. Odrębne

5. Zamiary tworzenia dużych jednostek Oddziałów Wartowniczych podtrzymywano do jesieni 1945 r., por. *Memorandum for Polish Mission (G-5 Section) Headquarters Third US Army* z 25 IX 1945, zbiory Instytutu i Muzeum W. Sikorskiego, sygn. A XII 90/6.

6. Raporty tygodniowe SHAEF z 16 IV i 27 VII 1945, Zbiory Instytut für Zietgeschichte w Monachium (dalej: IfZ), sygn. Fi 01, s. 70 i 295.

miejsce zajmował obóz w Marsfeld pod Norymbergą, który stał się bazą rekrutacyjną i szkoleniową Brygady Świętokrzyskiej NSZ. Jednostka ta, po dotarciu do Niemiec, została we wrześniu 1945 r. przekształcona w oddziały wartownicze przy 3. armii amerykańskiej. Kompanie powstające w Marsfeld, a następnie w Fürstenfeldbrück, nosiły miano brygadowych, a swą odrębność podkreślały m.in. znakiem jaszczurki na prawym rękawie. Latem 1946 r. wszystkie drobniejsze ośrodki rekrutacyjne uległy likwidacji. A ich miejsce zajęło utworzone wówczas Centrum Wyszkożenia i Rekrutacji im. T. Kościuszki w Mannheim-Käfertal⁷.

W pierwszym okresie formowania Oddziałów nie istniały jednolite przepisy centralne, które regulowałyby zasady organizacji, wyposażenia, zakres obowiązków itp. Inicjatywa spoczywała w rękach lokalnych dowódców, którzy w zależności od występujących potrzeb formowali, a właściwie wydawali polecenie formowania oddziałów mających wykonywać konkretne zadania. Zazwyczaj wyglądało to tak, że w najbliższym oślagu zwracano się do polskich oficerów i zlecano im organizowanie oddziału. Amerykanie troszczyli się jedynie o umundurowanie, uzbrojenie i zaopatrzenie, natomiast zasady organizacyjne były oparte na polskich wzorach, jedynych jakie znali oficerowie. W dowodzeniu oddziałami wartowniczymi od początku istniała swoista dwutorowość. Kompanie, jak to już wspomniano, powstawały według czysto polskich schematów organizacyjnych. Podlegały one bezpośrednio tzw. kompanii nadzorczej, składającej się na ogół z oficera i kilku podoficerów amerykańskich. Kilka kompanii, odpowiednik polskiego batalionu, tworzyło tzw. Centr, podlegający Ośrodkowi Nadzorcemu, obsadzonemu przez oficerów amerykańskich. W rzeczywistości Amerykanie ograniczali swe zainteresowanie jedynie do załatwiania najistotniejszych spraw bytowych i zaopatrzeniowych. Bardziej znaczącą funkcję spełniali tam polscy oficerowie łącznikowi,

7. W. Zaleski, „Trudną...”, s. 26; Z. Siemaszko, „Narodowe Siły Zbrojne”, Londyn 1982, s. 164, 169; Cz. Brzoza, „Brygada Świętokrzyska. NSZ w Niemczech po zakończeniu II wojny światowej”, „Sprawozdania z Posiedzeń Komisji Naukowych Polskiej Akademii Nauk”, T. XXXII/1, Kraków 1990, s. 22-23.

zazwyczaj w stopniu majora. Ponadto utworzono Główną Sekcję Łącznikową, która stanowiła najwyższą władzę na szczeblu istniejącego przy dowództwie Armii Okręgu Nadzorczego lub wydzielonego rodzaju sił zbrojnych, np. lotnictwa⁸.

Pierwszy, żywiołowy okres formowania Oddziałów Wartowniczych i Oddziałów Pracy zakończył się jesienią 1945 r. Liczyły one wówczas ok. 24 tys. osób, z czego prawie 85% stanowili Polacy. Na wniosek majora Leopolda Koziembrodzkiego, polskiego oficera łącznikowego przy Armii Stanów Zjednoczonych, powołano do życia Główną Sekcję Łącznikową, która ustalała warunki służby, koordynowała akcję uzupełnień, tworzenia i szkolenia nowych jednostek. Rozpoczęła ona działalność 3 XI 1945 r., a na jej czele stanął płk Franciszek Sobolta, dowódca 62. pp w czasie kampanii wrześniowej, więzień Murnau. Siedziba Sekcji znajdowała się przy dowództwie 7. armii w Heidelbergu. Podlegały jej też oddziały zajmujące się bądź formowane na obszarze okupowanym przez tę armię. W Bad Tölz w Bawarii, przy siedzibie dowództwa 3. armii, utworzono w tym samym czasie odrębny Okręg Nadzorczy. Interesy strony polskiej reprezentowali tam dwaj oficerowie łącznikowi. Dualizm ten wynikał ze specyficznej sytuacji zaistniałej w Bawarii. Tworzenie kompanii wartowniczych związane było na tym terenie z dwoma ośrodkami: oflagowym i Brygadą Świętokrzyską NSZ, a stosunki pomiędzy nimi nie zawsze układały się najlepiej. Funkcje oficerów łącznikowych objęli: mjr J. Moykowski jako przedstawiciel środowiska oflagowego oraz, z ramienia kompanii brygadowych, mjr Jerzy Olgierd Iłakowicz, nota bene ojciec Kazimierzy Iłakowiczówny, używający w dalszym ciągu pseudonimu okupacyjnego Jerzy Zawisza⁹.

Stan taki istniał tylko kilka miesięcy. W kwietniu 1946 r. 3. armia uległa likwidacji, a znajdujące się na jej terenie Oddziały Wartownicze zostały podporządkowane bezpośrednio Sekcji Łącznikowej w Heidelbergu. Nie na długo

8. W. Zaleski, „Trudną...”, s. 22-23; T. Boguszewski, „Po wojnie”, *Zeszyty do Historii Narodowych Sił Zbrojnych*, Z. IV, Chicago 1969, s. 25-27.

9. W. Zaleski, „Trudną...”, s. 22; Z. Siemaszko, „Narodowe...”, s. 164; Cz. Brzoza, op.cit., s. 23.

jednak. W sierpniu 1946 r. część kompanii, głównie pochodzenia brygadowego, została wydzielona do obsługi *Continental Base Section* (CBS) z siedzibą w Bad Neuheim. Dla oddziałów tych utworzono odrębny Okręg Nadzorczy z J. Zawiszą na czele. W maju 1947 r. CBS także uległa likwidacji i w tym samym miesiącu przywrócono jednolity ośrodek dyspozycyjny dla całej formacji.

Część kompanii wartowniczych tworzona była na potrzeby amerykańskich sił powietrznych w Europie. Ze względu na specyfikę służby, od początku zaznaczały się pewne odrębności pomiędzy nimi a pozostałymi jednostkami. Początkowo podlegały one bezpośrednio Głównej Sekcji Łącznikowej. We wrześniu 1946 r. sporządzono ich ewidencję i utworzono dla nich specjalny Okręg Nadzorczy (207 *Labor Supervision Center*). Polskim oficerem łącznikowym został mianowany mjr Bronisław Kulik. Na początku 1947 r. w skrzydle lotniczym służyło 20 kompanii, skupiających ok. 3.200 wotowników. W okresie największego rozkwitu w 1947 r., liczba kompanii wzrosła do 22, a stan osobowy powiększył się prawie do 4.000 wartowników. Kryzys z lata tego roku dotknął także i kompanie lotnicze. Według danych z grudnia tego roku ocalało ich jedynie 9 i to w mocno uszczuplonych składach. Na znak protestu przeciwko dokonanej redukcji podał się do dymisji dotychczasowy oficer łącznikowy. We wrześniu 1947 r. Okręg Nadzorczy przemianowany został na Polską Sekcję Łącznikową przy Głównej Kwaterze Amerykańskich Sił Lotniczych w Europie (USAEF), a stanowisko oficera łącznikowego objął mjr Teodor A. Dąbrowski. Nie była to ostatnia zmiana. W lipcu 1949 r. dotychczasowe kompanie przemianowano na szwadrony i oddano do wyłącznej dyspozycji sił lotniczych, co wiązało się także z innym podporządkowaniem budżetowym. Od tego czasu ich zależność od Głównej Sekcji Łącznikowej praktycznie zanikła. Pozostały jednak więzi poza służbowe, a przede wszystkim wspólny Fundusz Społeczny Oddziałów Wartowniczych, do którego członkowie szwadronów w dalszym ciągu należeli. Pod koniec omawianego okresu istniało 6 szwadronów wartowniczych, skupiających ok. 1.200 osób. Siedziba ich dowództwa mieściła się w Weisbaden. Tam też

znajdował się ich ośrodek werbunkowy i szkoleniowy¹⁰.

Zarówno powołanie, istnienie jak i przeznaczenie Oddziałów Wartowniczych były dla władz amerykańskich zupełnie oczywiste. Powinny one wypełnić konkretne zadanie pomocnicze. Trochę inaczej wyglądała sprawa z polskiego punktu widzenia. Dla tworzących je oficerów miały być one kadrą rezerwową armii polskiej. Ten wojskowy charakter jednostek szczególnie wyraźny był w pierwszym okresie, tzn. w latach 1945-1946. Kompanie, umundurowane w uniformy amerykańskie, zaznaczały swój charakter używaniem polskich stopni wojskowych, orzełkami na furazerkach i naszywkami „Poland” na rękawach. Oficjalnym świętem oddziałów był, zgodnie z przedwojenną tradycją, dzień 15 sierpnia – Dzień Żołnierza.

Relacje b. wartowników, zarówno szeregowców jak i oficerów, podkreślają zgodnie, że zakres prowadzonego wykształcenia wyraźnie przekraczał doraźne potrzeby. W czasie pobytu w ośrodkach szkoleniowych, zwłaszcza w największym z nich, w Mannheim-Käfertal, prowadzono szkolenie zgodne z polskimi regulaminami, obejmujące także elementy walki. Zwiększono wyraźnie zakres nauki o broni, w tym także broni maszynowej, której brak było w normalnym wyposażeniu wartowników. Amerykańskich przełożonych zdołano przekonać, że przy strzeżeniu szczególnie ważnych obiektów może zaistnieć konieczność uzbrojenia wartowników tak w ręczne jak i w ciężkie karabiny maszynowe. W praktyce nigdy się to nie zdarzyło, ale dzięki tej argumentacji zdołano uzyskać sprzęt niezbędny do celów szkoleniowych. Krótki, bo zaledwie trzytygodniowy okres szkolenia w obozach pogłębiany w czasie pozasłużbowych zajęć w miejscach pełnienia służby. Autor opracowania poświęconego dziejom szwadronów wartowniczych przy amerykańskich siłach powietrznych wspominał m.in., że w okresie przygotowawczym „najwięcej uwagi poświęcono na wyszkolenie formalne. Obok istotnej potrzeby wyszkolenia dla celów służby tak, by wartownik mógł

10. A. Krogulski, „Porastająca poręba”, Fragmentaryczny opis pracy Polskich Szwadronów Wartowniczych przy USAFE, Monachium [1950], s. 25-35.

podobać zadaniu jak doświadczony żołnierz, złudne nadzieje dowódców, wynikłe z ówczesnego ducha czasu, formowały plutony w najwyższą sprawność piechoty”¹¹.

Od wiosny 1946 r. zakres szkolenia, przynajmniej oficjalnie, został wyraźnie ograniczony. Nie oznacza to jednak, że go zaniechano lub że przestano traktować Oddziały Wartownicze jako formację mogącą przyczynić się do odbudowy armii. Ich znaczenie wzrosło nawet po likwidacji polskich sił zbrojnych na Zachodzie w 1947 r. Kompanie Wartownicze pozostały wówczas jedynymi skoszarowanymi i uzbrojonymi oddziałami polskimi na tym terenie. Z tego też wynikało duże zainteresowanie władz londyńskich tą formacją oraz częste wizyty wyższych dowódców i dostojników rządowych w poszczególnych ośrodkach. M.in. wizytował je kilkakrotnie gen. W. Anders, który otrzymał przy tej okazji Odznakę Honorową i Pamiątkową Oddziałów Wartowniczych.

Podkreślanie polskiego i wojskowego charakteru Oddziałów powodowało różnego rodzaju komplikacje. Rząd polski w Warszawie, dosłownie od momentu uznania go na arenie międzynarodowej, protestował przeciwko łamaniu prawa międzynarodowego przez tworzenie polskich oddziałów na służbie obcego mocarstwa. Równocześnie władze sowieckie zaprotestowały zdecydowanie przeciwko tworzeniu „białej gwardii” z obywateli swojego państwa. Należy tu dodać, że obok Oddziałów Wartowniczych istniały także, co prawda nie uzbrojone, Oddziały Pracy, złożone prawie wyłącznie z obywateli państw bałtyckich: Litwy, Łotwy i Estonii.

W marcu 1946 r. ambasada polska w Waszyngtonie otrzymała specjalną instrukcję, w której polecono „przeprowadzić kampanię przeciwko tworzeniu przez władze amerykańskie polskich kompanii wartowniczych lub innych polskich jednostek wojskowych”. Podnoszono także niedopuszczalność używania w tych formacjach polskich symboli wojskowych. W tym samym czasie oficerowie z polskiej misji wojskowej zgłosili protest przeciwko tworzeniu oddziałów wojskowych, stanowiących schronienie dla elementów faszystowskich. Kilka miesięcy później polska misja repatriacyjna

11. Tamże, s. 26.

wystąpiła przeciw istnieniu kompanii wartowniczych, podkreślając przede wszystkim, że były one ośrodkami propagandy antyrepatriacyjnej i stosowały terror wobec osób pragnących wrócić do kraju¹².

Amerykanie, w miarę możliwości, starali się unikać konfliktów na tym tle i dążyli do nadania Oddziałom Wartowniczym bardziej cywilnego charakteru. W tym celu przeprowadzono szereg zabiegów, w zasadzie o charakterze kosmetycznym. W pierwszej kolejności usunięto z nazwy oddziałów przymiotnik „polskie”, zakazano używania orzełków, polskich dystynkcji i naszywek „Poland”. Zastanawiano się nawet nad likwidacją stopni wojskowych, ale przy istniejącej strukturze oddziałów było to w praktyce niemożliwe do wykonania. „Odwojskowieniu” Oddziałów służyć miała także zmiana umundurowania. Początkowo, jak to już wspomniano, wartownicy nosili mundury wojsk amerykańskich. W kwietniu 1946 r. nakazano przefarbowanie ich na kolor granatowy. Ponadto na przełomie 1945/1946 zabroniono w oddziałach prowadzenia szkolenia politycznego i podejmowania akcji o charakterze wyraźnie antykomunistycznym. Te ostatnie zalecenia i zakazy pozostawały jednak zazwyczaj na papierze.

W ramach okazywania dobrej woli zgodzono się nawet na wizytowanie jednostek, a zwłaszcza centrum wyszkoleniowego Mannheim-Käfertal, przez delegatów polskiej (warszawskiej) misji wojskowej w Niemczech. Według krążących wśród wartowników legend Käfertal odwiedził wtedy także marsz. Michał Rola-Żymierski. Wizytacje te nie trwały zbyt długo ze względu na zdecydowanie nieprzychylnie czy wręcz wrogie stanowisko zajmowane przez wartowników wobec gości. Ostatecznie misję polską poinformowano, że Amerykanie nie będą gwarantować bezpieczeństwa gościom.

Momentem przełomowym w historii Oddziałów Wartowniczych stał się kryzys z końca lata 1947 r. Jego przyczyny są trudne do wyjaśnienia. Najprawdopodobniej był on wynikiem nacisków polskich, a zwłaszcza sowieckich. Od końca 1946 r. zagrożenie Oddziałów Wartowniczych pod-

12. W. Zaleski, „Trudną...”, s. 56.

noszone było na konferencjach ministrów spraw zagranicznych wielkich mocarstw. Sprawa ta była także poruszana przez Władysława Mołotowa w czasie amerykańsko-sowieckich pertraktacji w Moskwie w marcu 1947 r., w których uczestniczył także gen. Clay, dowódca amerykańskiej strefy okupacyjnej w Niemczech¹³. Prawdopodobnie politycy amerykańscy, pragnąc okazać dobrą wolę, zobowiązali się do rozwiązania problemu. Stanowisko takie zdecydowanie poparła UNRRA, według której funkcjonowanie kompanii wartowniczych stanowiło jedną z najpoważniejszych przeszkód w szybkiej repatriacji Polaków z zachodnich stref okupacyjnych. Być może istniały także jeszcze i inne przyczyny.

Przebieg kryzysu jest trudny do odtworzenia na skutek braku bądź niedostępności dokumentacji oraz luk w przejrzanych materiałach. Na domiar złego, w tym właśnie czasie nastąpiła kilkumiesięczna przerwa w ukazywaniu się *Ostatnich Wiadomości*, organu Oddziałów Wartowniczych. Pod koniec czerwca 1947 r. wstrzymano werbunek do kompanii, zlikwidowano ośrodek szkoleniowy w Mannheim-Käfertal i przystąpiono do rozwiązywania istniejących oddziałów. Tempo demobilizacji było niezwykle szybkie. Według danych z 31 VI 1947 r. kompanie liczyły ponad 30 tys. wartowników, a pod koniec listopada tego roku znajdowało się w nich już tylko 14 tys. osób¹⁴.

Na przełomie listopada i grudnia całą akcję wstrzymano. Dlaczego nie zakończono demobilizacji, także trudno jednoznacznie ustalić. Prawdopodobnie, jak to się często zdarzało i zdarza, poczynania polityków i wojskowych nie były ze sobą uzgodnione. Na skutek rozwiązywania Oddziałów Wartowniczych, składy, magazyny, lotniska i bazy sprzętu zostały nagle pozbawione niezbędnej ochrony. Konieczne stały się uzupełnienia wojskowe zza oceanu, tym bardziej, że popierana przez UNRRA koncepcja utworzenia policji przemysłowej, złożonej głównie z Niemców, nie zdała egzaminu, a ponadto

13. Nota Warszawskiej Misji Wojskowej, *Ostatnie Wiadomości*, nr 57, 10 III 1947; Atak min. Mołotowa i wicemin. Wyszyńskiego, *Ostatnie Wiadomości*, nr 59, 12 III 1947.

14. Sprawozdania statystyczne UNRRA i IRO o stanie DP w amerykańskiej strefie okupacyjnej, IfZ Fi-107-178.

wywołała protesty ZSSR przeciwko uzbrajaniu faszystów. Wielu dowódców amerykańskich od początku też sabotowało nadchodzące zarządzenia. Nieruchawy aparat administracyjny UNRRA nie potrafił z dnia na dzień wchłonąć tysięcy nowych przybyszów. W rezultacie zaprzestano rozwiązywania oddziałów, a nawet wznowiono nabór, co prawda w bardzo niewielkich rozmiarach. Utworzono także w Fuldzie nowy ośrodek rekrutacji i uzupełnień, który jednak posiadał Mannheim-Käfertal. Zlikwidowano go też po upływie roku, polecając poszczególnym dowódcom kompanii prowadzenie naboru na własną rękę. Od przełomu listopada i grudnia 1947 r. liczebność kompanii zaczęła ponownie rosnąć. W połowie roku następnego służyło w nich prawie 17 tys. osób¹⁵.

Kryzys roku 1947 pozostawił w oddziałach wartowniczych trwałe piętno. Od tego czasu dowódcy poszczególnych centrów co kilka miesięcy meldowali o pojawianiu się pogłosek o rzekomym likwidowaniu formacji¹⁶. Dezorganizowało to pracę, oraz akcję szkoleniową i oświatową. Od lata 1948 r. liczebność kompanii rzeczywiście spadała. Wynikało to jednak z przyczyn „naturalnych”. W związku z zaostreniem się sytuacji międzynarodowej wzrastała w Niemczech liczba regularnych oddziałów wojskowych, które w jakiejś części przejmowały dotychczasowe obowiązki kompanii wartowniczych. Likwidacji uległy prawie wszystkie obozy jenieckie, a zasądzeni zbrodniarze hitlerowscy znaleźli się w więzieniach dozorowanych przez żołnierzy alianckich. Zmniejszyła się wyraźnie liczba magazynów i składów położonych poza jednostkami wojskowymi. To wszystko powodowało, że redukowano tak liczbę kompanii jak i ich stany osobowe. Proces ten nie oznaczał zresztą rozwiązywania kompanii i pozbawiania pracy dotychczasowych wartowników. W większości to oni sami rezygnowali ze służby i udawali się na emigrację. Powstające luki uzupełniano w mia-

15. *EUCOM, Civil Affairs Division, Report of Operation 1 IV – 30 VI 1948*, IFZ, Fi-101, s. 16.

16. „W związku z lansowanymi ostatnio na terenie naszego Dowództwa, a nie sprawdzonymi dotychczas pogłoskami o rozwiązaniu kompanii wartowniczych (...) daje się zauważyć pewne obniżenie poziomu morale oraz pogorszenie nastrojów”. Raport Polskiej Sekcji Łącznikowej Darmstadt Military Post z 1 VI 1948, zbiory prywatne.

rę potrzeb. Wśród nowo wstępujących było też coraz mniej Polaków. Nowi wartownicy rekrutowali się z uciekinierów z Europy Wschodniej oraz Niemców. Według ostatniego znanego raportu osobowego IRO z 31 V 1951 r. w Oddziałach Wartowniczych służyło 8,5 tys. osób, a odsetek Polaków po raz pierwszy spadł w nich poniżej 70%¹⁷.

Podjęcie służby w Oddziałach Wartowniczych rzutowało w sposób zdecydowany na dalsze losy wartowników. W praktyce, biorąc pod uwagę stosunek władz warszawskich do tej formacji, zamykało im ono drogę powrotu do kraju. Z możliwości repatriacji skorzystały więc właściwie tylko jednostki, przede wszystkim te osoby, które znalazły się na tzw. „czarnej liście”, na którą wpisywano wartowników zwolnionych ze służby po popełnieniu przestępstwa kryminalnego. Znalezienie się na tej liście w praktyce uniemożliwiało bowiem emigrację.

Pozostali, jeżeli nie decydowali się na trwałe związanie z kompaniami, starali się wyemigrować i znaleźć nową ojczyznę. Sprawa ta do 1947 r. nastroczała wiele kłopotów i wyjazdy miały raczej charakter sporadyczny. Pierwsza duża fala emigracji wartowniczej miała miejsce po wspomnianej redukcji oddziałów latem i jesienią 1947 r. Możliwości wyboru były raczej niewielkie. W tym czasie większe zapotrzebowanie zgłosiły jedynie Belgia i Holandia, poszukujące robotników do pracy w kopalniach węgla. Pojawiła się także szansa wyjazdu do Kanady, gdzie można było znaleźć zatrudnienie przy wyrębie lasów. Z możliwości tych skorzystało kilka tysięcy ludzi. W obu przypadkach była to ciężka praca, a ponadto kraje emigracyjne nie wywiązywały się z zaciągniętych zobowiązań. Dotyczyło to przede wszystkim punktu mówiącego o prawie emigranta do zmiany pracy po upływie określonego czasu. Okazało się także, że warunki zakwaterowania i płace wyraźnie odbiegały od dokonanych ustaleń. W rezultacie ok. 75% emigrantów z krajów europejskich powróciło do Niemiec i zasiłowało szeregi dipisów¹⁸.

17. Sprawozdanie statystyczne IRO o stanie DP w amerykańskiej strefie okupacyjnej, IfZ, Fi-178.

18. Jeszcze jeden list z Belgii. „Jak to na kopalni ładnie” *Ostatnie Wiadomości*, nr 108, 30 VIII 1948; III-ci list z Belgii, *Ostatnie Wiadomości*, nr 107, 27 VIII 1948; W. Zaleski, „Trudną...”, s. 159; A. Przybyła, „Emigracja” [w:] „Dziesięciolecie...”, s. 314.

W okresie tym jedyną udaną akcją stało się przemieszczenie byłych członków Brygady Świętokrzyskiej. Władze francuskie zwróciły się bowiem wówczas do gen. W. Andersa z propozycją zorganizowania związków polskich uchodźców, które mogłyby przeciwstawić się coraz silniejszym wpływom komunistów w ośrodkach polskich, zwłaszcza w centrach przemysłowych. Gen. Anders przekazał tę propozycję Antoniemu Dąbrowskiemu, który po rozwiązaniu Oddziałów Wartowniczych szukał jakiejś możliwości utrzymania rozpadających się struktur NSZ-owskich. W początkach 1948 r. zostały podpisane odpowiednie umowy z przedstawicielami przemysłu stalowego, którzy sfinansowali całą akcję. W Monachium utworzono wtedy nieoficjalne Polskie Towarzystwo Emigracyjne, koordynujące przebieg emigracji. Na jego czele stanął mjr J. Iłakowicz (J. Zawisza), który po nieudanej próbie usunięcia F. Sobolty ze stanowiska szefa Głównej Komisji Łącznikowej musiał opuścić Oddziały Wartownicze. Za pośrednictwem Towarzystwa wyemigrowało ok. 1500-2000 osób. We Francji założyli oni organizację „Ogniwo”, kontynuującą tradycje Brygady Świętokrzyskiej. Centrala „Ogniwa” mieściła się w Paryżu, a jej oddziały powstały we wszystkich większych ośrodkach przemysłowych¹⁹.

Losy większości dipisów służących w Oddziałach Wartowniczych zależały w dużym stopniu od decyzji władz USA. 1 V 1948 r. został tam uchwalony „bill imigracyjny”, na mocy którego Stany Zjednoczone godziły się na przyjęcie 200 tys. uchodźców europejskich. Przeprowadzona wówczas w Oddziałach Wartowniczych ankieta wykazała, że 86% osób zdecydowanych na emigrację opowiadało się za wyjazdem do Stanów Zjednoczonych. Ich szanse zwiększał jeden z przepisów „billu”, na mocy którego przyznawano pierwszeństwo w prawie do emigracji osobom, które „zaszczytnie służyły w jednostkach wartowniczych i pracy przy armii amerykańskiej”. Rzeczywiście ograniczenia stosowane przez

19. A. Bohun-Dąbrowski, „Byłem dowódcą Brygady Świętokrzyskiej Narodowych Sił Zbrojnych”, Londyn 1984, s. 180-181; Z. Siemaszko, „Narodowe...”, s. 183-184; Cz. Brzoza, op.cit., s. 23.

władze amerykańskie wobec b. wartowników były najmniejsze. Wiele osób, które np. ze względu na stan zdrowia zostały odrzucone przez komisje imigracyjne innych krajów, uzyskiwało wizy wjazdowe do Stanów Zjednoczonych. Na terenie USA powstały wtedy specjalne organizacje polskie zajmujące się ułatwianiem emigracji. Wyszukiwały one tzw. sponsorów, którzy gwarantowali przybywającym miejsca pracy, zakwaterowania, a nawet pokrywali koszty przejazdu w obrębie USA. W tym samym czasie pojawiały się możliwości wyjazdu także do innych państw. Od końca 1948 rozpoczęła się kolejna duża fala emigracji wartowniczej, zakończona w zasadzie w 1951 r. Według statystyk prowadzonych przez Główną Sekcję Łącznikową jej przebieg wyglądał następująco:

Rok	USA	Inne kraje	Razem
1948	35	196	231
1949	2426	1686	4112
1950	1805	1503	3308
1951	1211	478	1686
1952	78	16	94
Razem	5555	3879	9434

źródło: A. Przybyła, op. cit., s. 316

Ostatecznie w USA znalazło się prawie 60% wszystkich emigrantów. Drugim wielkim skupiskiem wartowników stała się Australia, do której, przede wszystkim w latach 1949-1950 wyjechało ok. 3.000 osób. Po roku 1950 atrakcyjność tego kraju znacznie osłabła, co wiązało się z nową, niezbyt korzystną wobec elementu napływowego polityką tamtejszych władz państwowych. Reszta emigrujących byłych wartowników osiedliła się w krajach europejskich i w Kanadzie, a kilkudziesięcioosobowa grupa wybrała Wenezuelę.

Po roku 1951 r. emigracja trwała nadal, ale już w bardzo niewielkim zakresie. Dokonywała się ona też już nie w sposób zorganizowany, ale na zasadzie starań indywidualnych. Brak też bliższych danych o jej kierunkach.

Jedną z istotniejszych, chociaż nie zawsze docenianą, formą działalności Oddziałów Wartowniczych było organizowanie szerokiej akcji oświatowej. Prowadzona ona była nie-

jako w trzech zasadniczych kierunkach: kształcenia ogólnego, nauki zawodu i nauki języków obcych, zwłaszcza angielskiego.

Wiele osób wступujących do Oddziałów zdążyło w okresie międzywojennym ukończyć jedynie 1-2 klasy szkoły powszechnej. Nie byli również wyjątkami całkowicie analfabeci. Od początku też, w powstających oddziałach, obok szkolenia wojskowego prowadzono nauczanie w zakresie szkoły początkowej. Władze amerykańskie nie zgłaszały zastrzeżeń, a nawet, po utworzeniu Centrum Wyszkołenia w Mannheim-Käfertal, zaaprobowały wprowadzenie w każdej kompanii oficera oświatowego, do którego najważniejszych zadań należało organizowanie nauczania, dobór nauczycieli itp. W latach 1946-1947, tj. do momentu zredukowania Oddziałów Wartowniczych, przeprowadzono za zgodą władz amerykańskich 6 kursów pedagogicznych, które ukończyło ok. 200 oficerów. Były to wszystko osoby przynajmniej z przedwojenną maturą polską, a kilkutygodniowe kursy na ogół prowadzone przez specjalistów, miały dać im przygotowanie metodyczne.

Od września 1946 r. uruchomiono we wszystkich kompaniach kursy dla analfabetów oraz osób z niepełnym wykształceniem podstawowym. Programy nauczania zostały nieco zredukowane w porównaniu z obowiązującymi w przedwojennych szkołach polskich. Kursy kończyły się egzaminami składanymi przed komisją z udziałem przedstawicieli polskiego kuratorium istniejącego w Niemczech. W niektórych ośrodkach, np. w Regensburgu, uruchomiono naukę na szczeblu gimnazjów. W ciągu pierwszego roku kilkanaście osób uzyskało tzw. małą maturę. Wielu wartowników wysyłano także do istniejących w Niemczech polskich szkół średnich²⁰.

Douczenie w zakresie szkoły podstawowej miało na celu przede wszystkim likwidację analfabetyzmu. Dalsze kształcenie dostępne było już tylko dla jednostek. Większe rozmiały przybrała akcja nauki zawodu. Było to o tyle istotne, że większość szeregowych wartowników, zarówno ze środowisk oflagowych jak i robotników przymusowych, wywodziła się

20. P. Jasiek, „Działalność oświatowa” [w:] „Dziesięciolecie...”, s. 225-228.

ze środowisk chłopskich. Dowództwo przykładło dużą wagę do różnego rodzaju kursów zawodowych, wychodząc z założenia, że służba wartownicza jest etapem przejściowym na drodze do cywilnej pracy w kraju lub na emigracji. Podobnie traktowali to sami wartownicy, wśród których chęć zdobycia konkretnego zawodu była powszechna. Organizowanie kursów zawodowych ułatwiali też Amerykanie, gdyż zdobyte wiadomości miały być w pierwszej kolejności wykorzystywane w okresie służby. Kompanie w miejscu stacjonowania potrzebowały wielu specjalistów do wykonywania najróżniejszych prac związanych z zaopatrzeniem, zakwaterowaniem i wyżywieniem. Ponadto tworzony był specjalny typ kompanii transportowych, pracujących bezpośrednio na potrzeby armii amerykańskiej.

Szkolenie zawodowe nigdy nie przybrało charakteru masowego, aczkolwiek, tylko w okresie istnienia obozu w Mannheim-Käfertal, ukończyło je kilka tysięcy osób. Największą popularnością cieszyły się kursy samochodowe i kursy mechaników samochodowych. Według niepełnych danych ukończyło je ok. 3.000 osób. Ponadto organizowano dość liczne kursy dla cieśli, murarzy, kucharzy itd. Pojawiły się nawet takie specjalności jak radiooperator, elektrotechnik, ogrodnik itp. Na czas trwania kursu, od kilku tygodni do kilku miesięcy, wartownicy otrzymywali urlop z kompanii, zaś po jego ukończeniu pogłębiali zdobytą wiedzę w odpowiednich zakładach przemysłowych, w których odbywali kilkutygodniowe staże, co w tak dużym ośrodku przemysłowym jak Mannheim-Ludwigshafen nie nastroczało większych trudności.

Po rozwiązaniu obozu w Mannheim-Käfertal szkolenie zawodowe przeniesiono na teren poszczególnych kompanii. Warunki były tam już znacznie gorsze, gdyż brakowało zaplecza w postaci warsztatów i narzędzi, które latem 1947 r., przekazano do obozów cywilnych. Na ogół też uruchamianie kursów uwarunkowane było istnieniem w pobliżu warsztatów i fabryk niemieckich, w których pobierano fachową naukę oraz odbywano praktyki. Stąd też zaskakujące czasami specjalności zdobywane w trakcie szkoleń, takie jak np. młynarz, ogrodnik czy pszczelarz. Niekiedy korzystano

także z zawodowych szkół niemieckich. Na ogół zdobyte w ten sposób wiadomości podawane były jako zawód przy staraniu się o wizę wjazdową do państw imigracyjnych. Przeprowadzona dwukrotnie statystyka zawodowa wartowników wykazywała też bardzo szybki spadek liczby osób, które określały się jako rolnicy lub robotnicy niewykwalifikowani²¹. Nawet jeżeli uwzględnimy fakt zafałszowania tych danych, to tym niemniej odzwierciedlały one w jakimś stopniu dokonujące się przemiany.

Osobnym zagadnieniem była nauka języków obcych. W momencie gdy powstawały OW znajomość języka angielskiego, zarówno wśród wartowników jak i kadry oficerskiej, była prawie równa zeru. Utrudniało to kwestie organizacyjne jak i wyjaśnianie nawet najprostszych spraw. Bariera językowa była jedną z głównych przyczyn trudności i nieporozumień w stosunkach z władzami nadzorczymi. Obecność tłumaczy, zatrudnionych zazwyczaj na szczelbu Centrów także nie rozwiązywała problemu, tym bardziej, że na ogół nie znali oni specyfiki warunków służby polskiej lub amerykańskiej. Wydaje się, że kariery płk. F. Sobolty i J. Zawiszy wynikały w dużym stopniu z faktu, że potrafili bez trudu porozumieć się z przełożonymi amerykańskimi.

W 1946 r. wprowadzono obowiązkową naukę języka angielskiego dla wszystkich oficerów oraz dobrowolne kursy w kompaniach. Brak podręczników dla szeregowych wartowników starano się zrekompensować drukując w *Ostatnich Wiadomościach* najniezbędniejsze zwroty. Dotyczyły one na ogół kwestii służby i podstawowych form porozumiewania się. Rok później nakładem tego pisma wydrukowano specjalne, rozprowadzane bezpłatnie, mini-rozmówki polsko-angielskie i polsko-francuskie. Dodatkowym czynnikiem mobilizującym polskich oficerów do rozszerzenia zakresu nauki stały się możliwości emigracyjne. Według wspomnianej ankiety z wiosny 1948 r. 73% wartowników wyraziło chęć emigrowania do krajów anglojęzycznych. Równocześnie ok. 60-70% potencjalnych emigrantów nie znało języka kraju swojego przyszłego osiedlenia.

21. W. Zaleski, „Trudną...”, s. 32.

Na wniosek Głównej Sekcji Łącznikowej, w maju 1948 r. wprowadzono w oddziałach obowiązkową naukę języka angielskiego dla wszystkich wartowników. Kilka miesięcy później wprowadzono także etaty instruktorów nauki tego języka. W tym samym roku na koszt armii amerykańskiej wydrukowano specjalne, opracowane przy współudziale Polaków, podręczniki oraz słowniki. Każdy wartownik otrzymywał podręcznik, a w bibliotece znajdowały się słowniki w ilości 1 dla 5 osób. Trudno podać statystyczne dane na temat efektów tej akcji. Wydaje się jednak, że spełniała ona w jakiejś mierze swoje zadanie²². Tak przynajmniej można sądzić po licznych listach, napływających w późniejszych latach od b. wartowników do redakcji *Ostatnich Wiadomości*.

Zasygnalizowane dotychczas kierunki działalności Oddziałów Wartowniczych dotyczyły niejako ich spraw wewnętrznych. Należy jednak podkreślić, że wywierały one istotny wpływ na życie całej polskiej diaspory. Wynikało to przede wszystkim z faktu, że była to jedyna masowa organizacja polska, która otrzymywała systematycznie wynagrodzenie za swoją pracę. Większość zarobionych pieniędzy szła oczywiście na bieżące wydatki samych wartowników, część gromadzona była przez nich z myślą o emigracji. Od początku jednak Oddziały, jak o tym świadczą liczne wzmianki w *Ostatnich Wiadomościach*, wspierały także finansowo polskie organizacje istniejące w Niemczech, zwłaszcza oświatowe i charytatywne. W latach pięćdziesiątych rozszerzyły swą działalność także na inne kraje.

Jedną z ciekawszych akcji tego typu stało się ustanowienie Nagrody Oddziałów Wartowniczych, przydzielanej twórcom kultury polskiej na obczyźnie. Po raz pierwszy przyznano ją w 1950 r. Laureatami nagrody literackiej byli m.in. Wacław Grubiński za całokształt twórczości, Kazimierz Wierzyński za tom poezji „Krzyże i Miecze” oraz czołowy polski eseista Jerzy Stempowski, występujący pod pseudonimem Paweł Hostowiec. Nagrodę naukową otrzymali m.in.

22. F. Sobolta, „Rok 1948 w Oddziałach Wartowniczych”, *Nauka języka angielskiego, Ostatnie Wiadomości*, nr 15, 6 II 1949.

prof. Henryk Paszkiewicz za angielskojęzyczną pracę „Początki Rosji” oraz botanik prof. Kazimierz Rouppert. Istniała także nagroda w dziedzinie twórczości plastycznej i edytorsko-wydawniczej. Nagrodzone zostały np. Oficyna Florencka Samuela Tyszkiewicza, Oficyna Poetów i Malarzy oraz Oficyna Stanisława Gliwy, której wydawnictwa są obecnie chyba najbardziej poszukiwanymi pozycjami na rynku antykwarycznym. Wsparcie finansowe w postaci nagród lub subwencji otrzymały także Polskie Towarzystwo Naukowe na Obczyźnie, Biblioteka Polska w Paryżu oraz polskie szkoły we Francji i Hiszpanii²³.

Czesław BRZOZA

23. Laureaci nagród pisarskich Polskich Oddziałów Wartowniczych, *Ostatnie Wiadomości*, nr 129, 12 XI 1950; W. Pańczak, „Popieranie polskiej twórczości kulturalnej na obczyźnie”, [w:] „Dziesięciolecie...”, s. 304-309.

Andrzej PACZKOWSKI

CENZURA 1946-1949: STATYSTYKA DZIAŁALNOŚCI

Truizmem jest stwierdzenie, iż cenzura była jednym z ważniejszych instrumentów władzy w systemie komunistycznym, podobnie jak we wszystkich systemach niedemokratycznych od dawnych monarchii absolutnych po nowoczesne despotie totalitarne czy „zwykłe” dyktatury. Nie inaczej było i w Polsce Ludowej. Rzadko jednak stawała się przedmiotem badań, co wynikało z prostego faktu, iż jej istnienie, a już zwłaszcza analiza jej działalności, były jednym z tematów zakazanych, a więc objętych... zapisami cenzury. Choć więc wzmianki o tym, że instytucja taka działa, pojawiały się (w końcu był to urząd państwowy), jego działalność była znana szerzej nieomal tylko wśród tych, którzy na sobie doświadczyli, że cenzorzy biorą pensje za rzetelnie wykonywaną pracę. Były to wszakże doświadczenia jednostkowe lub przypominane w wąskich środowiskach. Nawet jeżeli coś na temat cenzury ukazywało się drukiem – jak we wspomnieniach Kazimierza Bagińskiego czy Stefana Korbońskiego dotyczących lat 1945-1947 – chodziło o fakty pojedyncze i wyrwane z szerszego kontekstu. Nic dziwnego, że opublikowane przez „Aneks” w 1977 r. dokumenty „Czarna Księga Cenzury PRL” stały się wstrząsem dla opinii – a raczej tej jej niewielkiej części, która mogła zapoznać się

z książką (w wydaniu londyńskim lub krajowym, częściej zapewne z audycji RWE). Opisywały one wszakże stan z połowy lat 70-tych, a Tomasz Strzyżewski, który dokumenty – z wielkim ryzykiem osobistym – wywiózł, nie miał materiałów umożliwiających przedstawienie historii cenzury w PRL.

Jeśli się nie mylę, jako pierwszy pisał o cenzurze w oparciu o materiały archiwalne z pierwszych lat PRL – ale w specjalistycznym, mało znanym *Kwartalniku Historii Prasy Polskiej* – w 1983 r. Mieczysław Ciećwierz. Jego obszerna rozprawa pt. „Polityka prasowa 1944-1948” ukazała się dopiero w 1989 r. Aczkolwiek Ciećwierz był apologetą Polski Ludowej, pisał w oparciu o dosyć rozległą kwerendę archiwalną i prace jego – nawet jeżeli nie zgadzać się z ich „wydźwiękiem” – są nadal użyteczne. W swojej książce cenzurze poświęcił wiele uwagi, a nawet była ona jednym z podstawowych elementów wywodu. Artykułów Ciećwierza nie znali Jerzy Drygalski i Jacek Kwaśniewski – autorzy opublikowanej w 1988 r. w „drugim obiegu” analizy systemu komunistycznego pt. „(Nie)realny socjalizm”. Głównym wątkiem ich rozważań był opis mechanizmów (i skutków) blokady artykulacji społecznej, a więc oczywiście zwrócili uwagę na instytucję cenzury, ale nie zdołali w istocie wyjść poza ustalenia z „Czarnej Księgi...”. Z kolei Stanisław A. Kondek, autor interesującej monografii „Władza i wydawcy. Polityczne uwarunkowania produkcji książek w Polsce w latach 1944-1949”, wydanej w 1993 r. nie przeprowadził własnych poszukiwań w materiałach dotyczących cenzury i oparł się na ustaleniach Ciećwierza. Dopiero w końcu 1994 r. ukazał się pierwszy – ale ilościowo nader skromny – wybór dokumentów cenzury („Główny Urząd Kontroli Prasy 1945-1949”) w opracowaniu Darii Nałęcz, która we wstępie sumuje krótką historię utworzenia i początkowego okresu działania „peerelowskiej” cenzury. Dla poznania samych początków tej instytucji istotna okazała się publikacja w Moskwie zbioru raportów pracowników *Gławlitu*, którzy od połowy grudnia 1944 r. do końca marca 1945 r. byli doradcami i współorganizatorami cenzury¹.

1. Omówienie raportów – ogłoszonych przez tygodnik *Moskowskoje Nowosti* w czerwcu 1994 r. – ukazało się w *Zyciu Warszawy* (18

W rzeczywistości jednak wciąż niewiele wiadomo o działalności cenzury w początkach Polski Ludowej (a w istocie – poza „Czarną Księgą...” i jej reperkusjami – także o późniejszych dziejach tej instytucji²). Jest to właściwie dziwne, gdyż dokumenty urzędów cenzorskich – formalnie aż po połowę lat 60-tych, faktycznie zaś do końca tamtej dekady – znajdują się w sieci archiwów państwowych i są bez trudności udostępniane. To samo dotyczy dokumentów PPR/PZPR oraz takich instytucji mających związek z reglamentacją prasy, wydawnictw czy spektakli, jak Ministerstwo Informacji i Propagandy, Ministerstwo Kultury i Sztuki, Główny Urząd Polityczny WP czy największych wydawnictw prasowych i książkowych.

Przy okazji poszukiwań archiwalnych, które prowadzę gromadząc materiały do książki o „bezpieczeństwie”, trafiłem na bardzo – wedle mnie – interesujące, a nawet ważne, dokumenty sprawozdawcze cenzury, które obejmują lata 1946-1949. Przyznam się, iż „znaleziskiem” tym byłem zaskoczony, gdyż dokumenty owe znajdują się w zespole archiwalnym znanym (tak przynajmniej wynika z bibliografii, które zamieścili w swoich książkach) zarówno Cieciewiczowi, jak i Kondkowi. Tymczasem w ich publikacjach, w których dotkliwie odczuwa się brak ogólnych informacji ilościowych o zasięgu ingerencji, brak śladu, aby do materiałów tych dotarli.

Ogłaszane tu dokumenty raczej nie wymagają komentarza. Warto natomiast, jak sądzę, przypomnieć nieco faktów, dotyczących funkcjonowania cenzury w pierwszych latach, gdyż są one na ogół mało znane.

Najpierw należy zwrócić uwagę, iż obok kontroli prasy,

czerwca) i *Gazecie Wyborczej* (1 lipca). Z kolei dziennikarz *Rzeczpospolitej* odszukał Leona Rzędowskiego, który był pierwszym formalnym szefem Centralnego Biura Kontroli Prasy przy Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego i przeprowadził z nim wywiad (nr 164, 16-17 VII 1994).

2. Ukazało się już kilka przyczynków – m.in. dotyczących cenzury słowników i bibliografii literackich (w: „Piśmiennictwo – systemy kontroli – obiegi literackie”, tom 2, red. J. Kostecki, A. Brodzka, Warszawa 1992) czy wpływu cenzury np. na wykształcenie się specyficznego języka komunikacji – wciąż jednak brak monografii opartej na rzetelnej kwerendzie archiwalnej.

wydawnictw etc. – czyli tego, co potocznie określa się pojęciem „cenzura” – kontroli podlegała także korespondencja (listy, depesze, paczki), co związane było z trwającym stanem wojny. Prowadzono ją osobno dla wojska i dla ogółu ludności. Instytucja wykonująca tę kontrolę ulokowana była w resorcie bezpieczeństwa, w którym od 1 września 1944 r. istniał Wydział Cenzury. Dla ilustracji zakresu jego działalności publikujemy fragmenty obszernego sprawozdania „pionu cywilnego” za pierwszy okres jego istnienia (dok. nr 5). Choć 26 czerwca 1945 r. formalnie zniesiono cenzurę wojenną przesyłek krajowych³. Wydział Cenzury nie tylko pozostał, ale rozbudowywał się (od 15 stycznia 1946 r. jako Główny Urząd Cenzury, a od 2 grudnia tegoż roku jako Biuro „B” MBP). Była to po prostu komórka – w centrali i w organach terenowych – prelustracji, czyli tajnego przeglądania korespondencji, która istniała – pod zmieniającymi się nazwami (m.in. Biuro „W”) aż do 1990 roku. Aktywność perlustracyjna aparatu bezpieczeństwa, czyli „czarnych gabinetów”, jak to w dawnych czasach eufemistycznie określano, jest tematem osobnym i wartym podjęcia, gdyż poza zadaniami operacyjnymi służyła ona także jako swoisty instytut badania opinii publicznej.

Instytucja kontroli prasy, wydawnictw etc. nie powstała zaraz po utworzeniu PKWN i podstawowych struktur administracji. Zrazu nie było w istocie takiej potrzeby, gdyż w pierwszych tygodniach „ruch wydawniczy” był skromniutki i całkowicie upaństwowiony. Gdy zaczęły powstawać pisma „partii sojuszniczych” i zaktywizował się pod względem wydawniczym Resort Informacji i Propagandy, sytuacja uległa zmianie, ale zrazu funkcje cenzorskie pełniła osobna komórka tegoż Resortu. Stan ten usankcjonował dekret PKWN z 7 września 1944 r. i w tym duchu w Resorcie przygotowywano projekt dekretu prasowego, czego gorącym zwolennikiem był niekoronowany „król” wydawniczy Jerzy Borejsza. Píše o tym szczegółowo w cytowanej książce Mieczysław Cieciewicz (zwłaszcza s. 38-44). Nie znał on jednak – wspomnianych już

3. Można przypomnieć, że cenzurę wojenną wprowadzono raz jeszcze z dniem 13 grudnia 1981 r.

– raportów doradców sowieckich, toteż nie wiedział, iż prawdopodobnie to właśnie ich nacisk spowodował, iż instytucję kontroli ulokowano przy Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego. MBP przejęło zresztą znaczną część zakresu działalności przynależnej zwykle resortowi spraw wewnętrznych, który w II Rzeczypospolitej zajmował się kontrolą prasy. Ambicje podobne do tych, które żywili ludzie z informacji i propagandy, miała także „normalna” administracja państwowa, zarówno Ministerstwo Administracji Publicznej, jak i podległe mu Urzędy Wojewódzkie.

Tak czy inaczej w dniu 19 stycznia 1945 r. min. Stanisław Radkiewicz podpisał Rozkaz nr 2 o utworzeniu Centralnego Biura Kontroli Prasy przy MBP, które początkowo oparte było w pewnym stopniu na kadrach Wydziału Cenzury. W ciągu kilku tygodni powstały Wojewódzkie Biura, które formalnie stanowiły część Wojewódzkich Urzędów Bezpieczeństwa Publicznego. W dniach 23-25 maja odbyła się pierwsza krajowa odprawa kierowników biur, na której referat „o sytuacji politycznej w kraju” wygłosił osobiście Jakub Berman⁴. Od lutego kierownikiem CBKP był Tadeusz Zabłudowski – przedwojenny komunista, który na to stanowisko skierowany został przez kierownictwo PPR, opuszczając funkcję redaktora naczelnego *Głosu Ludu* – centralnego dziennika PPR.

O zasięgu działalności CBKP w 1945 r. nie udało mi się znaleźć żadnych szczegółowych informacji poza tymi, które zawarte są w cytowanym stenogramie z majowej narady. M. Ciećwierz w swej książce wielokrotnie zwraca uwagę, iż istniała – podkreślana przez samych cenzorów – odrębność biur kontroli zarówno od centralnych, jak i terenowych instancji „bezpieki”. Zarówno Ministerstwo Informacji i Propagandy, jak i Ministerstwo Administracji Publicznej (to ostatnie zwłaszcza od momentu, kiedy ministrem został Władysław Kiernik z PSL) wciąż aspirowały do przejęcia cenzury. Gorącym zwolennikiem „odebrania” cenzury MBP był

4. Stenogram spotkania patrz: „Główny Urząd Kontroli Prasy 1945-1949”, oprac. D. Nałęcz, Seria „Dokumenty do dziejów PRL”, Instytut Studiów Politycznych PAN, Warszawa 1994, s. 29-78. Tamże (s. 27) pełny tekst rozkazu nr 2.

premier Edward Osóbka-Morawski, do którego napływały – liczne, jak się wydaje – skargi na jej działalność, ale chodziło mu przede wszystkim o wyjęcie kontroli nad prasą z rąk PPR, która do aparatu bezpieczeństwa nie dopuszczała nawet najbliższych sojuszników. Np. w lipcu 1945 r. na jednej ze skarg zadekretował: „Minister Bezpieczeństwa Publicznego. Skończyć wreszcie z cenzurą”⁵. Na początku września przygotował nawet projekt dyspozycji do min. Radkiewicza o następującej treści:

„Min. Bezpieczeństwa Publicznego odda, a Min. Informacji i Propagandy przejmie bezzwłocznie Centralne Biuro Kontroli Prasy. Już Wam wielokrotnie zwracałem uwagę na nielogiczność istnienia kontroli prasy w Min. Bez. Publicznego kiedy jest Min. Inform. i Propag. O wykonaniu tego proszę mnie zawiadomić w ciągu siedmiu dni”⁶.

Nie wydaje się, aby premier wierzył, iż podległy mu – jakby nie było – minister polecenie to wykona. Sprawa jednak dojrzywała do rozwiązania. Od listopada 1945 r. – co zostało usankcjonowane uchwałą rządu z 15-go tegoż miesiąca – CBKP zostało przemianowane na Główny Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk (GUKPPiW) i stało się centralnym urzędem podlegającym bezpośrednio Prezydium Rady Ministrów (a w nim znalazło się w zakresie odpowiedzialności podsekretarza stanu Jakuba Bermana). Jak sądzi Ciećwierz głównymi powodami takiego usytuowania były zarówno chęć „oczyszczenia” cenzury ze źle widzianych przez opinię związków z MBP, jak i niechęć kierownictwa PPR, aby kontrola nad prasą znalazła się w resortach, nad którymi nie miało bezpośredniej, personalnej pieczy (MliP, MAP).

Stan z listopada 1945 r. utrzymany został już do końca istnienia instytucji cenzury.



Dokumenty z lat 1946-1948 publikowane są bez zmian i skrótów, opuszczono tylko część nagłówków oraz – z reguły

5. Archiwum Akt Nowych, Prezydium Rady Ministrów t. 5/24.

6. Tamże t.5/319.

trudno czytelne – odręczne glossy na ich marginesach. Ze znalezionych sześciu sprawozdań pominięto dwa, obejmujące okres 1 stycznia – 30 czerwca i 1 lipca – 30 września 1947 r., gdyż większość zawartych w nich informacji znajduje się w sprawozdaniu zbiorczym za cały rok 1947. Te, których brakuje, przytaczane są w przypisach. Bardziej skomplikowana sprawa jest ze sprawozdaniem za rok 1949. W odróżnieniu od poprzednich, które mają charakter opisowy, ma ono formę tabeli uwzględniającej podział na województwa. Są to bez wątpienia ciekawe informacje, ale nieporównywalne z tymi dla lat poprzednich, zaś cała tabela nie mogłaby być w formie *Zeszytów Historycznych*. Z tego głównie powodu publikuje się tu tylko dane zbiorcze, dotyczące całej Polski.

Z wyjątkiem dokumentu nr 5, który pochodzi z Centralnego Archiwum Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, pozostałe znajdują się w Archiwum Akt Nowych, w zespole akt Prezydium Rady Ministrów, wśród serii teczek z sekretariatu Jakuba Bermana.

Andrzej PACZKOWSKI

DOKUMENT 1

SPRAWOZDANIE

**z działalności Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i
Widowisk za czas od dnia 1.I.1946 do dnia 31.XII.1946 r.**

I Dane ogólne

Centralne Biuro Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk przy Ministerstwie Bezpieczeństwa uchwałą Rady Ministrów w październiku 1945 r. zostało przekształcone na Główny Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk i podporządkowane Prezydium Rady Ministrów. Placówki terenowe, tzw. Wojewódzkie i Miejskie Biura Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk zostały przekształcone na Wojewódzkie i Miejskie Urzędy Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk.

W Dz. U. Nr 34/1946 ukazał się dekret Prezydenta z dnia 5 lipca 1946 r. o utworzeniu Głównego Urzędu.

Od 1 stycznia 1946 r. Główny Urząd wszedł w drugi rok swej działalności, natomiast faktycznie rozpoczął okres organizacyjny, tym trudniejszy że rok ten znamionuje bardzo silny wzrost prasy, ruchu wydawniczego i w ogóle życia kulturalnego.

W okresie sprawozdawczym odbyły się dwie narady Naczelników Woj. Urzędów i najbardziej odpowiedzialnych pracowników. Pierwsza w dniach od 15 do 17 stycznia 1946 z udziałem Ob. Prezesa Rady Ministrów wytyczyła nowe drogi pracy. Cenzor nie tylko zapobiega przenikaniu poprzez prasę, publikacje i widowiska propagandy reakcyjnej i wrogiej, lecz wpływa na zgodne z racją stanu kształtowanie się oblicza prasy, na linię repertuaru scenicznego i filmowego oraz na rynek wydawniczy. Przedmiotem drugiej narady w dniach od 5 do 7 listopada 1946 było omówienie krytyczne doświadczeń Urzędu we wszystkich dziedzinach działalności i dalsze sprecyzowanie metod pracy¹.

II Obiekty kontroli

Pod kontrolą Głównego Urzędu znajdują się:

- a) prasa krajowa i zagraniczna,
- b) publikacje,
- c) widowiska,
- d) filmy
- e) biblioteki,
- f) drukarnie i zakłady poligraficzne.

a) 1. Wzrost prasy w roku 1946 ilustruje tabelka:

Charakter czasopisma	Stan w dn.1.I.46	Stan w dn.31.XII.46
dzienników	37	55
tygodników	76	110
dwutygodników	38	80
miesięczników	109	284
kwartalników	8	23
innych	12	10
agencji prasowych i biuletynów . .	5	38
czasopism urzędowych	46	52
Razem:	321	652

Ogólna ilość ingerencji cenzorskich w prasie
w roku 1946 7482
z tego w prasie PSL 3429

Ogólna ilość konfiskat całych artykułów:
w partyjnej prasie demokratycznej (PPR, PPS,
SD, SL, Str. Pracy, PSL „Nowe Wyzwolenie”) 63
w prasie PSL 493

2. Kontrola prasy zagranicznej – zarówno obcojęzycznej, jak i ukazującej się w języku polskim – prowadzona jest pod kątem ewentualnego odebrania debitu tym czasopismom, które wrogo odnoszą się do Państwa Polskiego.

W ciągu 1946 roku zarządzeniami Dyrektora Głównego Urzędu ogłoszonymi w *Monitorze Polskim*, odebrany został debit komunikacyjny pismom w języku polskim, ukazującym się w St. Zjedn. A.P., Wielkiej Brytanii, Francji, Austrii, Włoszech i na Bliskim Wschodzie – w łącznej ilości 57 czasopism.

b) Publikacje

1. Książki

W roku 1946 wydano książek 3249

Kontroli przewencyjnej podlegało w r. 1946 książek:

w Głównym Urzędzie 1092

w Urzędach Wojew. 3172

Razem: 4264

Ponadto kontroli wtórnej w Głównym Urzędzie

poddano w roku 1946 1617

Dokonano ingerencji cenzorskich

w Głównym Urzędzie 513

w Urzędach Wojew. 473

Razem 986

Odmówiono zezwoleń na druk książek:

w Głównym Urzędzie 8

w Urzędach Wojew. 7

Razem 15

2. Druki ulotne

Ilość druków ulotnych, jak afisze, reklamy, obwieszczenia itp. jest trudna do uchwycenia. Przeciętnie wynosi miesięcznie ponad 300 sztuk. Każdy druk jest poddawany kontroli co najmniej dwukrotnie: przed wydaniem zezwolenia na drukowanie i przed rozpowszechnianiem gotowego druku. Większość druków podlega jeszcze kontroli wtórnej już po wyjściu druku.

c) Widowiska

W okresie od dnia 1.I.1946 r. do dnia 31.XII.1946 r. skontrolowano widowiska i dokonano ingerencji:

Województwo	Widow. Zawod.	Widow. Amator.	Ingerencje Drobne	Większe	Tekst. wycof.	Widow. zawieszone
M. st. Warszawa	166	44	35	69	36	1
Warszawskie	97	443	5	1	2	-
Lubelskie	470	967	68	36	10	-
Rzeszowskie	74	963	43	12	15	2
Białostockie	27	12	4	6	2	-
Poznańskie	358	257	31	13	14	-
Krakowskie	85	176	16	6	8	-
Pomorskie	273	372	14	6	2	-
Kieleckie	355	231	28	8	23	-
Śląskie	341	1311	141	25	39	1
Mazurskie	58	63	7	1	-	-
Gdańskie	258	97	11	16	7	-
Zach.-Pomorskie	65	60	8	8	2	-
Dolno-Śląskie	110	45	8	3	2	-
Łódzkie	74	52	33	2	8	-
Ogółem	2811	5093	452	212	170	4

Ponadto w Warszawie:
wydano zezwoleń na drukowanie nut i śpiewników... 93
skontrolowano wystaw 14

d) Filmy

W czasie od I.IV. do dnia 31.XII.1946:

Skontrolowano filmów:	
taśma szeroka	258
taśma wąska	225
Razem:	483

Wycofano filmów:

taśma szeroka	12
taśma wąska	5
Razem:	17

Wydano legitymacji filmowych:

taśma szeroka	192
taśma wąska	26
Razem:	218

Dokonano ingerencji:

taśma szeroka	40
taśma wąska	11
Razem:	51

e) Biblioteki

W roku 1945 skontrolowano 428 bibliotek, księgarń i czytelni w terenie 10 Wojew. Urzędów.

W czasie od 1 stycznia 1946 do dnia 30.11.1946 skontrolowano 2322 biblioteki i księgarnie na terenie 14 Wojew. Urzędów.

Wycofano z bibliotek książek (tytułów) 200.

Wycofaniu ulegają książki bądź z uwagi na osobę autora (np. [Jan Emil] Skiński, [Felix] Burdecki – kolaboracjoniści z okresu okupacji hitlerowskiej) bądź ze względu na tendencje jaskrawo antydemokratyczne.

f) Drukarnie i zakłady poligraficzne

Ogólna ilość zakładów poligraficznych kontrolowanych przez Główny Urząd wynosiła:

Na terenie województwa	w dniach:			
	1.I.46	1.IV.46	1.VIII.46	1.X.46
Białostockiego	4	4	4	4
Dolno-Śląskiego	43	56	77	83
Gdańskiego	14	16	16	22
Kieleckiego	37	38	40	43
Krakowskiego	53	59	60	62
Lubelskiego	29	30	30	31
Łódzkiego	44	49	51	52
Mazurskiego	5	5	5	5
Pomorskiego	32	37	37	37
Poznańskiego	67	73	79	79
Rzeszowskiego	20	21	21	21
Śląsko-Dąbrowskiego	64	76	89	97
Warszawskiego	95	114	128	132
Zachodnio-Pomorskiego	13	13	14	14
Razem:	520	591	651	682

Nie ma prawie powiatu, gdzie nie istniałaby bodaj jedna czynna drukarnia. Wszystkie zakłady poligraficzne są kontrolowane stale przez wojewódzkich kontrolerów drukarni oraz inspektora drukarni Głównego Urzędu.

Kontrole drukarni mają na celu stwierdzenie, czy kierownictwa drukarni przestrzegają zarządzeń o trybie drukowania i rozpowszechniania druków, książek i czasopism.

III Dane personaln.

Ze względu na rozrost obiektów kontroli, personel Głównego Urzędu i Urzędów terenowych wzrasta.

Wzrost personelu w roku 1946 ilustruje tabelka:

	<u>Stan w dn. 1.I.46</u>	<u>Stan w dn.31.XII.46</u>
<u>Główny Urząd:</u>		
Personel cenzorski	25	46
Personel administracyjny	13	26
niżsi funkcjonariusze i pracownicy gospodarczy	10	27
Razem:	48	99

Urzędy terenowe:

Personel cenzorski	245	337
Personel administracyjny. . .	37	47
Niżsi funkcjonariusze i pracownicy gospodarczy . .	45	52
Razem:	327	436
Ogółem:	375	535

Ilość urzędów terenowych wynosi obecnie 22, w tym 14 Wojew. Urzędów Kontroli Prasy i 8 Miejskich Urzędów Kontroli Prasy.

Ilość cenzorów powiatowych wynosiła:

<u>w dn. 1.I.1946</u>	<u>w dn. 31.XII.194</u>
128	197

IV Trudności w pracy

W zakończeniu należy wskazać na trzy rodzaje trudności, które wpływają ujemnie na funkcjonowanie aparatu urzędowego:

1. Organizacyjno-prawne

Działalność Głównego Urzędu i placówek terenowych opiera się na Dekrecie z dnia 5.7.1946, Dz.U. Nr 34. Dekret ten – jako ramowy – wymaga rozwinięcia drogą rozporządzenia wykonawczego², które określi strukturę Urzędu, tok instancji, właściwość terenową itp., przede wszystkim zaś sprecyzuje jego uprawnienia i tym samym rozwiąże wątpliwości i spory kompetencyjne z innymi Urzędami i instytucjami, jakie w praktyce się zdarzają. – Projekt rozporządzenia Główny Urząd przedstawił Biuru Prawnemu Prezydium Rady Ministrów jeszcze w listopadzie 1946 roku.

2. Lokalowe

Dotyczą przede wszystkim Głównego Urzędu, którego pomieszczenie (Koszykowa 31) jest bardziej niż niedostateczne. Budynek przy ul. Koszykowej 31, będący domem mieszkalnym nie przeznaczonym na cele biurowe, w części swej zajęty jest przez osoby prywatne, co z uwagi na dobro służby jest wręcz niedopuszczalne. Ciasnota w biurach doprowadziła do tego, że obecnie ilość urzędników, pracujących w jednym pokoju, waha się od 4-8. Wydajność pracy w takich warunkach nie może osiągnąć właściwego poziomu, a przestrzeganie tajemnicy służbowej jest bardzo utrudnione. Dlatego konieczny jest przydział odpowiedniego budynku biurowego. Dotychczasowe starania Głównego Urzędu nie odniosły skutku.

3. Personalne

Praca cenzora wymaga nie tylko odpowiedniego wykształcenia lecz także szczególnego wyrobienia politycznego, dużej wytrzymałości nerwowej i fizycznej, ponieważ znaczna część tej pracy odbywa się porą nocną w drukarniach. Uposażenie cenzorskie jest niewspółmierne z wymogami stawianymi kandydatom na cenzorów. Ci, którzy posiadają właściwe kwalifikacje, łatwo uzyskują zajęcia lepiej płatne i mniej wyczerpujące.

Dlatego często wypada zatrudniać pracowników mniej kwalifikowanych, co ma swój zrozumiały wpływ na poziom pracy cenzorskiej. Mając powyższe na uwadze, Główny Urząd przedstawił w listopadzie 1946 roku projekt specjalnego dodatku cenzorskiego do uposażenia, który jednak do tej pory nie został przyznany.

Dyrektor

(T. ZABŁUDOWSKI)

Źródło: AAN, PRM-290, t. 16/92

1. Protokołów z tych narad nie znalazłem w zespole akt GUKPPiW przechowywanych w AAN, ale korzystał z nich w latach 80. Ciećwierz.

2. Zamiast rozporządzeń wykonawczych najpierw dokonano nowelizacji poszerzających obszary kontroli. Pierwsza została uchwalona 28 lipca 1948 r. (Dz.U.1948, nr 24, poz. 163). Następna – z 1952 r. (Dz.U. 1952, nr 19, poz. 114) – poddawała kontroli Urzędu m.in. powielacze i pieczątki. Towarzyszące jej rozporządzenie wykonawcze (Dz.U. tenże, poz. 124) było lakoniczne i nie wносиło żadnych istotnych uszczegółowień.

DOKUMENT 2

SPRAWOZDANIE

**z działalności Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i
Widowisk za czas od 1.X.47 r. do 21.XII.47 r., z uwzględnieniem
charakterystyki niektórych działów za okres od 1.I.47 do
31.XII.47 r.**

I OBIEKTY KONTROLI

Pod kontrolą Głównego Urzędu znajdują się:

- a) prasa krajowa i zagraniczna,
- b) publikacje,
- c) widowiska,
- d) filmy,
- e) biblioteki,
- f) drukarnie i zakłady poligraficzne.

1. Prasa krajowa

Ilość czasopism kontrolowanych przez placówki Głównego Urzędu Kontroli Prasy wynosiła w dniu 31.XII.47 r. ogółem 742 (zał. Nr 1)¹. W porównaniu ze stanem z dnia 30.IX.47 r. ilość czasopism uległa zmniejszeniu o 12, w tym zwiększyła się ilość dzienników (+6), miesięczników (+5), kwartalników (+5) i roczników (+10), zmniejszyła się ilość tygodników (-14), dwutygodników (-7), dwumiesięczników (-5) i czasopism nieregularnych (-12).

W porównaniu ze stanem z dnia 31.XII.46 r. ilość czasopism wzrosła o 90.

Z ogólnej ilości czasopism wg stanu z dnia 31.XII.47 r. przypada na:

dział polityczny ²	91 czasopism
dział społeczny	102 czasopism
dział zawodowy	201 czasopism
dział religijny	65 czasopism, w tym 55 katol.

dział naukowy	85 czasopism
dział oświatowy	101 czasopism
dział literacki	24 czasopism
dział urzędowy	73 czasopism
Razem	742 czasopisma

W ciągu roku 1947 ilość spraw załatwionych przez Referat Rejestracji Czasopism wyniosła:

	ogółem spraw	nowe	dotyczące zmian czasopism
wpłynęło podań	586	285	301
załatwiono pozytyw.	380	148	232
załatwiono odmownie	140	85	54
nie załatwiono do końca roku 1947	66	51	15

Załatwiono pozytywnie (zmiany)

a) zwiększono nakładów	65
b) zwiększono objętość	28
c) zmieniono format	9
d) zmieniono częst.	8
e) inne zmiany	71
f) zmiany jednorazowe	51
Razem	232

Kontrola prewencyjna dokonała w ciągu okresu sprawozdawczego ogółem 2950 ingerencji cenzorskich i 953 konfiskat całych artykułów³.

Ilość ocen czasopism sporządzonych w okresie sprawozdawczym przez organa kontroli wtórnej wynosiła:

w Głównym Urzędzie	83 oceny
w Urzędach Wojew.	95 ocen

2. Prasa zagraniczna

Kontrola prasy zagranicznej, zarówno obcojęzycznej jak i ukazującej się w języku polskim, prowadzona jest pod kątem ewentualnego pozbawienia debitu tych czasopism, które wrogo odnoszą się do Państwa Polskiego.

W ciągu roku 1947, na podstawie zarządzeń Dyrektora Głównego Urzędu Kontroli Prasy, ogłaszanych w *Monitorze Polskim*, odebrano debit komunikacyjny 39 pismom zagranicznym. Z czasopism tych 38 wychodzi w języku polskim, jedno w języku francuskim.

3. Publikacje

a) książki

W okresie sprawozdawczym wydano książek 1144.

Kontrolą prewencyjną objęto w okresie sprawozdawczym:

w Głównym Urzędzie	529 książek
przekazanych do Głównego Urzędu	81 książek
w Wojewódzkich Urzędach	1052 książek
Razem:	1662 książki

Dokonano ingerencji cenzorskich:

w Głównym Urzędzie	311
w Wojewódzkich Urzędach	275
Razem	586

Odmówiono zezwolenia na druk książek – 24.

Poddano kontroli wtórnej w okresie sprawozdawczym:
w Głównym Urzędzie: 621 książek.

Zestawienie za rok 1947

W ciągu roku 1947 wpłynęło do Archiwum Urzędu
ogółem wydanych w r. 1947 – 4664 książek

Kontrolą prewencyjną objęto:

w Głównym Urzędzie	1571 książek
w Wojew. Urzędach	3349 książek
Razem:	4920 książek

Odmówiono zezwolenia na druk książek – 67

Dokonano ingerencji cenzorskich:

w Głównym Urzędzie	801
w Wojew. Urzędach	732
Razem	1533

Poddano kontroli wtórnej:
w Głównym Urzędzie – 3270 książek

b) druki ulotne

Ilość druków ulotnych, jak: afisze, reklamy, obwieszczenia itp. jest trudna do uchwycenia i wzrasta z miesiąca na miesiąc. Przeciętnie wynosi miesięcznie ponad 6000 sztuk. Każdy druk jest poddawany kontroli co najmniej dwukrotnie: przed wydaniem

zezwoleń na drukowanie i przed rozpowszechnianiem gotowego druku. Większość podlega jeszcze kontroli wtórnej już po wyjściu druku.

c) widowiska

W okresie sprawozdawczym:⁴

<u>Ocenzurowano</u> tekstów:	teatrów zawodowych	870
	amatorskich	1261
Razem		2131
Skontrolowano widowisk:	zawodowych	1004
	amatorskich	390
Razem		1394
Dokonano ingerencji:	drobnych	50
	większych	36
Razem		86
Wycofano tekstów (sztuk):		15

5. Filmy

W okresie od 1.I.47 r. do 31.XII.47 r. odnośnie:

a) filmów szerokotaśmowych

Skontrolowano filmów 444

produkcji	dł. metr.	śred. metr.	krót. metr.
amerykańskiej	76	—	12
angielskiej	40	1	5
bułgarskiej	—	—	1
czeskiej	4	1	6
duńskiej	1	—	—
francuskiej	29	—	6
jugosłowiańskiej	—	1	—
polskiej przedw.	9	—	1
Film Polski	3	1	145
poniemieckiej	—	—	1
radzieckiej	72	7	8
szwajcarskiej	4	—	—
szwedzkiej	8	—	—
org. żydowskich	—	1	—
Ogółem	246	12	186

Dokonano ingerencji poważnych – 16

produkcji	dł. metr.	śred. metr.	krót. metr.
amerykańskiej	3	–	–
angielskiej	1	–	–
Filmu Polskiego	–	–	4
radzieckiej	8	–	–
Ogółem	12	–	4

Dokonano ingerencji drobnych – 39

produkcji	dł. metr.	śred. metr.	krót. metr.
amerykańskiej	9	–	–
angielskiej	–	–	1
francuskiej	3	–	–
Filmu Polskiego	–	–	16
radzieckiej	7	2	–
szwedzkiej	1	–	–
Ogółem	20	2	17

Wydano legitymacji filmowych – 234

Przy przeprowadzaniu ponownej kontroli filmów ocenzone w 1945 roku wycofano z obiegu:

produkcji	amerykańskiej	1
	angielskiej	1
	francuskiej	1
	polskiej przedw.	4
Ogółem:		7

Ponadto wycofano 1 film ocenzone przez G.U.K.P. w miesiąc po udzieleniu zezwolenia na wyświetlanie (Złote Wrota!).

b) Skontrolowano 75 obrazów – bez ingerencji.

c) Filmów wąskotaśmowych:

Ocenzone filmów:

produkcji	amerykańskiej	9
	angielskiej	11
	polskiej przedw.	2
	radzieckiej	25
	niemieckiej	89
	org. żydowskich	1

Ogółem: 137

Odmówiono zezwolenia na wyświetlanie filmów:

produkcji	amerykańskiej	2
	niemieckiej	1

Ogółem: 3

Wydano legitymacji filmowych 133

Dokonano ingerencji w filmach 11:

produkcji	amerykańskiej	2
	radzieckiej	7
	poniemieckiej	2

Ogółem: 11

6. Biblioteki

W okresie od 1.I.47 r. do 31.XII.47 r. skontrolowano przez Wojewódzkie Urzędy Kontroli Prasy 1020 bibliotek i księgarń. Wycofano z obiegu przez Główny Urząd 37 książek (tytułów).

7. Drukarnie i zakłady poligraficzne.

Ilość drukarni i zakładów Przemysłu Poligraficznego kontrolowanych przez urzędy Kontroli Prasy wykazuje następująca tabela:

L.p.Województwo	Siedziba wojew.	ilość drukarni czynnych	zlikwidowanych
1. Białostockie	Białystok	4	-
2. Mazurskie	Olsztyn	5	-
3. Gdańskie	Gdynia	23	4
4. Zachodnio-Pomorskie	Szczecin	28	-
5. Poznańskie	Poznań	96	-
6. Dolno-Śląskie	Wrocław	71	14
7. Łódzkie	Łódź	63	2
8. Krakowskie	Kraków	63	-
9. Śląsko-Dąbr.	Katowice	93	3
10. Kieleckie	Radom	35	-
11. Rzeszowskie	Rzeszów	23	-
12. Lubelskie	Lublin	32	-
13. Pomorskie	Bydgoszcz	34	2
14. Warszawskie	Warszawa	156	-
Razem:		726	25

W porównaniu ze stanem z dnia 31.XII.46 r. ilość drukarni i zakładów poligraficznych wzrosła o 44.

Wszystkie zakłady poligraficzne są kontrolowane stale przez wojewódzkich kontrolerów drukarni oraz inspektora drukarni Głównego Urzędu.

Kontrolę drukarni mają na celu stwierdzenie, czy kierownictwa drukarni przestrzegają zarządzeń o trybie drukowania i rozpowszechniania druków, książek i czasopism.

II RUCH PERSONALNY

Ruch personalny za rok 1947 ilustruje tabelka:

	Stan w dniu 1.I.47	w ciągu roku		stan w dniu 31.XII.47
		przybyło	ubyło	
<u>Główny Urząd</u>				
pracowników umysłowych	71	45	16	100
fizycznych	28	19	11	36
	99	64	27	136
<u>Urzędy terenowe</u>				
pracowników umysłowych	384	89	301	172
fizycznych	52	23	37	38
	436	112	338	210
Ogółem:	535	176	365	346

Zmniejszenie się stanu pracowników do 346 zostało spowodowane redukcją stanowisk pełnomocników powiatowych z dniem 31 grudnia 1947 r. Czynności pełnomocników powiatowych przejęły z dniem 1 stycznia 1948 r. starostwa powiatowe.

Ilość urzędów terenowych z roku 1947 (14 Wojewódzkich Urzędów Kontroli Prasy i 8 Miejskich Urzędów Kontroli Prasy) ulegnie w roku 1948 zwiększeniu. Na miejsce Miejskich Urzędów Kontroli Prasy powstają Grodzkie Urzędy Kontroli Prasy, przy czym ilość ich zwiększy się do dwudziestu sześciu. Projektuje się poza tym likwidację Wojewódzkiego Urzędu Kontroli Prasy w Warszawie i utworzenie Stołecznego Urzędu, obejmującego również i województwo warszawskie.

III TRUDNOŚCI W PRACY

Główny Urząd Kontroli Prasy nadal nie posiada wystarczającego lokalu biurowego. W 25 izbach mieści się lokal biurowy

dla 130 pracowników oraz stołówka z kuchnią. Koniecznym byłoby uzyskanie dla Głównego Urzędu oddzielnego budynku na lokale biurowe, gdyż wykonywanie codziennych zajęć w dotychczasowych warunkach rujnuje zdrowie i niszczy system nerwowy pracowników.

Aczkolwiek nieznaczna ilość mieszkań zostanie pracownikom przydzielona po uzyskaniu części domu przy ul. Rakowieckiej nr 9, duża ilość pracowników nadal nie posiada mieszkań i gnieździ się kątem. Są wypadki zamieszkiwania naszych pracowników w jednym pokoju razem z dziećmi i starymi, niezdolnymi do pracy rodzicami. Dwaj pracownicy nie posiadają mieszkań zupełnie.

Na prowincji stan pomieszczeń naszych placówek wojewódzkich nie uległ zmianie. Pomieszczenia Urzędów Grodzkich, zwłaszcza nowo tworzonych – nie są dostateczne. Starania o przydział odpowiednich lokali nie zawsze spotykają się ze zrozumieniem u właściwych władz miejskich.

Warszawa, dnia 31.I.48 r.

DYREKTOR (T. ZABŁUDOWSKI)

Źródło: AAN, PRM-290, t.16/92

-
1. Załączniki nie zachowały się.
 2. Chodzi o działy używane w statystyce druków, a nie działy pracy Urzędu.
 3. Wedle sprawozdań częściowych (za I półrocze i III kwartał) w okresie 1 stycznia – 30 września dokonano: 5172 ingerencji i skonfiskowano w całości 781 artykułów (AAN, PRM-290, t. 16/92).
 4. Wedle sprawozdań częściowych (j.w.) poddano kontroli 9729 tekstów i 4454 widowiska, dokonano ingerencji: drobnych – 261, większych – 94; wycofano 63 teksty.

DOKUMENT 3

SPRAWOZDANIE

z działalności Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk za czas od dnia 1.I. do dnia 30.VI.1948 r.¹

Obiekty kontroli:

Pod kontrolą Głównego Urzędu znajdują się:

- a) prasa krajowa i zagraniczna,**
- b) publikacje,**
- c) widowiska,**

- d) filmy,
- e) biblioteki,
- f) drukarnie i zakłady poligraficzne.

1. Prasa

Ogólna ilość czasopism kontrolowanych przez placówki Głównego Urzędu Kontroli Prasy wynosiła:

Charakter czasopisma	wg stanu z dn.31.XII.47	wg stanu z dn.30.VI.48
Dzienników	65	82/45 mutacji
Tygodników	66	73/1 mutacja
Co 10 dni		3
Dwutygodników	69	75
Miesięczników	291	299
Dwumiesięczników	18	27
Kwartalników	55	75
Półroczników		4
Roczników	29	33
Nieregularnych	76	93
Razem	669	764 tytułów
urzędowych	73	77
Ogółem	742	841 tytułów

Ogólna ilość ingerencji cenzorskich w prasie w okresie sprawozdawczym wynosiła – 3274.

Ogólna ilość skonfiskowanych całych artykułów za okres sprawozdawczy wynosi – 649.

2. Prasa zagraniczna

Odebrano debity 2 czasopismom zagranicznym, wychodzącym w języku polskim.

3. Publikacje

a) książki

W okresie sprawozdawczym wydano książek 2375.
Kontroli prewencyjnej poddano książek:

w G.U.K.P.	1912
w W.U.K.P.	1980
Razem	3892

Kontroli wtórnej poddano książek w G.U.K.P. – 1580

Poczyniono ingerencji cenzorskich:

w G.U.K.P.	583
w W.U.K.P.	287
Razem	870

Nie udzielono zezwoleń na druk książek – 55.

b) druki ulotne

Ilość druków ulotnych jak afisze, reklamy, obwieszczenia i.t.p. jest trudna do uchwycenia. Przeciętnie wynosi ponad 6000 szt. miesięcznie. Każdy druk jest poddawany kontroli co najmniej dwukrotnie: przed wydaniem zezwolenia na drukowanie i przed rozpowszechnieniem gotowego druku. Większość druków podlega jeszcze wtórnej kontroli po nadesłaniu egzemplarzy okazowych do G.U.K.P.

4. Widowiska

W okresie sprawozdawczym:

Ocenzurowano tekstów	9971
Skontrolowano widowisk	4802
(w tym zawodowych	2110
amatorskich	2692)
Dokonano ingerencji	467
Wycofano tekstów	32

5. Filmy

Sprawozdanie statystyczne za I kwartał 1948 r.
(szeroka taśma)

Skontrolowano seansów filmowych 157

produkcji	dł. metr.	śred. metr.	krót. metr.
amerykańskiej	28	–	41
angielskiej	16	–	–
czeskiej	2	–	–
francuskiej	5	–	1
jugosłowiańskiej	2	–	–
polskiej przedw.	1	–	1
Film Polski	1	–	33
radzieckiej	18	–	4
niemieckiej	–	–	2
org. żydowskich	2	–	–
Ogółem	75	–	82

Dokonano ingerencji poważnych – 11

<u>produkcji</u>	<u>dł. metr.</u>	<u>śred. metr.</u>	<u>krót. metr.</u>
amerykańskiej	3	–	–
Film Polski	–	–	4
polskiej przedw.	2	–	–
radzieckiej	2	–	–
Ogółem	7	–	4

Dokonano ingerencji drobnych – 20

<u>produkcji</u>	<u>dł. metr.</u>	<u>śred. metr.</u>	<u>krót. metr.</u>
amerykańskiej	5	–	1
angielskiej	2	–	–
francuskiej	2	–	–
Film Polski	–	–	3
radzieckiej	6	–	–
org. żydowskich	1	–	–
Ogółem	16	–	4

Filmów odrzuconych przez Film Polski – 21

Zdyskwalifikowanych przez G.U.K.P.iW. – 2

Wydano legitymacji filmowych – 64

(wąska taśma)

Skontrolowano filmów: 43

Dokonano ingerencji: 6

Wydano legitymacji filmowych: 34

Obejrzano 72 obrazy do przezroczy

Sprawozdanie statystyczne za II kwartał 1948 r.
(szeroka taśma)

Skontrolowano seansów filmowych: 133

<u>produkcji</u>	<u>dł. metr.</u>	<u>śred. metr.</u>	<u>krót. metr.</u>
amerykańskiej	22	1	17
angielskiej	9	–	–
czeskiej	7	–	–
bułgarskiej	–	–	3
francuskiej	10	–	1
jugosłowiańskiej	1	–	–
palestyńskiej	1	–	–

Film Polski	2	—	32
radzieckiej	20	—	3
szwajcarskiej	—	—	2
włoskiej	1	—	—
niemieckiej	1	—	—
Ogółem	74	1	58

Dokonano ingerencji poważnych – 3

<u>produkcji</u>	<u>dł. metr.</u>	<u>śred. metr.</u>	<u>krót. metr.</u>
Film Polski	—	—	2
radzieckiej	1	—	—
Ogółem	1	—	2

Dokonano ingerencji drobnych – 14

<u>produkcji</u>	<u>dł. metr.</u>	<u>śred. metr.</u>	<u>krót. metr.</u>
amerykańskiej	3	—	1
bułgarskiej	—	—	1
Film Polski	—	—	5
radzieckiej	4	—	—
Ogółem	7	—	7

Filmów odrzuconych przez Film Polski: 8

Wydano legitymacji filmowych: 56

(wąska taśma)

Skontrolowano filmów: 21

Filmów odrzuconych: 4

6. Biblioteki

W okresie sprawozdawczym skontrolowano przez Wojewódzkie Urzędy Kontroli Prasy 489 bibliotek i księgarni.

7. Drukarnie i zakłady poligraficzne

Ilość drukarni i zakładów przemysłu poligraficznego kontrolowanych przez Urzędy Kontroli Prasy wykazuje następująca tabela:

województwo:	ilość drukarni:
warszawskie	176
łódzkie	74
olsztyńskie	7
poznańskie	108

białostockie	4
pomorskie	38
lubelskie	33
śląsko-dąbrowskie	101
rzeszowskie	24
dolno-śląskie	65
kieleckie	32
gdańskie	24
krakowskie	73
szczecińskie	26
Razem:	785

W porównaniu ze stanem z dnia 31.XII.1947 r. ilość drukarni i zakładów poligraficznych wzrosła o 59.

ZASTĘPCA NACZELNEGO DYREKTORA
T[adeusz] KARPOWSKI²

Źródło: AAN, PRM-290, t. 16/92

1. Sprawozdania za II półrocze nie znaleziono w zespole akt Prezydium Rady Ministrów.

2. Od czerwca 1948 r. na stanowisku dyrektora (nazwanego: Naczelnym Dyrektorem) T. Zabłudowskiego zastąpił Lesław Wojtyga, który z końcem roku przeszedł do pracy w aparacie KC. Naczelnym Dyrektorem został Antoni Bida.

DOKUMENT 4 A

Wyciąg z tabeli G.U.K.P.PiW.
„Sprawozdanie statystyczne za 1949 r.”

I Prasa

Ingerencje:

Ogólna ilość ingerencji – 15 039

w tym konfiskaty całych artykułów – 3 159

II Publikacje nieperiodyczne

Wydano książek – 5 986

Kontroli prewencyjnej poddano – 10 730

Ogólna ilość ingerencji – 5 580

Odmówiono zezwoleń na wydanie – 447

III Druki ulotne

Ilość druków – 77 796

Łączny nakład – 865 342 226

Ogólna ilość ingerencji – 698
Skonfiskowano w całości – 337

IV Widowiska

Skontrolowano tekstów – 22 340
Ingerencje drobne – 1 388
Ingerencje większe – 459
Wycofano w całości tekstów – 1 091
Skontrolowano widowisk i imprez – 5 309
Zmiany po próbie generalnej drobne – 54
większe – 12
Zawieszono widowisko w całości – 20

V Filmy

Skontrolowano filmów szerokotaśmowych – 674
wąskotaśmowych – 102
krajowych – 205
zagranicznych – 582
Ingerencje drobne krajowe – 29
większe – 8
drobne zagraniczne – 46
większe – 53
Wycofano – krajowe – 10
zagraniczne – 45
Wydano legitymacji filmowych – 274
Zakwalifikowano krajowych i zagranicznych – 686

VI Drukarnie

Stan na 1 I 1949 r. – 788
31 XII 1949 r. – 775
ilość przeprowadzonych inspekcji – 7 117

VII Biblioteki

Skontrolowano bibliotek – 329
księgarń – 92
czytelni – 33
Wycofano z bibliotek książek – 623
tytułów – 386

Ogólna ilość ingerencji:

Prasa – 15 039
Publikacje nieperiodyczne – 5 580
Druki ulotne – 698
Widowiska – 1 847
Filmy – 136
Razem – 23 300

*Szef Działu Ogólnego
(-) M[ieczysław] MANELI*

Źródło: AAN, PRM – 290, t. 15/33

DOKUMENT 4 B

Stan etatów
na 31.XII.1949 r.
w Urzędach Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk

Przyznane etaty wg preliminarza na 1949 r.		Stan faktyczny etatów na 31 grudnia 1949 r.		
Grupa	Ilość	w Głównym Urzędzie Kontroli Prasy, Publi- kacji i Widowisk	w Wojewódzkich Urzę- dach Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk	Razem:
I	1	1	-	1
II	2	-	-	-
III	8	1	-	1
IV	11	6	3	9
V	51	13	7	20
VI	83	18	22	40
VII	76	32	53	85
VIII	100	33	83	116
IX	30	10	24	34
X	6	17	2	19
XI	30	8	11	19
XII	29	10	12	22
Ogółem:	427	149	217	366

Pracownicy opłacani ryczałtem:

Główny Urząd Kontroli Prasy:	
Szoferów	– 7
Sprzątaczek	– 12
Innych kontr.	– 1
Rzeczoznawców	– 16

Wojewódzkie Urzędy Kontroli Prasy:	
Szoferów	– 4
Sprzątaczek	– 12
Innych kontr.	– 4
Rzeczoznawców	– 2
Pełnomocników powiatowych (ref. społ. polit.)	– 255

*NACZELNIK WYDZIAŁU OSOBOWEGO
(J. FRYDBERG)*

Źródło: AAN, PRM-290, t. 15/33

DOKUMENT 5

Warszawa, dn. 18 czerwca 1945 r.

**RZECZPOSPOLITA POLSKA
MINISTERSTWO
BEZPIECZEŃSTWA PUBLICZNEGO
NR 451/45**

SPRAWOZDANIE Z PRACY

**Sekcji II-ej (Cenzury Cywilnej) Wydziału C[enzury] W[ojennej]
Ministerstwa B.P. za cały okres swojej pracy; od października
1944 r. do 1 maja [19]45 r.**

Rozpoczynając od października 1944 r., gdy zostały zorganizowane 4 wojewódzkie oddziały Cenzury Cywilnej w tzw. Polsce Lubelskiej, dzięki należytej kontroli i współpracy z Ministerstwem i Urzędami Poczty i Telegrafów, ogarnęliśmy cenzurą całą korespondencję pocztową i telegraficzną w kraju.

W miarę wyzwalań kraju przez Armię Czerwoną i Wojsko Polskie w ślad za armią wysyłaliśmy grupy operacyjne Cenzury Cywilnej, które organizowały nowe wojewódzkie i powiatowe oddziały CW.

Do 1 czerwca 1945 r. zorganizowaliśmy 11 wojewódzkich i 17

powiatowych Oddziałów CW. W sumie 28 Oddziałów. W stanie organizacji jest cały szereg nowych Oddziałów we wszystkich województwach zachodnich.

I. Obieg korespondencji

Za okres sprawozdawczy, do 1 maja 1945 r. opracowaliśmy 4.393.789 listów i 178.939 telegramów.

Obieg korespondencji wzrósł przeważnie w ostatnich miesiącach i rośnie wciąż dość znacznie.

O wzroście obiegu świadczą następujące cyfry:

W pierwszym okresie, do lutego 1945 r., w 4-ch wojew[ódzkich] Oddziałach CW. opracowaliśmy 715.976 listów i 26.328 telegramów.

W drugim okresie, po uwolnieniu całego kraju, a więc od lutego 1945 r. do 1 maja br. opracowaliśmy w 11 wojew. Oddziałach CW. – 3.677.813 listów i 152 611 telegramów.

W kwietniu br. opracowaliśmy 1.725.593 listów i 84.513 telegramów, podczas gdy w lutym br. – tylko 563.498 listów.

Wzrost więc opracowanej przez nas korespondencji wyniósł 201%, w maju wzrost był jeszcze większy.

Najwięcej korespondencji opracowały Oddziały CW. w wojew[ództwie] lubelskim, które pierwsze zaczęły pracę, razem – 1.088.223. Oddziały krakowskie, łódzkie, warszawskie i rzeszowskie wszystkie prawie po 50 000 dok[umentów] miesięcznie, szybko rośnie obieg korespondencji w wojew. poznańskim i pomorskim. Zadziwiająco mały obieg stwierdziliśmy w woj. białostockim, a mianowicie 116.241 dok.[umentów] od 25 X 44 r. do 1 V 45 r.

II. Charakterystyka opracowanej korespondencji

1. Korespondencja według języków.

Prawie 99,5% korespondencji było dotychczas w języku polskim, w języku rosyjskim, oprócz Oddziału Zagranicznego zanotowano w całym kraju 29.305 dok. W języku ukraińskim opracowano w woj. rzeszowskim 4.302 dok., w lubelskim 1.326 dok. W ostatnim miesiącu dokumentów ukraińskich już prawie nie było.

W Oddziale Zagranicznym zanotowano korespondencję w 23 językach, skierowaną do 52 krajów. Większość korespondencji zagranicznej idzie do Związku Radzieckiego.

2. Korespondencja według treści.

Korespondencja w swej większości jest o obojętnej lub w małym procencie o pozytywnej treści.

W 175.384 dokumentach stwierdzono ujemną treść, z czego 10.151 dok., czyli 0,25% korespondencji trzeba było skonfiskować.

W 162.425 dok. czyli w 3,7% korespond. usunięto część treści o ujemnym charakterze.

W 52.712 dok. czyli w 1,2% korespondencji cywilnej ujawniono

wiadomości rozgłaszające tajemnice wojskowe.

W korespondencji ujawniono ujemne wypowiedzi m.in. o następującej treści:

1. Antyrządowe, profaszystowskie, prowokacyjne: siejące nastroje defetystyczne, antyrządowe ulotki i anonimy – 19.059.

2. Antysowieckie wypowiedzi, dyskredytujące Wojsko Polskie i Armię Czerwoną – 8.142.

3. O reakcyjnych elementach i ugrupowaniach A.K., N.S.Z. i inne – 6.860.

4. O nieprawidłowym wykonywaniu zarządzeń państw. i naduż. władz – 3.772.

5. O nieporządkach w kraju: bandytyzmie, grabieżach, głodzie, epidemiach, drożyznie, spekulacji, katastrofach, wybuchach – 51.972.

6. O pracy organów CW i UPT – 2.022

7. Dokumenty podejrzane, kody, szyfry i grypsy – 4.324.

8. O złym odżywianiu, umundurowaniu, o anty-sanitarnym stanie, epidemiach, nieporządkach w szkołach oficerskich, sanbatach i szpitalach, o ciężkim położeniu rodzin żołnierzy i oficer. – 1.793.

9. O dezercji, represjach w armii i aresztach członków rodzin, żołnierzy i oficerów – 944.

10. O represjach, grupowych represjach wśród ludności cywilnej, o pracy organów BP, uprzedzenia o aresztach, rewizjach i poszukiwaniach – 6.323.

11. Fikcyjne wezwania – 59.

12. Rozgłaszające tajemnicę wojskową – 52.712.

[...]¹

3. Operacyjne i informacyjne materiały.

W okresie sprawozdawczym do 1 maja, Oddziały CW wysłały do Urzędów Bezp. Publicznego i Wydziału CW 10.193 dokumentów operacyjnych i informacyjnych, czyli 0,23% opracowanej korespondencji miało charakter operacyjny i informacyjny.

Ilość operacyjnych i informacyjnych materiałów CW przesłanych do UBP rośnie z każdym miesiącem, wraz z wzrostem obiegu korespondencji i wzrostem kwalifikacji Oddziałów CW, nie zważając na to, że ludność jest powiadomiona o istnieniu cenzury.

O wzroście tym świadczą następujące cyfry:

W grudniu 1944 r. wszystkie Oddziały CW przysłały do UBP lub do Wydziału CW do operacyjnego użytku 443 listy i 137 wyciągów z listów, jak i 7 specjalnych doniesień informacyjnych.

W kwietniu 1945 r. wysłano 2361 listów i 1.312 wyciągów operacyjnych, 159 specdoniesień i 49 wyciągów informacyjnych.

Wzrost w operacyjnych materiałach wyniósł więc 630%, informacyjnych – 2.800%.

Ukazane cyfry świadczą o wciąż pogłębiającej się pracy Oddziałów CW.

Specjalnych doniesień w ilości 390 wysłano do woj. UBP i do Wydziału CW Minist. Bezp. Publ. na kilkadziesiąt różnych tematów, odzwierciedlających nastroje ludności.

Najwięcej dostarczały operatywnych materiałów Oddziały CW w Łodzi i Lublinie, w Krakowie, Warszawie i w Kielcach.

Oddziały w Łodzi, powiatowe Oddziały lubelskiego, Oddziały w krakowskim, rzeszowskim, katowickim dla lepszego wykorzystania operatywnych materiałów CW przez UBP oprócz listów oryginałów wysyłały także wyciągi z wszystkich prawie listów.

Najwięcej stosunkowo dostarczył informacyjnych materiałów, specdoniesień Oddział CW w Lublinie, który przysłał do Wydziału do 1 maja 135 specdoniesień, następnie woj. Oddział CW w Warszawie, w Kielcach, najmniej Łódź i Białystok, jeżeli nie uwzględnimy Oddziałów Poznańskiego i Bydgoskiego, które najpóźniej powstały.

Poniżej podajemy tablicę tematów poruszanych w specjalnych doniesieniach za jeden tylko miesiąc, za kwiecień 1945 r. Ogółem poruszono około 50 tematów m. innymi podajemy następujące:

L.P.	Temat spec- doniesienia	ilość spec. na dany temat	ilość wyciągów
1.	Prowokacyjne pogłoski	9	52
2.	Antyrządowe wypowiedzi	5	40
3.	Reakcyjne ugrupowania	4	70
4.	Elementy antyrządowe	8	71
5.	Dokumenty podejrzane	2	5
6.	Listy z więzień i obozów	1	6
7.	Dyskredytacja miejsc.organ.władzy	3	19
8.	Nieporządki w kraju	8	140
9.	Praca organów C.W.	6	48
10.	Uchylanie się od służby wojskowej	4	18
11.	Represje	3	18
12.	Stosunki w kolejnictwie	2	3
13.	Nastroje na terenach zachodnich	2	16
14.	Warszawa	1	20
15.	Partie polityczne	5	2
16.	O reformie rolnej	4	20
17.	O pracach wiosennych na wsi i siew	2	29
18.	O volksniemcach	10	34
19.	Pogróżki	1	3
20.	O nieszczęśliwych wypadkach	2	16
21.	Antysowieckie wypowiedzi	1	4
22.	Dyskredytacja Armii Polskiej i Czerwonej	4	32
23.	Defetyzm	1	6
24.	O złym odżywianiu w armii	1	5
25.	O antysanitarnym stanie w armii	1	5
26.	O nieporządkach w sanbatkach i szpitalach	2	6
27.	O ujawnieniu tajemnicy wojskowej	7	17

28.O pracy organów pocztowych	3	22
29.O pozytywnym stosunku do Rządu Tymcz.	2	13
30.O fikcyjnych wezwaniach	2	5
31.O śmierci prezydenta Roosvelta	1	3
32.O armii Andersa	1	1
33.O oficerach z obozów i łagrów	1	1
34.Ustosunkowanie się mieszkańców Śląska do mieszkańców innych wojew.i odwrotnie	1	4
35.Nienawiść narodowościowa	1	3
36.O litości ludności polskiej nad Niemcami	2	6
37.Prowokacyjne wiadomości o Gdańsku	2	15
38.Skargi Gdańszczan na nieprzynawanie im praw Polaków	1	4
39.O spekulacji	1	6
40.,,Szaber"	1	9
41.Kolumna sabotażowa niemiecka	1	3

[...]

IV. Kontrola Urzędów Pocztowo-Telegraf.

Pomimo ścisłych kontaktów z Ministerstwem Poczty i Telegrafów i Dyrekcjami P.iT. wszystkie Oddziały przeprowadzały w myśl dekretu o C.W. systematycznie kontrolę U.P.T. w swoich województwach. Dzięki tym kontrolom dopieiliśmy tego, że cała korespondencja zostaje skierowana na punkty Cenzury.

W ostatnich miesiącach rozpoczęły nasze Oddziały walkę z przetrzymywaniem przez U.P.T. poczty.

Ogółem przeprowadzono 103 rewizje U.P.T. ze składaniem każdorazowo akt lub protokołów.

W sprawie przetrzymywania korespondencji przez urzędy pocztowe były złożone raporty do ob. Ministra B.P., podano o tym do wiadomości Prezydenta K.R.N. ob. Bieruta i ob. Ministra P.iT. ob. Kapelińskiego.

Prawie wszędzie ujawniono że U.P.T. w sposób karygodny przetrzymuje korespondencję, nieraz po kilka miesięcy, a w Warszawie jak stwierdzono przetrzymywano setki tysięcy listów po sześć, siedem miesięcy, po drugie U.P.T. nie przeprowadzają odpowiedniej segregacji listów, zamiast posłać listy do najbliższego odpowiedniego punktu cenzury, posyłają gdzie się nadarzy sposobność, przez co jeszcze bardziej przetrzymuje się korespondencję.

Kierownicy Woj. Oddziałów C.W. w okresie sprawozdawczym nie skorzystali w całej pełni ze swych uprawnień, w celu niedopuszczenia do przetrzymywania korespondencji przez U.P.T. i w ten sposób położenia jednocześnie końca pogłoskom, że jakoby cenzura ponosi winę za przetrzymywanie korespondencji.

V Praca organizacyjna

1. Skład Sekcji II

Cenzurą cywilną kieruje Sekcja II, w składzie prawie że niezmiennym od grudnia 1944 r.

Kieruje Sekcją II kpt. [Michał] Taboryski³ – z-ca kierownika Wydziału C.W.

Z-ca Szefa Sekcji II – ppor. Frankowski Wł[adysław]

St. referenci – por. Balbin Sz., ppor. Kichler M., ppor. Zand i chor. Szpak Br[onisław]⁴ (od marca 1945 r.)

Sekretarz – ob. Puziówna J.

[...] ⁵

Stan faktyczny

Skład pracowników 11 wojewódzkich i 12 powiatowych Oddziałów na dzień 1 maja 1945 r. zilustruje następująca tabela:

Kierowników	11
Z-ców	9
St. referen.	24
Referentów	25
St. cenzorów	74
Cenzorów	382
Maszynistek	9
Person. techn.	30
Komendantów	10
Razem osób	585

Kierownicy powiatowych Oddziałów są na podanej tabeli wpisani do st. referentów, ich z-cy do referentów.

Znaczna część ciała kierowniczego pełni obowiązki kierowników, nie została jednak zatwierdzona na te stanowiska ze względu na nieopanowanie jeszcze całości pracy.

Nie została też zatwierdzona wielka ilość cenzorów, która pracuje już od dawna, ponieważ wydziały personalne woj. U.B.P. przetrzymują często przez kilka miesięcy akta personalne.

Skład pracowników w/g ich zatwierdzenia na dzień 1 maja 1945 r. zilustruje podana niżej tabela:

Kierowników	3
Z-ców	5
St. referen.	3
Referentów	9
St. cenzorów	42
Cenzorów	325
Maszynistek	2
Person. techn.	4
Komendantów	3
Razem osób	396

Dzięki Specjalnym Kursom Cenzorskim zostały wzmocnione kadry starszych cenzorów i referentów, mimo to jednak ilość wykwalifikowanych pracowników, zwłaszcza ciała kierowniczego jest jeszcze wciąż niedostateczna.

W miarę wzrostu ilości oddziałów powiatowych i samych Wojew. Oddziałów rośnie rola st. referentów i referentów, jako samodzielnych kierowników Oddziałów powiatowych lub grup cenzorskich.

W wychowaniu takich kadr znaczną pracę położył Kierownik W.O.C.W. w Kielcach, ob. Szczepanik, który co miesiąc zwołuje na odprawę kierowników pow. Oddziałów.

Referenci w wojew. Oddziałach, w wielu wypadkach nie są jeszcze na wysokości zadania, nie weszli w swoją rolę kierowników, nauczycieli i wychowawców swoich grup cenzorskich.

[...] ⁶

Zadania stojące przed cenzurą cywilną

1. Usprawnienie obiegu korespondencji.

w tym celu:

a) Zorganizować wojewódzkie Oddziały C.W. w Olsztynie i Wrocławiu i około 5 powiatowych Oddziałów na zachodzie.

b) Kadry dla tych Oddziałów mają przygotować przede wszystkim Kierownicy woj. Oddziałów Kielc, Łodzi, Warszawy i Krakowa.

c) W poważny sposób wzmocnić kontrolę U.P.T. na terenie całego województwa.

d) Doprowadzić do minimum defekty techniczne (zamiany wkładów, minimum wykreśleń, bardziej kulturalny stosunek do listów; ogólniej przeprowadzać konfiskatę dok.)

2. Zwiększyć ilość i jakość operatywnego i informacyjnego materiału:

w tym celu:

a) wzmocnić powtórna kontrolę co najmniej do 10% ilości wszystkich opracowanych dokumentów.

Bezwzględne wypełnienie norm przy powtórnej kontroli przez kierowników W.O.C.W., i ich z-ców.

b) Szczególny nacisk położyć na usprawnienie pracy operatywnej i informacyjnej P.O.C.W.

c) Usystematyzować naukę, opracować wszystkie konspekty, przeprowadzać codziennie wzorowo prasówki i pięciominutowki.

*Z-ca Kierow. Wydz. C.W.-M.B.P.
Taboryski kpt.*

Źródło: CA MSW, Gabinet Ministra, Sygn. 17/IX/54

1. Opuszczono fragment dot. „Analizy ujemnych wypowiedzi”.

2. Opuszczono fragment dot. „Stosunku UBP do CW”.

3. M. Taboryski – w resorcie od 1 IX 1944 r., od 15 I 1946 r. Kierownik Głównego Urzędu Cenzury MBP, później Dyrektor Biura „B”, wicedyrektor lub p.o. dyrektora Departamentu Techniki Operacyjnej, zwolniony ze służby 15 II 1957 r.

4. B. Szpak – w CW od końca sierpnia 1944 r., od 1 XII 1945 r. do zwolnienia (28 II 1957 r.) kierownik różnych wydziałów w „pionie” kontroli korespondencji.

5. Opuszczono fragment dot. „Metod pracy Sekcji II”.

6. Opuszczono fragmenty dotyczące: „Wydajności pracy”, „Kontroli jakości pracy”, „Pracy kulturalno-oświatowej i zawodowej” oraz „Stanu dyscypliny”.

TOMASZ MIANOWICZ

STAN WYŻSZEJ KONIECZNOŚCI

Generał Jaruzelski był wyraźnie zirytowany: „Pytanie adresowane do mnie nie jest w pełni na miejscu”. Powodem zdenerwowania było pytanie członka Sejmowej Komisji Odpowiedzialności Konstytucyjnej, posła Łukomskiego, dotyczące dokumentu datowanego 5 grudnia 1981 r. a pochodzącego z sekretariatu wiceministra spraw wewnętrznych Ciastonia. Dokument ten zawierał między innymi opracowanie zatytułowane „Zamierzenia resortu spraw wewnętrznych” (w wypadku wprowadzenia stanu wojennego). Jeden z możliwych wariantów rozwoju sytuacji przewidywał – w razie powszechnego oporu – „ostrą interwencję sił MO i wojskowych” i „nie wykluczał pomocy wojsk Układu Warszawskiego”. Sprawę omawiano na posiedzeniu komisji w dniu 10 marca 1993 r. Generał Jaruzelski twierdził, że dokumentu nie zna, podkreślił natomiast, że istniały materiały i wypowiedzi „Solidarności”, „od których skóra cierpła”.

Wspomniany dokument z sekretariatu generała Ciastonia zdaje się podważać tezę Jaruzelskiego, jakoby stan wojenny ogłoszono w celu zapobieżenia sowieckiej interwencji zbrojnej. Wątek zagrożenia akcją wojskową Układu Warszawskiego wyeksponowano jednak dopiero w okresie prac Komisji Odpowiedzialności Konstytucyjnej. Ani w momencie wprowadzenia stanu wojennego, ani w okresie bezpośrednio

po 13 grudnia 1981 r. temat ten praktycznie nie istniał. Ani na posiedzeniu Biura Politycznego 5 grudnia 1981 r., ani na posiedzeniu Rady Państwa, która uchwaliła odpowiedni dekret, nie było w ogóle mowy o zagrożeniu interwencją z zewnątrz. Stan wojenny uzasadniano wówczas kompletną anarchizacją życia w kraju, radykalną polityką „Solidarności”, wywołującą groźbę bratobójczej konfrontacji, koniecznością obrony podstaw ustroju, całkowitym załamaniem gospodarki. Jednak linia obrony generała Jaruzelskiego jest zrozumiała a nawet uzasadniona. W trakcie prac komisji pytania o zagrożenie zbrojną interwencją sąsiadów stało się kwestią pierwszoplanową. Czy istniał ów stan wyższej konieczności, na który powoływali się obwinieni i czy w związku z tym ogłoszenie stanu wojennego było rzeczywiście mniejszym złem?

Komisja Odpowiedzialności Konstytucyjnej jest ciałem *de facto* politycznym, które ma wykonać zadanie właściwe wymiarowi sprawiedliwości. W konstrukcji tej kryje się immanentna i trudna do rozwiązania sprzeczność, jeśli przyjąć, że wymiar sprawiedliwości – w myśl trójpodziału władz – winien być niezależny zarówno od egzekutywy jak i od legislatury, musi ustalić fakty historyczne a zatem wykonać pracę należącą do zakresu badań naukowych. Trudno zatem pogodzić te trzy dziedziny: polityczną, prawną i historyczną. Polityczne zaangażowanie członków komisji (a już sam jej skład jest zależny od fluktuacji w parlamencie) musi w sposób niemal naturalny wpływać na ich postawę zarówno wobec przedmiotu dociekań historycznych jak i wniosków prawnych. Co więcej, już w okresie prac komisji niektórzy jej członkowie a także inni politycy wypowiadali oceny dotyczące obwinionych, które wywoływały medialną ekscytację: mówiono o dopuszczeniu się zdrady państwa przez osoby pociągnięte do odpowiedzialności a w tym kontekście rozważano a nawet postulowano najwyższy wymiar kary. Nie sądzę zatem, aby działalność komisji przyniosła niepodważalne ustalenia historyczne, dla badacza dziejów najnowszych ciekawe może być natomiast skonfrontowanie zeznań osób obwinionych z innymi źródłami. Trudno również oczekiwać orzeczenia, które odpowiadałoby powszechnemu poczuciu sprawiedliwości; można się raczej spodziewać, że

wynik prac komisji stanie się przedmiotem politycznych polemik. W podobny sposób kończą się z reguły prace podobnych organów parlamentarnych, nawet jeśli nie ciąży na nich odpowiedzialność podjęcia decyzji postawienia obwini-onych przed Trybunałem Stanu. Gremia takie w mniejszym lub większym stopniu są forum ścierania się interesów partyjnych i już z tego powodu różnią się od niezależnego sądownictwa, nawet jeśli stosują właściwą sądom procedurę. Nie będę zapewne odosobniony głosząc pogląd, że bardziej wiarygodnym dowodem zerwania z przeszłością a zarazem świadectwem autorytetu sądownictwa, byłoby wymierzenie sprawiedliwości osobom odpowiedzialnym za zakończenie strajku w kopalni „Wujek” w grudniu 1981 r. przy użyciu wozów pancernych i broni palnej. Nie potrzeba do tego komisji sejmowych, wystarczy stosować kodeks karny.

Mało prawdopodobne, choć z pewnością oczekiwane przez inicjatorów komisji orzeczenie stawiające obwini-onych przed Trybunałem Stanu, byłoby politycznie raczej kontrowersyjne, już z uwagi na fakt, że 10 lat po stanie wojennym większość respondentów w badaniach opinii publicznej wyrażała dlań aprobatę a w sondażach dotyczących popularności polityków, Wojciech Jaruzelski, wyraźnie wyprzedzał Lecha Wałęsę.

Niemniej jednak pytanie, czy Polsce groziła w okresie 1980-81 sowiecka interwencja zbrojna, stało się centralnym problemem w dociekaniach Komisji Sejmowej. Zeznania obwini-onych z natury rzeczy niewiele wniosą do rozstrzygnięcia tej kwestii. Pomocny w poszukiwaniu odpowiedzi jest natomiast wydany w Berlinie obszerny tom tajnych dokumentów wschodnioniemieckiej partii komunistycznej SED*. Autorzy wyboru – Michael Kubina i Manfred Wilke skoncentrowali się na polityce NRD wobec Polski doby „Solidarności”. Honecker najbardziej konsekwentnie spośród wszystkich przywódców komunistycznych optował za interwencją zbrojną w PRL na wzór akcji w Czechosłowacji w

* M. Kubina, M. Wilke (oprac.): „Hart und kompromisslos durchgreifen”. Die SED contra Polen 1980/81. Geheimakten der SED-Führung über die Unterdrückung der polnischen Demokratiebewegung. Akademie Verlag, Berlin 1995, ss. 420.

1968 r., widząc w polskim ruchu wolnościowym śmiertelne zagrożenie dla socjalizmu i równie poważne niebezpieczeństwo dla geopolitycznej i gospodarczej sytuacji w NRD. Książka Kubiny i Wilkego informuje wyczerpująco także o polityce całego obozu sowieckiego wobec Warszawy, polityce, której ton nadawała rzecz jasna Moskwa. Zawarte w tomie dokumenty dostarczają jednoznacznej odpowiedzi na pytanie, czy Polsce groziła akcja wojskowa Układu Warszawskiego. Odpowiedź ta jest tym bardziej przekonująca, że potwierdzają ją także inne źródła, w tym archiwa sowieckie.

Idea zastosowania w Polsce wariantu wypróbowanego w Czechosłowacji w 1968 r. upadła na moskiewskim spotkaniu na szczycie państw Układu Warszawskiego, zwołanym z inicjatywy Honeckera 5 grudnia 1980 r. Odpowiednie przygotowania operacyjne do – jak to eufemistycznie określano – „wspólnych działań szkoleniowych” – podjęto już w okresie poprzedzającym tę naradę. Przed międzynarodowymi skutkami interwencji w Polsce ostrzegali w Moskwie Ceausescu i Kadar. Breżniew podkreślał, że polscy towarzysze sami muszą podjąć ofensywę przeciw kontrrewolucji, zapewniając zarazem, że socjalistyczni przyjaciele Polski nie pozostawiają jej samej w potrzebie.

Gotowość operacyjną do akcji w Polsce armia NRD utrzymywała także po spotkaniu w Moskwie (odpowiedni rozkaz dotyczący „wspólnych działań szkoleniowych” dowództwo Narodowej Armii Ludowej odwołało dopiero 5 kwietnia 1982 r.), ale kolejne miesiące miały pokazać, że Sowieci przeciwni są wkroczeniu wojsk Układu Warszawskiego do Polski, zwiększają natomiast naciski, aby skłonić władze PRL do ofensywnych działań „w obronie socjalizmu”. Gigantyczne manewry „Sojuz-81”, przeprowadzone na przełomie marca i kwietnia 1981 r. na terytorium Polski, miały między innymi na celu wywarcie nacisku na kierownictwo PZPR a zarazem na „Solidarność”, by doprowadzić do jej „otrzeźwienia”. Zapewne z uwagi na ten drugi aspekt Kania i Jaruzelski zwrócili się do towarzyszy sowieckich o przedłużenie manewrów. Prośbę tę spełniono tylko częściowo a przebywający wówczas w Warszawie naczelny dowódca wojsk Układu Warszawskiego Kulikow zarzucał nawet

polskim komunistom, że chcą, aby inni wykonywali za nich zadania. Już wówczas sowiecki marszałek podkreślał, że wspólnym celem jest „rozwiązanie problemów w Polsce” bez interwencji armii sojuszniczych. Polskie kierownictwo musi najpierw samo podjąć zdecydowane kroki w obronie socjalizmu a dopiero w wypadku niepowodzenia może liczyć na spełnienie prośby o bratnią pomoc.

Jednak towarzysze polscy zawadzili. Wiosną 1981 r. zarówno w Moskwie jak i w Berlinie Wschodnim oceniano Kanię i Jaruzelskiego skrajnie negatywnie. Nie tylko doprowadzili do rozkładu partii i wzmocnienia „Solidarności”, ale nie byli nawet w stanie dokonać analizy sytuacji w Polsce w kategoriach walki klasowej. Rozwój wydarzeń budził coraz większy niepokój, zwłaszcza, że zbliżał się IX zjazd PZPR a w stolicach „bratnich państw” obawiano się, iż może on jeszcze przyspieszyć odchodzenie od marksistowsko-leninowskich pozycji. Sukcesem politycznym Honeckera było doprowadzenie 16 maja 1981 r. do „mini-szczytu” przywódców państw graniczących z Polską. Spotkanie odbyło się na Kremlu i postanowiono zachować je w tajemnicy. Kubina i Wilke publikują paraflowane przez Honeckera sprawozdanie z narady.

Nawet szef SED oświadczył w Polsce, że nie jest zwolennikiem interwencji zbrojnej w Polsce, choć „sojusznicy w myśl [postanowień] Układu Warszawskiego mieliby do tego prawo”. Zgodność poglądów panowała w ocenie ówczesnych władz PZPR, które „kapitulowały przed kontrrewolucją”. A zatem, jak sformułował to Honecker, „należy stworzyć [w Polsce] takie kierownictwo, które będzie gotowe wprowadzić stan wyjątkowy i energicznie przeciwdziałać kontrrewolucji”.

Erich ma rację – mówił Breżniew. Ocena Kani i konieczność zmian – również się zgadza. Pozostaje tylko zasadnicze pytanie „jak”?

Było to stanowisko o tyle nowe, że jeszcze w kwietniu ‘81 speckomisja sowieckiego politbiura zajmująca się Polską zalecała, pomimo krytycznych ocen, popieranie Kani i Jaruz-

zelskiego z uwagi na brak alternatywy. Jednak uczestnicy narady nie potrafili także ukryć uczucia bezradności:

Co dalej? – pytał Tichonow. – W obecnej sytuacji międzynarodowej interwencja jest niemożliwa, należy zatem aktywnie popierać opór zdrowych sił, ale te zdrowe siły nie mają żadnego wybijającego się przywódcy.

Rozważano możliwość przesunięcia zjazdu PZPR, ale Rusakow, który był członkiem specjalnej komisji do spraw Polski, podkreślał, że zjazdu odroczyć nie można, bowiem wyłoniono już delegatów z zakładów pracy a 30 maja mają nastąpić wybory delegatów z poszczególnych województw. Postanowiono zatem „skupić wszystkie siły” na „jak najlepszym przygotowaniu XI plenum”, tzn. wzmocnieniu zdrowych, marksistowsko-leninowskich sił w polskiej partii. Wymieniono poglądy w sprawach personaliów PZPR, także w kontekście ewentualnych kandydatów na stanowisko I sekretarza. Honecker wyliczył kolejno: Olszowskiego, Grabskiego, Kociołka i Żabińskiego (zaś Rakowskiego określił mianem „zdrajcy”). Husak oświadczył, że „na Olszowskim i Grabskim można polegać”. W opinii Andropowa najlepszą ocenę uzyskał Kociołek. Breżniew podkreślił, że Związek Sowiecki jako główny dostawca ropy naftowej i innych podstawowych surowców ma jeszcze możliwość nacisków gospodarczych na PRL. Ten środek miał się później okazać bardziej skuteczny niż wezwania do „konsekwentnej obrony zdobyczy rewolucji”.

Nie zmieniało to jednak ograniczonych możliwości działania „bratnich państw”.

Główny problem polega na tym – oświadczył Breżniew – że nie można polegać na obecnym kierownictwie [PRL], ale nie mamy żadnej realnej możliwości, aby je wymienić. Trzeba się zastanowić, jak znaleźć właściwe osoby i przygotować je na wyjątkową sytuację.

Realizując linię ustaloną w Moskwie emisariusze SED podjęli intensywne kontakty ze „zdrowymi siłami” w PZPR, licząc na to, że już na XI plenum doprowadzą one do

usunięcia Kani i Jaruzelskiego. List KPZS z 5 czerwca 1981 r. (opublikowany jednak dopiero na plenum), zawierający otwartą krytykę I sekretarza i premiera, bez wątpienia służył również wzmocnieniu orientacji marksistowsko-leninowskiej w polskiej partii. Archiwa SED, dotyczące rozmów z polskimi towarzyszami, opublikowane w książce Kubiny i Wilkego, dostarczają także wielu informacji na temat sytuacji w PZPR. W opinii „zdrowych sił” stan partii był katastrofalny. Kociołek i Olszowski obarczali głównie Jaruzelskiego winą za politykę ustępstw. Szef Wydziału Administracyjnego KC Michał Ałtas uważał, że szansa na dokonanie zmiany poprzez mobilizację sił marksistowsko-leninowskich jest niewielka. Sugerował natomiast, aby na plenum doprowadzić do konfrontacji pomiędzy Gierkiem i Babiuchem (mieli być obecni w związku z omawianiem raportu komisji Grabskiego) a obecnym kierownictwem. Wydział Spraw Międzynarodowych KC SED uwzględniał tę ideę w planie dalszych działań. Ałtas rozważał nawet możliwość wystąpienia Gomułki z apelem o mobilizację zdrowych sił. I sekretarz KW w Zielonej Górze Hebda uważał, że zmiana sytuacji w Polsce możliwa jest tylko poprzez działania z zewnątrz.

Próba puczu, którą podjął na XI plenum Grabski (według Jaruzelskiego miał on „namaszczenie” Moskwy) – nie powiodła się. W tej sytuacji SED postanowiła wzmocnić jeszcze poparcie dla ugrupowań marksistowsko-leninowskich w PZPR w nadziei, że XII plenum, planowane przed zjazdem, doprowadzi do ofensywy przeciwko rewizjonizmowi. Emisariusze z Berlina Wschodniego sondowali nastawienie polskich towarzyszy wobec „pomocy z zewnątrz”. Według Ałtasa tylko zbrojna pomoc bratnich państw mogłaby zapewnić przywrócenie w PRL socjalizmu i marksizmu-leninizmu. Szczególnie ostro Ałtas atakował Kanię, twierdząc, że pewne poszlaki wskazują na to, iż inspirował on strajki w lecie 1980 r., chcąc je wykorzystać do obalenia Gierka.

Z punktu widzenia SED przebieg i wyniki XI zjazdu PZPR były katastrofą. W opinii towarzyszy niemieckich zjazd wzmocnił rewizjonistyczną i socjaldemokratyczną linię polskiej partii. Fatalne wyniki wyborów do KC (eliminacja Grabskiego, Kociołka, Żabińskiego, Kurowskiego) przypisy-

wano skutkom końcowej mowy Rakowskiego, który propagował „zabarwiony nacjonalistycznie model polskiego socjalizmu”.

Wzmocniono gotowość Narodowej Armii Ludowej do udziału we „wspólnych działaniach szkoleniowych” na terytorium PRL. Jednak Honecker daremnie oczekiwał sygnału z Moskwy. Żadne oznaki nie wskazywały na to, by Sowieci zdecydowali się na interwencję. Wprost przeciwnie: wiadomości, jakie szef SED otrzymał z Moskwy na temat rozmów Breżniewa z Kanią i Jaruzelskim, musiały poważnie go zaniepokoić. Wódz KPZS informował, że towarzysze polscy nie wykazują gotowości do konfrontacji a równocześnie w rozmowie z nimi uzależniał charakter stosunków sowiecko-polskich od dalszego rozwoju sytuacji w PRL:

Jeśli Polska pozostanie socjalistyczna – stosunki te będą internacjonalistyczne. Jeśli Polska pójdzie inną drogą – stosunki te zmienią się zarówno w dziedzinie politycznej, jak i gospodarczej.

Według informacji, jaką Honeckerowi przekazał Ruskow 21 października 1981 r., Breżniew już 30 maja tegoż roku oświadczył Jaruzelskiemu bez ogródek, że Związek Sowiecki nie zamierza dostarczać swych cennych surowców do kraju, który „nie wiadomo w jakim obozie znajdzie się jutro”.

W „Pośłaniu do ludzi pracy Europy Wschodniej” uchwalonym 5 września 1981 r. na zjeździe „Solidarności” w Gdańsku, SED widziała próbę rozszerzenia kontrrewolucji poza granice Polski. Ambasador NRD w Warszawie Neubauer złożył oficjalny protest na ręce ministra spraw zagranicznych Czyrka. W telegramie przesłanym 9 września do Berlina Wschodniego Neubauer donosił, że na pytanie, jakie środki przewidziano przeciwko „coraz bezczelniejszym wystąpieniom kontrrewolucji”, Czyrek udzielił ogólnikowej odpowiedzi, która „zdradzała brak koncepcji i ustepliwość”.

Poprzez sowieckiego ambasadora w NRD Abrasimowa, Honecker zaproponował Breżniewowi zwołanie w Moskwie spotkania przywódców „bratnich państw”, w celu usunięcia

Kani i zastąpienia go Olszowskim. W odpowiedzi Kreml poinformował jedynie o „zgodności w ocenie sytuacji w Polsce” i zapowiedział, że „w odpowiednim czasie” odbędzie się konferencja Doradczego Komitetu Politycznego.

Bliski koncepcji Honeckera był natomiast Stanisław Kociołek, który organizował równocześnie dla ok. 2500 godnych zaufania towarzyszy z warszawskiej organizacji partyjnej szkolenie w posługiwaniu się bronią. Kociołek proponował, aby na spotkaniu na szczycie delegacja polska podpisała plan, przewidujący wprowadzenie na okres dwóch do trzech lat stanu wyjątkowego i gwarantujący równocześnie skuteczną pomoc „bratnich państw”. Uważał przy tym, że plan ten pociągnie za sobą tylko kilka tysięcy ofiar, podczas gdy kontynuacja dotychczasowego kursu porozumienia prowadzić musi do „morza krwi”. Zapoznany z tym programem Kania odrzucił go jednak, natomiast Jaruzelski „wykazał zrozumienie” dla „katalogu Kociołka”.

Rozmowy prowadzone przez emisariuszy SED jesienią 1981 r. wykazują, że działacze PZPR zaliczani do „zdrowych sił”, uważali konfrontację za nieuniknioną. Szef KW z Jeleniej Góry Golis widział ratunek dla socjalizmu w objęciu władzy przez armię, rozwiązaniu organizacji politycznych i ponownym utworzeniu partii. Podobne stanowisko reprezentował I sekretarz wrocławskiego KW – Porębski.

Na początku października 1981 r. odbyło się w Moskwie spotkanie delegacji KPZS i SED. Wypowiedzi towarzyszy sowieckich wyjaśniają ówczesne stanowisko Moskwy. Rachmanin tłumaczył:

Przeprowadziliśmy manewry „Zapad” i wywarliśmy nacisk polityczny, wysłaliśmy do Polski liczne delegacje (...), rezultaty są minimalne. Polskie kierownictwo jest słabe i co najmniej pozbawione woli. (...) Ani KPZS ani SED nie mogą walczyć z Bujakiem czy Gwiazdą. Polscy towarzysze muszą to zrobić sami. (...) Obiecują nam działania, tłumaczą plany, ale kończy się na obietnicach. (...) Nie możemy po prostu wyznaczyć nowego I sekretarza. Zrobilibyśmy to chętnie, ale jak mamy tego dokonać? Polacy muszą to zrobić sami. Nasze stanowisko nie ulega zmianie – nie zostawimy socjalistycznej Polski w potrzebie. Na razie nasza pomoc musi mieć na celu

polaryzację sił w Polsce. Trudno zrozumieć niektóre elementy rozwoju sytuacji: wygląda na to, że Rakowski stoi teraz na lewo, Olszowski zmierza na prawo? (...) Sytuacja gospodarcza jest katastrofalna. Towarzysz Bajbakow po powrocie z Polski ocenił, że imperialiści *de facto* kupili Polskę. (...) Od roku prowadzimy z polskim kierownictwem nieprzyjemne rozmowy, domagamy się zastosowania środków przymusu, jakimi rozporządza państwo. (...) Wypowiedzi towarzyszy Kani i Barcikowskiego świadczą o tym, że wmawiają nam różne rzeczy. Jest to albo deprymujące albo oszukańcze. (...)

Wróg działa konsekwentnie we własnym interesie klasowym. A co mają robić przyjaciele Polski? Jesteśmy przeciwni totalnej konfrontacji. Rok 1968 nie może się powtórzyć. (...) To nie my wybraliśmy Kanię. Musimy więc z nim pracować. Stanowisko towarzysza Kociotka świadczy o politycznej dojrzałości, choć nie można się z nim we wszystkim zgodzić. Część zdrowych sił reprezentuje pogląd: 'sami nie jesteśmy w stanie przetrzymać konfrontacji'. Ale to niebezpieczna logika. Jeśli nie sami Polacy, to kto ma przeprowadzić decydującą konfrontację? Nie mogą przecież objąć władzy na naszych czołgach. (...) Niejeden Polak chce, abyśmy zmusili Polaków do działania. Powinni sami coś uczynić a my ich poprzemy. (...) Pomagamy towarzyszom, którzy zorganizowali się w forach, dotychczas głównie poprzez środki masowego przekazu. Możemy wzmocnić tę pomoc, gdyż fora nie są strukturami wrogimi partii. Ale nie pomagamy lewicowym radykałom.

Wymieniono także opinie na temat sytuacji personalnej w PZPR. W odróżnieniu od towarzyszy wschodnio-niemieckich Sowietów oceniali Olszowskiego ambiwalentnie:

„W momentach zwrotnych zachowuje się jak chorągiewka. To nie pogłębia zaufania”.

Prowadzone w październiku 1981 r. rozmowy funkcyjnarzyszy SED z polskimi towarzyszami nadal służyły wywarciu wpływu w celu usunięcia Kani. Atlas relacjonował rozmowę z Milewskim, który „jeszcze do lipca wierzył, że towarzysze radzieccy udzielą pomocy wojskowej a teraz wiadomo, że ona nie nadejdzie”. Natomiast pomoc gospo-

darcza pozwoliła umocnić pozycję Kani. Stanisław Ciosek nie widział żadnej alternatywy wobec „rozwiązania siłowego”. „Ostatnim atutem, który trzymamy w rękawie – mówił w rozmowie 13 października – jest generał Jaruzelski”.

Dokonane na IV plenum KC zastąpienie Kani przez Jaruzelskiego na stanowisku I sekretarza Honecker oceniał jako od dawna oczekiwany „początek zmian w polityce PZPR”. „IV plenum zainicjowało proces prowadzący do stabilizacji sił partii i działań przeciw kontrrewolucji” – pisał do I sekretarza kierownictw okręgowych SED. Równocześnie szef wschodnioniemieckiej partii widział w tym sukces własnej polityki, opartej na ingerencji w interna PZPR i wspieraniu towarzyszy reprezentujących orientację marksistowsko-leninowską.

Szczególnie interesująca jest rozmowa, jaką Honecker przeprowadził z Rusakowem 21 października 1981 r. Jej treść wyjaśnia rolę Moskwy w wymianie I sekretarza PZPR i zapowiada zasadniczy zwrot w polityce polskiej partii. Rusakow podkreślił, że KPZS dążyła do ścisłej koordynacji działań bratnich państw a celowi temu służyły rozmowy szefów partii z Breżniewem na Krymie. O powadze położenia w Polsce świadczył już sam fakt, że konieczność wymiany I sekretarza nastąpiła w kontekście niebezpiecznej sytuacji. Rusakow tak tłumaczył tło politycznego zwrotu w PRL:

Zjazd „Solidarności” otwarcie proklamował kontrrewolucję i program przejęcia władzy. Nawet po zjeździe „Solidarności” Kania nie podjął oporu wobec kontrrewolucyjnych działań. Równocześnie zjazd ten wykazał ostateczne fiasko polityki kompromisów i ustępstw, prowadzonej przez Kanię. Okazało się, że Kania stał się główną przeszkodą w podjęciu walki. Zmiana I sekretarza stała się bezzwłocznie konieczna. (...) KPZS podjęła szereg konkretnych kroków w celu uzdrowienia sytuacji. (...)

Zauważyliśmy w ostatnim czasie pewne różnice w postawie Kani i Jaruzelskiego wobec zasadniczych kwestii. (Podobne informacje posiadał też wywiad wojskowy NRD, wspominał o tym również Kukliński – przyp. TM). Jaruzelski był w większym stopniu gotów zdecydowanie wystąpić przeciwko kontrrewolucji. Uwzględniając te różnice pomiędzy nimi zaczęliśmy pracę z Jaruzelskim. (...)

Gdy nasze konsultacje ze zdrowymi siłami w PZPR przyniosły pozytywne wyniki i pełne poparcie dla naszej propozycji, aby wybrać Jaruzelskiego na I sekretarza, pomówiliśmy z nim samym. Długo się wahał i nie chciał się zdecydować. Dopiero gdy dobrzy polscy towarzysze porozmawiali z nim, wyraził zgodę i IV plenum dokonało w końcu jego wyboru.

Niejako na marginesie Rusakow wspomina także o udaremnieniu podjętej przez Kanię próbie pozbycia się Kociołka:

Kania poinformował nas (...) poprzez ambasadora PRL w ZSRS, że aby wzmocnić więzy przyjaźni ze Związkiem Radzieckim, mają zamiar posłać towarzysza Kociołka jako ambasadora do ZSSR. Odpowiedzieliśmy mu, że KPZS bardzo ceni towarzysza Kociołka i właśnie dlatego jest on bardziej potrzebny w Warszawie.

Dalsze kroki Sowietów wyglądały następująco:

Zwróciliśmy się do towarzyszy Grabskiego i Kociołka i wezwaliśmy ich, aby pomogli w przygotowaniu IV plenum, bowiem chociaż nie są już członkami KC, posiadają duży wpływ, który nie powinien pozostać nie wykorzystany.

W naszej ocenie zarówno Grabski jak i Kociołek odegrali wyjątkową rolę i w pełni sprawdzili się w tej skomplikowanej walce. Przebieg plenum pokazał wyraźnie, że nastroje wśród członków i zastępców członków KC były skierowane przeciwko Kani, choć krótko przed plenum zmienił porządek obrad i zamiast Olszowskiego sam przedstawił sprawozdanie KC. Ale działania zdrowych sił były zbyt jednoznaczne i już nic nie mogło mu pomóc. W nocy z 17 na 18 października polski ambasador wyciągnął nas z łóżek. Kania informował, że może dojść do sytuacji, w której nie będzie mógł pozostać na stanowisku I sekretarza. W rachubę wchodziłoby wówczas tacy towarzysze jak Jaruzelski, Olszowski i inni. Odpowiedzieliśmy mu, że jeżeli zmiana, to tylko na Jaruzelskiego. Nic na to nie odpowiedział, ale zrozumiał i w ten sposób doszło do jego ustąpienia.

Krótko przed plenum Jaruzelski jeszcze się wahał. Polscy towarzysze przypomnieli mu jednak jego obowiązki partyjne

i to, czego ludzie – nie tylko w Polsce – od niego oczekują oraz [uświadomili mu] o co właściwie chodzi. Także my powiedzieliśmy mu, że może liczyć na zdrowe siły w PZPR a także na pomoc i poparcie ze strony bratnich partii. Oczekujemy teraz V plenum i podjęcia działań, które umożliwią Biuru Politycznemu oparcie się na zdrowych siłach. Ratunek PRL wymaga zdecydowanych środków przeciw kontrrewolucji. Jaruzelski zgodził się na takie środki.

Sekretarz sowieckiego KC przedstawił także sprawę współpracy gospodarczej z PRL. Z uwagi na niewywiązywanie się Polski ze zobowiązań w handlu z ZSSR, Sowieci powinni zmniejszyć wartość dostaw planowanych na rok 1982 do 2,7 mld rubli w porównaniu z 4,4 mld w 1981 r.

Musimy poczekać jak rozwiną się sprawy w samej Polsce. Polska nie może liczyć na to, że inne kraje je wyżywią. Jeśli jednak sprawy potoczą się ku dobremu, trzeba będzie ponownie przemyśleć te kwestie i udzielić pomocy. (...)

Wszystko zależy od tego, jak będzie teraz postępował Jaruzelski. Jeśli wybiorą właściwy kurs, to uważamy, że należy udzielić im dalszej pomocy i uzgodnić to z bratnimi partiami.

Warto dodać w tym miejscu, że jesienią 1981 r. Sowieci zapowiedzieli drastyczne zmniejszenie dostaw surowców do Polski, co bez wątpienia było jednym z czynników zmuszających Jaruzelskiego do „zdecydowanych działań”.

Honecker potakiwał Rusakowowi i podkreślał, że aktywne działania Związku Sowieckiego, Czechosłowacji i NRD przyniosły początek „uzdawiania sytuacji” w Polsce. Także SED na wiadomość, że jako kandydaci na stanowisko I sekretarza w grę wchodzi Olszowski i Jaruzelski, bez wahania opowiedziała się za tym ostatnim. Honecker ocenił, że Jaruzelski jest tym człowiekiem, który jest w stanie „krok po kroku doprowadzić do zmian”. Również w sprawie współpracy gospodarczej Honecker zgadzał się z Rusakowem: „Jeżeli sytuacja w Polsce się ustabilizuje i kontrrewolucja zostanie odparta, uczynimy oczywiście w miarę naszych gospodarczych możliwości wszystko, aby udzielić dalszej pomocy Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej”.

Zmiana na stanowisku I sekretarza polskiej partii była wynikiem ingerencji „bratnich państw”, obliczonej na wsparcie „zdrowych sił” w PZPR. Sojusznicy stawiali na Jaruzelskiego. Jednak zdecydowane działania przeciw kontrrewolucji nadal dawały na siebie czekać. W listopadzie 1981 r. kierownictwo SED otrzymywało od swych emisariuszy z Warszawy niepomyślne wiadomości. Ulmann cytował wypowiedź Atlasa:

Tow. Jaruzelski chce w każdym razie zyskać na czasie i uniknąć konfrontacji. Ale dla obrony socjalizmu konfrontacja jest nieunikniona. (...) Oprócz zachodnich ośrodków i kontrrewolucyjnych grup różnych odcieni kierują tą organizacją [„Solidarność”] byli czołowi działacze PZPR, którzy zostali zdemaskowani jako rewizjoniści i usunięci z partii. Wśród nich znajduje się pewna liczba ludzi, którzy niegdyś byli zatrudnieni w Służbie Bezpieczeństwa i wykluczeni na różnych etapach rozwoju. Należy się cieszyć, że minister spraw wewnętrznych tow. Kiszczak izolował swego zastępcę Krzysztoporskiego, który na zlecenie Kania utrzymywał ścisły kontakt także z Wałęsą. Ale takie odosobnione fakty mają niewielki wpływ na ogólny rozwój sytuacji. Tylko jasny marksistowsko-leninowski kierunek walki przeciw kontrrewolucji mógłby doprowadzić do zmiany. Ani tow. Jaruzelski, ani obecne politbiuro nie są do tego gotowi. (...) Niestety użyto wielu mocnych słów, głównie dla zmylenia zdrowych sił i sąsiadów.

Ambasador NRD w Warszawie Neubauer, informując o spotkaniu z generałem Milewskim w dniu 16 listopada 1981 r. donosił:

Towarzysz Milewski w czasie całej rozmowy sprawiał wrażenie, że jest bardzo przybity i zdeprimowany. W sprawie oceny sytuacji oświadczył: [Jaruzelski] odpowiedział, że należy ponownie wypróbować wariant frontu porozumienia. (...) Powiedział, że nie powinniśmy jeszcze podejmować ostatecznych przygotowań do konfrontacji. Według niego mamy jeszcze dość czasu, zanim nadejdzie konfrontacja. Jestem innego zdania w tej sprawie.

Wypowiedź Milewskiego dotyczyła również roli Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego (MłS) NRD we wspieraniu „zdrowych sił” w PZPR:

Towarzysz Milewski we własnym imieniu serdecznie podziękował za dobrą współpracę z towarzyszem Mielke i innymi towarzyszami z MłS NRD a także za poparcie, jakie komitety PZPR w województwach zagranicznych otrzymują od okręgowych kierownictw SED. Oceniał to jako ważną internacjonalistyczną pomoc, która wzmacnia zdrowe siły w PZPR.

Jednak pomimo wahań Jaruzelskiego ostateczne rozstrzygnięcie, niczym w greckiej tragedii, zbliżało się nieuchronnie. W dniach 1-4 grudnia 1981 r. odbyła się w Moskwie, zgodnie z wyznaczonym uprzednio planem, narada ministrów obrony państw Układu Warszawskiego. PRL reprezentował gen. Siwicki. 3 grudnia marszałek Ustinow poinformował zebranych, że tow. Jaruzelski zwrócił się do niego z prośbą, aby Komitet Ministrów Obrony wydał oświadczenie w sprawie „wyjątkowo trudnej sytuacji w Polsce”. Według informacji ministra obrony NRD Hoffmanna, polscy towarzysze obiecywali sobie po takim oświadczeniu z jednej strony wsparcia dla „komunistów i patriotów, którzy gotowi są bronić socjalistycznego państwa”, zaś z drugiej strony – ostrzeżenia wobec sił kontrrewolucyjnych. Wydaje się prawdopodobne, że Jaruzelski starał się w ten sposób stworzyć sobie również swego rodzaju alibi, które usprawiedliwiłoby wprowadzenie stanu wojennego, jeżeli oświadczenie Układu Warszawskiego sugerowałoby groźbę interwencji. Ustinow przedstawił dwa projekty odpowiedniego dokumentu. Jednak z uwagi na sprzeciw ministra obrony Węgier gen. Czinége, do którego przyłączył się gen. Olteanu z Rumunii, nie zaakceptowano żadnego z dwóch wariantów oświadczenia.

7 grudnia Honecker otrzymał z Warszawy wiadomość, że w najbliższych dniach można liczyć na zdecydowane kroki przeciw kontrrewolucji. Ullmann relacjonował rozmowę z Ałfasem, który 4 grudnia poinformował, że towarzysz Jaruzelski i kierownictwo partii muszą podjąć decyzję na jutrzej-

szym posiedzeniu politbiura. Atlas reprezentował pogląd, że działania trzeba rozpocząć przed strajkiem generalnym, którym groziła „Solidarność” na wypadek udzielenia rządowi specjalnych pełnomocnictw. Powoływał się także na Milewskiego i Kiszczaka, którzy zgodnie z nim uważali, że w nocy należy aresztować kierownicze siły „Solidarności”. „Wszystkie przygotowania w tym celu już przeprowadzono, potrzebna jest tylko decyzja kierownictwa”. Ullmann uzupełnił swe sprawozdanie informacją o posiedzeniu politbiura KC PZPR w dniu 5 grudnia. Według raportu Jaruzelski oświadczył wówczas:

Przygotowanie naszej akcji przeciwko kontrrewolucji zaczynamy jeszcze dziś. (...) Konkretnie przygotowania rozpoczynają (...) towarzysze Jaruzelski, Kiszczak, Siwicki, Milewski i kilku specjalistów.

Nie publikowany w książce Kubiny i Wilkego dokument, który minister obrony NRD przekazał Honeckerowi, ujawnia dalsze okoliczności decyzji o wprowadzeniu stanu wojennego. 10 grudnia Hoffmann przesłał szefowi SED informację o pobycie w Warszawie Kulikowa, którą *attaché* wojskowy NRD w Warszawie otrzymał od swego sowieckiego kolegi:

08.12.1981 odbyło się posiedzenie politbiura KC PZPR z udziałem I sekretarzy komitetów wojewódzkich i kierowników wydziałów Komitetu Centralnego poświęcone sytuacji w kraju. Równocześnie w Radzie Ministrów PRL odbyła się narada wojewodów i komendantów milicji. 09.12.1981 w godzinach od 02.00 do 05.00 miała miejsce rozmowa marszałka Związku Sowieckiego Kulikowa z towarzyszem generałem armii Jaruzelskim i towarzyszem broni Siwickim. W wyniku nacisków ze strony polskiej armii oraz w wyniku narady z I sekretarzami komitetów wojewódzkich PZPR a także na skutek agresywności skrajnych przywódców „Solidarności” towarzysz generał armii Jaruzelski gotów jest przeprowadzić aktywne działania.

Decyzję tę towarzysz generał armii Jaruzelski podjął jednak z ociąganiem i wahaniem a także z pewnymi zastrzeżeniami. Można u niego dostrzec:

- niejasność w sprawie zasięgu i skutków działań,
- wątpliwości co do pełnego poparcia i działań wspierających [ze strony] państw Układu Warszawskiego jak również

- niepewność w wyniku listów arcybiskupa Glempa i innych w sprawie niedopuszczalności konfrontacji.

Pomimo tego towarzysz generał armii Jaruzelski jest zdecydowany wprowadzić te środki, nawet z pominięciem Sejmu. Uzgodnienia z towarzyszem Jabłońskim już przeprowadzono. [Jaruzelski] uzyskał jego zgodę. Pod wpływem moskiewskiej narady ministrów obrony towarzysz generał broni Siwicki wypowiadał się zdecydowanie a w sprawie przeprowadzenia działań [wypowiadał się] z przekonaniem. Wyraził przekonanie, że polska armia i pozytywne siły przy poparciu szerokich rzesz społeczeństwa izolują ekstremalne siły z „Solidarności”, nawet bez bezpośredniego wsparcia ze strony państw Układu Warszawskiego.

Możliwe działania:

1. etap:

Aresztowanie ok. 700 [aktywistów] sił kontrrewolucyjnych z „Solidarności” i innych organizacji.

2. etap:

Zastosowanie środków nadzwyczajnych w zależności od rozwoju sytuacji.

Uznaje się, że rozpoczęcie działań jest możliwe przed 15.12.1981. (...)

08.12.1981 przebywał w Warszawie Bajbakow w celu przeprowadzenia rozmów gospodarczych z towarzyszem Obodowskim, z uwzględnieniem przewidywanych działań. Głównym tematem narady była intensywna pomoc gospodarcza w okresie pierwszych 2-3 miesięcy po przewidywanych działaniach.

Obraz, który wyłania się z materiałów SED jest zgodny z informacjami pochodzącymi z innych źródeł. Wypowiedzi kierownictwa KPZS na posiedzeniu politbiura w dniu 10 grudnia 1981 (protokół opublikowano w książce „Dokumenty. Teczka Susłowa.”) jednoznacznie wykazują, że Sowieci byli przeciwni wprowadzeniu wojsk do PRL, natomiast Jaruzelski starał się uzyskać obietnicę pomocy militarnej na wypadek, gdyby polska armia nie zdołała przełamać oporu

„Solidarności”. Także pomoc gospodarcza, o którą prosili towarzysze polscy, miała ułatwić osiągnięcie celów stanu wojennego.

Również Rusakow na naradzie politbiura 10 grudnia mówił o spotkaniu sekretarzy komitetów wojewódzkich PZPR, które odbyło się dwa dni wcześniej. Jego oświadczenie, że „na posiedzeniu Biura Politycznego decyzja o wprowadzeniu stanu wojennego (...) została podjęta jednogłośnie” – odnosi się albo do posiedzenia w dniu 5 grudnia, albo właśnie do narady członków politbiura z sekretarzami komitetów wojewódzkich i kierownikami wydziałów KC PZPR 8 grudnia.

Wspomniane już „Zamierzenia resortu spraw wewnętrznych”, które przewidywały „ostrą interwencję sił MO i wojskowych” i uwzględniały ewentualną pomoc Układu Warszawskiego, powstały 5 grudnia. W Koszalinie opublikowano dekret Rady Państwa noszący datę 7 grudnia 1981 oraz rozpowszechniano plakaty mówiące o tak samo datowanym dekrete. Zdaje się to wskazywać, że „akcję przeciwko kontrrewolucji” rozpoczęto – tak, jak wynika to z akt SED – 5 grudnia. Według nie potwierdzonych archiwalnie informacji stan wojenny miał być pierwotnie wprowadzony 6 grudnia 1981 r.

Nie przeceniałbym jednak wagi tych szczegółów, warto natomiast podkreślić, że pytanie, czy stan wojenny wprowadzono w warunkach wyższej konieczności – aby zapobiec interwencji zbrojnej Układu Warszawskiego – jest źle postawione. To właśnie niechęć Sowieców do akcji wojskowej utrudniała Jaruzelskiemu podjęcie decyzji o stanie wojennym, czyli *de facto* opóźniała go, bowiem kierownictwo PRL nie było pewne wsparcia ze strony sojuszników. I drugi paradoks: wojska sąsiednich państw mogły wkroczyć tylko wówczas, gdyby polskie siły po ogłoszeniu stanu wojennego natrafiły na zdecydowany opór i musiały prosić o bratnią pomoc (bez cudzysłówu). Nawet z mocno przetrzebionych polskich archiwów wynika, że Komitet Obrony Kraju obawiał się, iż armia PRL nie zdoła zgnieść oporu społecznego; w tym wypadku niezbędne byłoby wprowadzenie do akcji wojsk Układu Warszawskiego. Inaczej mówiąc: w sytuacji, jaka

panowała w grudniu 1981 r. do interwencji armii sojuszników mógł doprowadzić właśnie stan wojenny. Przebieg „zdecydowanych działań” podjętych 13 grudnia 1981 r. był zatem bez wątpienia „mniejszym złem”, choć może niekoniecznie w sensie, jaki pojęciu temu nadają przedstawiciele ówczesnego kierownictwa PRL.

Jasny wydaje się również sens wielokrotnie powtarzanej wypowiedzi Breżniewa – „socjalistycznej Polski nie zostawimy w potrzebie”: jeśli władze PRL podejmą wreszcie działania dla obrony socjalizmu – uzyskają pomoc. Jesienią 1981 r., gdy fundamenty ustroju w Polsce chwiały się coraz bardziej, Sowieci zapowiedzieli surowe sankcje gospodarcze, zaś po 13 grudnia pospieszyli z pomocą – to również było realizacją myśli szefa KPZS.

Jednak przez długie miesiące 1981 r. polscy towarzysze nie wykazywali instynktu klasowego a autorytet partii spadał w zawrotnym tempie. Kierownictwo PZPR zamiast „zdecydowanych kroków przeciw kontrrewolucji”, liczyło raczej na „działania aktywne” aparatu bezpieczeństwa wewnątrz „Solidarności” i na poufne układy z „konstruktywnymi siłami” związku. Późną jesienią 1981 r. coraz częściej mówi się – także w materiałach archiwalnych sojuszników PRL – o izolowaniu „ekstremalnych sił „Solidarności”. Wiadomo, że żądania dotyczące wyeliminowania „ekstremy” władze kierowały także do Wałęsy i umiarkowanych doradców. Ale i ta taktyka zawiodła. Napięcie eskalowało, wzrastały się roszczenia rewindykacyjne obywateli, łatwo sięgano w różnych miastach i regionach do strajkowego oręża a dramatyzm sytuacji pogłębiała gospodarcza katastrofa. Żadne poufne uzgodnienia nie mogły zahamować spontanicznej radykalizacji społecznych postaw, zwłaszcza w środowiskach robotniczych, tworzących bazę „Solidarności”. Nawet jeśli władze miały dobre intencje i skłonne były do reform – mało kto wśród zdeterminowanych robotników wierzył ich deklaracjom. Partia, stosująca cały czas tę samą frazeologię, była całkowicie skompromitowana. Nawet gdyby całe politbiuro przystąpiło publicznie do Komunii św. – w społecznym odbiorze byłoby to jedynie kolejne oszustwo ze strony komunistów. Bez echa pozostawały zarówno zapewnie-

nia Jaruzelskiego o woli kompromisu jak i wyraźne ostrzeżenia o gotowości władz do obrony podstaw ustrojowych.

Z uwagi na emocjonalną atmosferę towarzyszącą dyskusjom nad stanem wojennym i zmitologizowany obraz historii najnowszej, zapomina się o jednym z ważnych czynników, który determinował sytuację w ostatnich miesiącach 1981 r. Otóż panowało wtedy powszechne, choć odmiennie artykułowane, przekonanie o nieuchronności konfrontacji. Radykalni działacze „Solidarności” mówili o przejmowaniu władzy a trudno było przypuszczać, by partia oddała ją dobrowolnie. Nieliczni związkowcy, realistycznie oceniający ówczesne zamiary władz, apelowali o podjęcie przygotowań na wypadek wprowadzenia stanu wojennego. Również doradcy związku świadomi byli nieuchronności konfliktu „siłowego”, o czym świadczy wypowiedź Bronisława Geremka w rozmowie ze Stanisławem Cioskiem, która odbyła się 27 listopada (fragmenty relacji Cioska z tego spotkania cytowałem we wrześniowej *Kulturze* z 1995 r.). Tę samą wypowiedź przytoczył również Mieczysław F. Rakowski w książce „Ein schwieriger Dialog”, która – co ciekawe – istnieje wyłącznie w wersji niemieckiej (wydany w 1983 r. w Warszawie „Trudny dialog” jest – pomimo identyczności tytułu – inną książką). Nieuchronność nieobliczalnej w skutkach konfrontacji była – według zapewnień składanych przez obwinionych przed Komisją Odpowiedzialności Konstytucyjnej – jedną z przyczyn wprowadzenia stanu wojennego. I wreszcie przywódcy „bratnich państw” uświadamiali z naciskiem kierownictwu PZPR, że konfrontacja trwa i bez zdecydowanych działań ratunek socjalizmu nie jest możliwy. To nie groźba militarnej akcji Układu Warszawskiego zmusiła generała Jaruzelskiego i towarzyszy do ogłoszenia stanu wojennego. Takiej groźby po prostu nie było, czego nie zmienia operacyjna gotowość do wprowadzenia wojsk sojuszników do Polski. Decyzji w sprawie interwencji nie podjęto, ani nawet nie chciano podejmować. Natomiast sowiecka zapowiedź restrykcji gospodarczych, połączona z obietnicą pomocy w wypadku zdecydowanej walki z kontrrewolucją, stawiała władze PRL przed trudnym do rozwiązania problemem. Trafnie interpretował tę sytuację Stanisław Ciosek:

Jaruzelski stanął przed alternatywą: albo nie walczyć i wpędzić naród w katastrofę, albo uderzyć i otrzymać pomoc gospodarczą. Chce czy nie chce, jest w końcu zmuszony do działania.

Czy stan wojenny wprowadzano w sytuacji wyższej konieczności? Nie sądzę, aby Komisja Odpowiedzialności Konstytucyjnej znalazła na to pytanie odpowiedź, która spotka się z powszechną aprobatą. Nie czuję się powołany do osądzania generała Jaruzelskiego i towarzyszy, staram się jedynie pokazać, że również gremium, które podjęło się tego zadania, stoi przed sporymi trudnościami. Wskazywały na to już wstępne założenia postępowania komisji. Przed owym „sądem nad autorami stanu wojennego” – by użyć tytułu publikacji książkowej z 1993 r. – postawiono między innymi Edwarda Dudę, Eugenię Kemparę, Krystynę Marszałek-Młyńczyk, Jana Szczepańskiego, Ryszarda Reiffa. Nie bardzo wiem, kim jest Eugenia Kempara, ale nie tylko dlatego perspektywa pociągnięcia jej do odpowiedzialności przed Trybunałem Stanu jako „autorki stanu wojennego” wydaje mi się pomysłem surrealistycznym.

Pewne trudności komisja miała również ze sformułowaniem zarzutów wobec obwinionych. Z zarzutu „przekroczenia uprawnień lub niedopełnienia obowiązku w celu osiągnięcia korzyści majątkowej lub osobistej” komisja zrezygnowała w czasie swych prac. Pozostał jeszcze zarzut o naruszenie przepisów Konstytucji PRL. Ta jednak, o ile mnie pamięć nie myli, stanowiła o socjalistycznym charakterze państwa i zawierała zapis o kierowniczej roli partii. Jeśli zatem generał Jaruzelski & Co. sięgnęli do środków stanu wojennego nie tyle dla ratowania substancji biologicznej narodu, co dla obrony socjalizmu, trzeba zaiste salomonowego wyroku, by postawić ich przed Trybunałem Stanu za złamanie Konstytucji PRL.

Nie całkiem jasne były również pewne elementy samego postępowania komisji. Jeden z autorów omawianego tomu – prof. Wilke – został zaproszony w charakterze świadka, choć mógł składać wyjaśnienia jedynie jako rzeczoznawca w sprawie materiałów archiwalnych SED. Na świadka powoła-

no również Michaiła Gorbaczowa, ale ostatni sekretarz generalny KPZS ograniczył się do przysłania listu, w którym dowodził, że towarzysz Jaruzelski wybrał mniejsze zło. Co prawda dwa lata wcześniej laureat pokojowej nagrody Nobla twierdził w jednym z wywiadów, że zbrojna interwencja w Polsce w 1981 r. była niemożliwa. Zgódźmy się jednak, że internacjonalistyczna solidarność pionierów pierestrojki zobowiązuje... Gorbaczow, choć w 1981 r. był już członkiem politbiura, nie należał nawet do speckomisji zajmującej się Polską. Jeśli zaś Komisja Odpowiedzialności Konstytucyjnej oczekiwała, że potwierdzi on zeznania Jaruzelskiego o roli Polski jako pioniera reform, to potwierdzenie takie wydaje mi się zbyteczne. Jeszcze gdy młody Gorbaczow dowodził Komsomołem w Stawropolu, Józef Mackiewicz opisywał PRL jako poligon doświadczalny komunizmu. Także w roku 1987 opracowano tajny plan wypróbowania reform w PRL i – w wypadku powodzenia – powtórzenia ich w ZSSR, o czym informuje Bernard Lecomte w „La vérité l'emportera toujours sur le mensonge”, powołując się na rozmowę z Bronisławem Geremkiem 31 października owego roku.

Gorbaczowowskie *aurea dicta* mają, zwłaszcza po „upadku komunizmu”, wartość, od której zwykłemu śmiertelnikowi może zakręcić się w głowie, jeśli sądzić po wysokości honorariów w walutach wymienialnych, jakie były szef KPZS otrzymuje na Zachodzie za swe memuary, wyznania, wywiady... Dla wyjaśnienia sytuacji międzynarodowej Polski w 1981 r. słowa Gorbaczowa mają wartość równie wątpliwą, co twierdzenia generała Dubynina, który oświadczył, że gdyby 13 grudnia nie ogłoszono stanu wojennego, to 14 grudnia sowieckie dywizje wkroczyłyby do Polski.

I wreszcie Komisji Odpowiedzialności Konstytucyjnej trudno dotrzeć do ścisłych informacji na temat polityki stolic zachodnich wobec Polski na początku lat 80-tych. Stan wojenny i propagandowe reakcje na jego wprowadzenie przysłoniły fakt, że niepokój związany z sytuacją w Polsce nie był wolny od krytycznych ocen działań „Solidarności”, których rzecz jasna publicznie nie wypowiadano. Gdy ogłoszono stan wojenny kanclerz RFN Schmidt przebywał z wizytą w NRD. Na wiadomość o wydarzeniach w Polsce

powiedział do Honeckera: „Najwyższy czas, aby zacząć przywracać w Polsce porządek”.

Zachód a zwłaszcza Stany Zjednoczone nie ostrzegły przed planowanym stanem wojennym, choć odpowiednie informacje znane były w Waszyngtonie co najmniej od momentu wyjazdu pułkownika Kuklińskiego. Co prawda ostrzegał sam Jaruzelski, ale jego słowom nie dawano wiary. Być może akcja dezinformacyjna, o której wspomina generał Kiszczak, rzeczywiście przyczyniła się do pewnego *odczulenia* „Solidarności”, choć według innych źródeł plany stanu wojennego „przeciekły” nawet do związku. Głosy nawołujące do przygotowania się na ewentualność radykalnych kroków ze strony władz, ginęły w atmosferze wrzenia, zwłaszcza na początku grudnia 1981 r. (wyjątkiem był tu region dolnośląski). Jednak zdecydowane wystąpienie polityczne ze strony Stanów Zjednoczonych miałoby niewątpliwie inną wagę. Dlaczego tego nie uczyniono, pomimo wyraźne antykomunistycznego charakteru ówczesnej polityki prezydenta Reagana? Odpowiedź, jakiej na to pytanie udzielił Zbigniew Brzeziński wydaje się logiczna i pasuje do scenariusza wydarzeń z grudnia 1981. Wyraźne ostrzeżenie mogło jedynie doprowadzić do oporu a tym samym utrudnić, jeśli nie wręcz uniemożliwić, sprawne przeprowadzenie operacji według planu generała Jaruzelskiego. Dopiero wówczas pojawiłaby się groźba wkroczenia wojsk Układu Warszawskiego do Polski a takim rozwojem wydarzeń nikt nie był zainteresowany. Kukliński twierdzi, że zwracał się do Amerykanów, aby nie ogłaszali uzyskanych od niego informacji, a sam fakt jego ucieczki obie strony długo zachowały w tajemnicy.

EWG ostrzegała Układ Warszawski przed interwencją w Polsce dopiero 4 stycznia 1982 r., gdy było już jasne, że scenariusz „mniejszego zła” udało się zrealizować. Frazeologia oświadczenia EWG nie była *nota bene* pozbawiona dwuznacznych akcentów; wyrażało ono zaniepokojenie i dezaprobatę wobec „nacisków z zewnątrz, wymierzonym przeciwko wysiłkom na rzecz odnowy w Polsce”. Radio Wolna Europa w pierwszej reakcji na wprowadzenie stanu wojennego pozytywnie oceniło walory stylistyczne przemówienia Jaruzelskiego. Premier Francji Mauroy w związku z

sytuacją w Polsce wyrażał nadzieje na „socjalistyczną transformację Europy”, łącząc je nie tylko z „Solidarnością”, ale także z PZPR.

W opublikowanym w styczniu br. apelu Zbigniew Herbert pisze: „Trudno odpowiedzieć na pytanie, dlaczego Polska, która pierwsza spośród państw bloku komunistycznego wydobyła się o własnych siłach spod jego władzy, cztery lata po tym historycznym przełomie wybrała parlament, w którym większość stanowią postkomuniści”. Zgadzam się z tą opinią tylko częściowo. Wydarzenia polityczne mają zawsze konkretne przyczyny i nie są wynikiem ani wyroków Historii ani działania Praw Dziejowych. Trudności ze zrozumieniem wydarzeń w Polsce w ostatnich latach to w znacznym stopniu skutek myślenia o historii w kategoriach legend i pedagogicznych uproszczeń. Piłsudski zauważył, że Polacy nie potrafią myśleć faktami. Jeszcze gorzej, jeśli fakty pozostają nie znane. W ostatnich latach niektóre przynajmniej mity upadają niczym domki z kart. Ale postawa Polaków wobec własnej historii nadal pozostaje osobiwa: z jednej strony uparte trzymanie się szablonów, z drugiej – podatność na manipulacje i bezkrytyczny stosunek do hasła obcej propagandy, jeśli tylko odpowiadają one społecznym oczekiwaniom. Tłem tego nastawienia jest osobiwy melanż dumy narodowej i kompleksów niższości wobec bogatego Zachodu no i rzecz jasna często ewokowana martyrologia, której w polskich dziejach nie brakuje.

Jeszcze nie tak dawno krytykowano Moskwę za pozbawienie państw obozu sowieckiego suwerenności narodowej. Po 1989 r. wolne narody chcą na wyścigi dostać się do Unii Europejskiej, której celem jest właśnie likwidacja suwerennych państw. Szef rosyjskich komunistów Ziuganow, propagując restaurację ZSSR, trafnie zwraca uwagę na tendencje do integracji: „*Jewropiejskij Sojuz, Sowietiskij Sojuz...*”. Dwaj politycy ubiegający się o stanowisko prezydenta zapewniali zgodnie, że chcą jak najrychlej wprowadzić Polskę do UE. Co najmniej jeden z nich nie zdawał sobie sprawy, że większość komisarzy w Brukseli znajduje się bardziej na lewo politycznego *spectrum* niż Aleksander Kwaśniewski. Ale to nie koniec paradoksów. Według relacji

funkcjonariuszy BOR-u Wałęsa w willi w Chylicach, dokąd przewieziono go po 13 grudnia 1981 r., mówił, że stan wojenny był nieuchronny, Polsce groziła katastrofa a on sam nie panował nad sytuacją w „Solidarności”. Kwaśniewskiego pochwalne oceny stanu wojennego przeczytać można w tygodniku *itd* z 1982 r. A zatem i w tej materii pomiędzy konkurentami do najwyższego stanowiska w państwie panowała, przynajmniej przed kilkunastu laty, zbieżność poglądów (zbieżność ta panuje zapewne i dziś, choć kontrahenci zmienili bez wątpienia ocenę).

Przedstawiam tu pewne aspekty wydarzeń z 1981 r., które poszły już w zapomnienie (bowiem wiek elektronicznej informacji to zarazem epoka zbiorowej amnezji), aby przyczynić się do rekonstrukcji i zrozumienia tamtego obozu. Praca Kubiny i Wilkego jest przy tym pomocą nieodzowną. Osobliwy polski fenomen polega na tym, że o naszej historii piszą często cudzoziemcy, i to niemal „od zawsze”. Najstarszą polską kronikę napisał Gall Anonim a najważniejszym źródłem do historii X wieku jest przekaz Ibrahima ibn-Jakuba. Paradoks? Na pewno. Ale czy powód do dumy?

XI 95 – I 96

Tomasz MIANOWICZ

WSPOMNIENIA

Nika KŁOSOWSKA-WOHLMAN

DWA LATA WIĘZIENIA

Ten fragment wspomnień obejmuje okres od 24 grudnia 1939 r. do 25 grudnia 1941 r., to jest od dnia mego aresztowania w Słonimie przez NKWD do dnia zwolnienia z sowieckiego łagru w Kazachstanie. Jak jest to widoczne z tekstu, był on napisany przed 1991 r., gdy jeszcze istniał ZSSR.

Wspomnienia obejmujące okres przedwojenny, włącznie z praktyką dyplomatyczną w Ambasadzie R.P. w Moskwie, o której jest tu mowa, znajdzie czytelnik w nr 103 (1993) Zeszytów Historycznych („Fragmenty wspomnień”, s. 155-170).

Okres od odzyskania wolności do końca wojny opisałam w nr 107 (1994) ZH („Wojna i druga miłość”, s. 48-68).



Tego właśnie dnia, w Wigilię Bożego Narodzenia 1939 r., po raz pierwszy od wkroczenia wojsk sowieckich do

Polski nie myślałam wcale o niechybnym aresztowaniu. Byłam na to już od tak dawna przygotowana, od tak dawna pozamykano już prawie wszystkich moich bliższych i dalszych znajomych. To było nieuniknione. Wprawdzie matka moja i dzieci dotąd nie chciały pogodzić się z tą myślą – ja nie miałam złudzeń. Nie mieliśmy również żadnych możliwości ucieczki całą rodziną; przejście granicy z dwojgiem dzieci i dwoma staruszkami, zwłaszcza w zimie – skoro się tego nie zrobiło wcześniej, było zupełnie niewykonalne. Pozostawało więc jedynie siedzenie w miasteczku i dalsza praca w byłym liceum państwowym przekształconym teraz na sowiecką dziesięciolatkę, no i spokojne czekanie na uwięzienie.

Ale w dzień Wigilii nie myślałam o tym zupełnie. Poprzedniego wieczoru właśnie przyjechał kolega mój, Witold, który przeszedł granicę sowiecko-litewską z Wilna i przez cały dzień namawiał mnie, żebym pozostawiła na miejscu matkę i ciotkę, i zabierając dzieci usiłowała dostać się razem z nim do Wilna. Nie chciałam się na to zgodzić twierdząc, że nie mogę zostawić dwu starych kobiet bez żadnej opieki i bez środków do życia. „Ale przecież jak w końcu doczekasz się aresztowania, to i tak będziesz musiała całą rodzinę zostawić bez żadnej opieki” powiedział mi wreszcie zniecierpliwiony; „No dobrze – odpowiedziałam – jeszcze pomówimy o wszystkim, ale dziś Wigilia, zdecydujemy jutro”.

Ubieraliśmy więc choinkę, którą zaspane dzieci przyciągnęły z odległego o 4 km lasu. Zabawek i ozdób było dużo, pozostały z poprzednich lat, ale świeczek udało się zdobyć tylko 12, zamiast 48. „Może to ostatnia nasza choinka – powiedziałam dzieciom – i taka ciemna i smutna”.

Przez cały ten dzień było mnóstwo roboty i kłopotów. Trzeba było kupić coś lepszego do zjedzenia, stać bez końca w kolejce po chleb i mięso. Służąca dawno uciekła, kradnąc co lepszą bieliznę, musiałam więc zrobić wszystko sama. Rano miałam jeszcze lekcje w szkole, a potem sprzątanie, gotowanie, ubieranie drzewka. Wreszcie wczesnym wieczorem zasiedliśmy do Wilii. Żadne życzenia nie chciały nikomu przejść przez gardło.

Odetchnęliśmy z ulgą, gdy wieczerza się skończyła i wszyscy poszli wcześniej spać. Nawet na choinkę nikomu się

nie chciało patrzeć, taka była smutna z tymi dwunastu świeczkami.

Zwykle co nocy budziłam się około pierwszej nad ranem, wtedy właśnie, gdy ulicami uśpionego miasteczka gnały auta NKWD zabierając z domów aresztowanych. Nadśłuchiwałam tego huku myśląc, czy miną mnie jeszcze tym razem – czy też samochód zatrzyma się przed moim domem. Co noc jednak przelatywały gdzieś dalej i gdy szum motorów ucichał, zasypiałam z myślą: „więc to jeszcze nie dziś, mam 24 godziny spokoju”. Nigdy bowiem nie zabierano ludzi za dnia.

Poprzedniej nocy, gdy właśnie zasnęłam ponownie, męczyła mnie obrzydliwa zмора. Śniło mi się, że jestem u swoich krewnych, na wsi i stoję na dużym trawniku przed domem. Las, który w rzeczywistości był daleko, w moim śnie podchodził blisko pod trawnik. Był słoneczny, letni ranek. Nagle z lasu wybiegły cztery olbrzymie wilki i jeden z nich, największy, rzucił mi się do gardła. Złapałam go ręką za szyję, wsadzając mu drugą do paszczy, myśląc gorączkowo, że w ten sposób nie zdoła mnie zagryźć. Równocześnie jednak przez cały czas miałam świadomość, że walka jest beznadziejna, bo lada chwila rzucą się na mnie pozostałe trzy i rozszarpią mnie.

W końcu obudziły mnie moje własne jęki i do rana już nie mogłam zasnąć.

Tym mocniej spałam w nocy. Nie słyszałam też nic aż do chwili kiedy obudziło mnie stukanie do drzwi wejściowych. Matka moja zbudziła się również. Narzuciłam coś na siebie i otworzyłam drzwi. Czterech uzbrojonych po zęby enkawudystów stało na progu.

„Otwierać – rewizja”. Weszli.

Pierwszą moją myślą było, że przyszli po Witolda, że ktoś doniósł o jego nielegalnym przyjeździe. Po chwili jednak zorientowałam się, że chodzi o mnie, nie o niego i ciężar spadł mi z serca.

„A to kto?” – zobaczywszy go spytał dowódca grupy. „Brat”. „Skąd przyjechał?” „Z sąsiedniego miasteczka na święta”. Nie interesowali się nim więcej. Rozpoczęły natomiast przetrząsanie wszystkich rzeczy oraz zadawanie pytań.

„Mąż wasz, ten oficer gdzie jest?”

„Nie wiem, poszedł na front we wrześniu i nie wrócił.

Może zginął, może jest w niewoli niemieckiej”.

„Gdzie broń? Mamy dokładne wiadomości, że tu jest schowana broń”.

„Szukajcie dalej, może rzeczywiście jakąś armatę znajdziecie”.

Tak minęła pierwsza godzina, druga i trzecia. Matka moja uspokoiła się trochę. Przecież nie mogą nic znaleźć, bo nic nie ma, więc gdy skończą, to zostawią nas w spokoju i pójdą sobie. Staruszka ciotka i dzieci – dziewięć- i dziesięcioletnie nie zdawały sobie w ogóle sprawy z sytuacji. Ja i Witold nie mieliśmy złudzeń. Rozmawiać nam nie pozwolono. Nie miał złudzeń także i pies. Sześciomiesięczny szczeniak, seter irlandzki, który jeszcze w życiu na nikogo nie warknął, siedział cały czas ze zjezoną sierścią pod stołem. Oczy błyszczały mu w ciemności czerwono, warczał bez przerwy na oglądających się trwożliwie, mimo całego bojowego ekwipunku „bojcow”.

Z tych długich nocnych godzin nie zostało mi w pamięci prawie nic. Urywki zdań, fragmenty spojrzeń, drżące ręce matki, zalana łzami twarzyczka córki, blada twarz chowającego się pod kołdrą młodszego od niej chłopca, przerażone pytania ciotki, gdy mnie zabierano. „Co to? Za co? Czego chcą od ciebie?” I wreszcie zdławiony głos Witolda. „Dzieci zabrać, czy zostawić na miejscu?”

Zdażyłam odpowiedzieć: „Zabierz. Zaraz”. „Nie rozmawiać po polsku. Ile razy mam powtarzać” – ryknął dowodzący enkawudysta.

Wreszcie kazano mi podpisać protokół rewizji, nakaz aresztowania i zabierając każdy znaleziony w domu dokument, od metryki urodzenia aż do dyplomu uniwersyteckiego, wyprowadzono mnie. Chciałam już właściwie tylko tego jednego, żeby już prędzej.

Poprowadzono mnie na piechotę do gmachu, który kiedyś był sądem polskim, a w którym teraz urzędowało miejscowe NKWD. To dlatego nie słyszałam żadnego motoru. Była czwarta rano. Po długim czekaniu wprowadzono mnie przed mego sędziego śledczego „lewtenanta” Kuzmienkę; siedząc przed nim na brzeżku krzesła w świetle trzech reflektorów rozmyślałam jaka to przecież ulga, że już się stało,

że już nie potrzebuję na nic czekać i bać się, obliczać i kombinować jak zabezpieczyć rodzinę, nasłuchiwać co noc... Już jest po wszystkim i już nie ma o co się troszczyć.

Z tych rozmyślań wyrwał mnie ryk mego sędziego:

„A coż to za mina? Co to, salon burżuazyjny? Jesteście w CZEKA NKWD: my tu z wami prędko porządek zrobimy. Wstać”.

„CZEKA przecież podobno od dawna nie istnieje – odpowiedziałam wstając z ziewnięciem – według waszych własnych enuncjacji zlikwidowaliście tę wspaniałą instytucję przed dziesięcioma laty”. „Milczeć. Nie dyskutować. Dość tego. Zabrać ją do więzienia – rzucił do stojących obok dwóch żołnierzy – do osobnej celi”.

Tym razem wsadzono mnie do samochodu. Jechaliśmy przez zasypane śniegiem, pogrążone jeszcze we śnie miasteczko. Wreszcie stanęliśmy przed więzieniem. Otworzono ciężką bramę, wprowadzono mnie do środka. Wilgotne korytarze, szeregi drzwi, straż chodząca w tył i w przód, specyficzny zaduch... Po dłuższym oczekiwaniu wepchnięto mnie wreszcie do jakiejś celi i od razu wraz z falą ciepłego, stęchłego powietrza uderzył mnie gwar głosów. W malutkiej celce siedziało już osiem kobiet, wśród nich parę znajomych. Okazało się, że więzienie było tak przepełnione, że po prostu nie było żadnej pustej celi. Życzeniu sędziego Kuzmienki nie mogło się stać zadość.

Moje towarzyszki niedoli siedziały tu już od paru tygodni nie tracąc jednak zupełnie nadziei, że lada dzień wyjdą na wolność, zwłaszcza, że zamknięto je za tak zwane przekroczenie granicy, gdy po ustaniu działań wojennych wracały z zachodniej części Polski do swych rodzin w miasteczku. Za nic nie mogła im się pomieścić w głowach ta nagle powstała „granica”. Rozumowały, że jeżeli nawet to teraz stanowi wykroczenie w pojęciu władz sowieckich – to przecież wszyscy doskonale wiedzą, że wojna porozdzielała rodziny, które dotąd się szukają po całym kraju. Jakże więc można uważać to za jakieś przestępstwo? Nonsens. To może najwyżej być karane administracyjnie.

Słuchałam tych rozważań z całą świadomością ich beznadziejnej „burżuazyjnej” naiwności. Skądże właściwie te

pocziwe, „kumoszkowate” niewiasty z kresowego miasteczka mogły dojść do przekonania, że przejście granicy w ZSSR jest równoznaczne ze szpiegostwem i najmniejsza kara przewidziana za tę zbrodnię wynosi trzy lata więzienia, a najwyższa – „likwidacja szkodliwej jednostki” – to znaczy mówiąc dokładnie, strzał w tył głowy? (Wymiar kary zależy od uznania sowieckiej komisji, złożonej z trzech osób i sądującej zaocznie).

Niestety zbyt dobrze znałam rzeczywistość i prawo sowieckie ze swych studiów w Szkole Nauk Politycznych i pobytu przed czterema laty w ZSSR na praktyce dyplomatycznej, aby mieć tego rodzaju przyjemne złudzenia, ale mówić o tym nie było warto. Każdy i tak dość wcześnie się wszystkich złudzeń pozbędzie. W samą porę przypominałam sobie, że Matka w ostatniej chwili dała mi kawałek upieczonej w domu bułki. „Zjedzcie – powiedziałam – przecież to pierwszy dzień Świąt Bożego Narodzenia”.

Jakże smakowała ta bułka wygłodniałym już bardzo biedaczkom. Ja nie mogłam jeść i wydawało mi się, że już nigdy nic przełknąć nie potrafię, ale czas pokazał jak się myliłam i co znaczy prawdziwy głód, który sprawia, że jedyną myślą człowieka staje się marzenie o jedzeniu. Ale to był dopiero pierwszy dzień z dwóch pełnych lat w więzieniach i obozach sowieckich, które przeżyć w ten sposób wypadło.

Czarne dni

Kiedyś spotkałam pozornie paradoksalne twierdzenie, że czas najszybciej mija w więzieniu. Okazało się, że jest to absolutna prawda. Człowiek się przyzwyczaja do wszystkiego. Po jakimś czasie tępieje rozpacz, tęsknota, żal, nawet strach i czas w ogóle przestaje istnieć. Każdy dzień jest zupełnie taki sam i pory roku rozpoznaje się tylko po tym, że na tak zwanym spacerze trwającym dwadzieścia minut, na który wyprowadza się więźniów na ciasne więzienne podwórze, zamknięte między kilkupiętrowymi, ślepych murami, zaczyna być powoli coraz cieplej lub coraz zimniej. Na tym spacerze widzi się kwadrat więziennego nieba nad sobą. Poza tą chwilą

nie widzi się nic prócz czterech ścian celi, której okno jest zasłonięte i światło pali się dzień i noc, bez przerwy. Codziennie jest tak samo: pobudka o czwartej rano, wstawanie, wynoszenie „paraszy”, wyprowadzanie do umywalni przez strażników, powrót, sprzątanie celi, śniadanie złożone z wyciągu z marchwi, zamiast herbaty oraz kawałka chleba. Po paru godzinach obiad: więzienna zupa, prawie zawsze wodnisty kapuśniak oraz gruba kasza i o piątej wieczorem kolacja – ta sama kasza, bez zupy, lub bardzo rzadko – ciemny makaron. I tak dzień za dniem. Jediną rozmaitość stanowi wspomniany spacer, który odbywa się co parę dni, i przybycie kogoś nowego do celi.

Ale pierwsze dni, tygodnie i miesiące są czymś odmiennym. Po pierwszym szoku i oszołomieniu zaczyna się koszmar sowieckiego śledztwa. Badania z reguły odbywają się wyłącznie w nocy i trwają od kilku do kilkudziesięciu godzin, przy czym sędziowie zmieniają się kilkakrotnie. Więzień siedzi na krześle, a nierzadko stoi przez cały czas. Metody badań – od uprzejmych pytań aż do wszelkiego rodzaju tortur, są stosowane zależnie od uznania sędziego i rzekomej ważności danego więźnia. Swego czasu bardzo wiele się czytało i słyszało o sposobach badań stosowanych przez osławioną instytucję CZEKA, a w roku 1939 noszącą nazwę NKWD. Większe niespodzianki wydawały się prawie niemożliwe. Inna to jednak rzecz czytanie, a inna – doznawanie tych emocji na własnej skórze, kiedy widzi się praktycznie beznadziejność całej sytuacji i nieunikniony tego rezultat.

Mój sędzia Kuzmienko wzywał mnie do siebie co drugą noc. Sadzał mnie nieodmiennie przed sobą w świetle trzech reflektorów i rozpoczynał zadawanie pytań przerywane kwiecistymi wymysłami. Miał przy sobie dwóch pomocników.

Ze śledztwa wynikało, że aresztowano mnie na podstawie meldunków złożonych przez dwoje moich uczniów (Żyda i Białorusinkę), którzy oskarżyli mnie o szerzenie antysowieckich nastrojów w szkole i propolską propagandę. W rzeczywistości jednak oskarżenia te były tylko pretekstem, gdyż właściwy powód mego aresztowania tkwił zupełnie gdzie indziej. Chodziło o moją praktykę w Ambasadzie Polskiej w Moskwie w 1935 roku. Fakt ten był dobrze znany miejsco-

wym władzom NKWD i wystarczał w zupełności, aby oskarżyć mnie o szpiegostwo na rzecz Polski w owych latach.

Licząc się w ciągu trzech miesięcy nie tylko z możliwością, ale wręcz z nieuchronną koniecznością aresztowania, nie wiadomo czemu ani razu nie pomyślałam o tym, że przecież ta sprawa musi wypłynąć i stanowić będzie trzon każdego przeciwko mnie oskarżenia. Teraz za to mogłam do woli rozmyślać nad własną tępotą, zupełnie niezrozumiałą u kogoś, kto zagadnienia sowieckie znał i teoretycznie, i praktycznie. Każdy pracownik dyplomatyczny każdego państwa jest uważany przez władze sowieckie za szpiega. Z chwilą, kiedy nie chroni go żadne prawo i dostaje się w ręce NKWD – los jego jest z góry przesądzony.

Ponieważ jednak nie miałam najmniejszego zamiaru przyznać się do zarzucanego mi szpiegostwa, wiedziałam doskonale, że zaczną mnie w końcu bić i chciałam, aby to już wreszcie nastąpiło, bo najgorsze we wszystkim jest czekanie. Postanowiłam więc jakoś sprowokować mego Kuzmienkę. Dotąd był jeszcze wciąż bardzo „delikatny” nazywając mnie „polską prostytutką”, „szpikiem”, „faszystowską gadziną” itp. W ciągu wielogodzinnych przesłuchań usadawiał się naprzeciwko mnie, w dość znacznej odległości i ćwiczył się w pluciu w moją stronę. Za każdym razem poprawiał swój rekord i wydawało mi się, że lada dzień dosięgnie mojej twarzy. Wolałam już spróbować bardziej brutalnych metod. Toteż któreś nocy na wytworny zwrot Kuzmienki – „widzę, ty polskie ścierwo, z jaką pogardą i nienawiścią patrzysz na władzę sowiecką i na mnie”, odpowiedziałam, że wcale się nie myli, bo jest doskonałym przedstawicielem swojego państwa i swojej władzy.

To wystarczyło. Pomocnicy mojego sędziego okazali się fachowcami wysokiej klasy, o ile mogłam ocenić, zanim straciłam przytomność.

Nie wiem jak długo wytrzymałabym te nowe metody śledztwa, ale przypuszczam, że wkrótce przyznałabym się do wszelkich, nawet najmniej prawdopodobnych zarzucanych mi zbrodni gdyby nie to, że główny urząd NKWD kazał mnie odstawić do Moskwy, jako ważnego szpiega polskiego.

Wobec tego po dwóch dniach kazano mi się zwlec z

więziennego barłogu i załadowano pod eskortą dwóch enkawudystów do pociągu jadącego w głąb Rosji. Z tej 36-cio godzinnej podróży pozostały mi tylko bardzo niejasne wspomnienia. Był luty i wszędzie leżał głęboki śnieg. Pociąg mijał dawną granicę polsko-sowiecką i z okien wagonu mogłam widzieć wierzchołki drzew ogrodu w Zarzeczu, a nawet dom, gdzie mieszkali moi krewni. Przez chwilę myślałam o próbie ucieczki, ale powstrzymała mnie nie tylko słabość sił, ale i myśl o konsekwencjach, na jakie mogłabym narazić moją rodzinę. Byłam już chora i coraz trudniej zdawałam sobie sprawę z rzeczywistości. Straż obchodziła się ze mną dobrze i nikt w pociągu nie zdawał sobie sprawy z tego, że jestem aresztowana. Przypadkowo oficer, który mnie konwojował mieszkał poprzednio w części mego mieszkania zarekwirowanej przez władze sowieckie.

Przyjechaliśmy późnym wieczorem na dworzec w Moskwie i czekali długo na przyjazd karetki więziennej. Oglądałam salę stacyjną, którą pamiętałam dobrze z poprzedniej bytności w ZSSR. Nic się nie zmieniło – te same, sztuczne zakurzone palmy, nieświeże obrusy na stołach, ta sama szara publiczność, mężczyźni w „walonkach”, kobiety w chustkach na głowach, czekający cierpliwie długie godziny na pociąg.

Naprzeciw mnie siedział jakiś Europejczyk w kapeluszu i futrze, i patrzył na mnie uważnie, może się czegoś domyślał widząc towarzyszących mi wojskowych.

Dotąd pamiętam uczucie rozpaczliwej bezsilności z jakim patrzyłam na tego wolnego człowieka z jakiegoś wolnego kraju. Ci inni, to byli tacy sami, jak ja niewolnicy – w złagodzonej formie.

Wreszcie zajeżdżał samochód więzienny zwany powszechnie w ZSSR „czarnym krukiem”. Wpakowano mnie do ciasnej klatki; cały samochód był podzielony na rodzaje szafek na ludzi i ruszyliśmy. Pomyślałam sobie, że być może ta sama maszyna woziła na śledztwa np. Bucharina czy Tuchaczewskiego i nagle śmiać mi się zachciało z mojej własnej ważności. Po dziesięciu minutach samochód stanął przed więzienną bramą. Poznałam, gdzie jestem. Była to słynna Łubianka. Znałam ten dziesięciopiętrowy gmach z widzenia dobrze i zdawałam sobie sprawę z jego przeznaczenia z czasów mego

pobytu w Moskwie. Jest położony w centrum miasta i co niedzielę przejeżdżało się koło niego po drodze do istniejącego jeszcze wówczas w Moskwie kościoła francuskiego. Nigdy nie mogłam patrzeć na ponurą kamienicę bez wewnętrznego dreszczu, choć trudno było wówczas przewidzieć, że i ja tu trafię w charakterze więźnia.

Moi konwojenci wprowadzili mnie w głąb gmachu i oddali w ręce straży. Oficer pożegnał się ze mną życząc, aby się wszystko dobrze skończyło. Jeszcze w czasie drogi ubłagałam go, żeby zawiadomił moją matkę o wywiezieniu mnie. Nie pozwolono mi bowiem napisać ani słowa, ani zobaczyć nikogo z mojej rodziny.

Po szczegółowej i fachowej rewizji każdego skrawka w moim więziennym węzłku i całej mojej osoby, zaprowadzono mnie do jakiejś pojedynczej celi i pozostawiono w spokoju w ciągu 48 godzin. Męczyła mnie gorączka i pragnienie. Po dwóch dniach poddano mnie ponownie rewizji, przewieziono windą na jakieś inne piętro i wprowadzono do innej celi, gdzie znajdowały się już cztery kobiety.

Ucieszył mnie widok ludzkich twarzy – ciągle bałam się, że będę cały czas sama. Wszystkie moje towarzyszki były rosyjskimi Żydówkami, żonami wybitnych komunistów i siedziały „za mężów”. Znaczyło to, że mężowie ich oskarżeni o należenie do tak zwanego trockistowsko-bucharinowskiego bloku opozycyjnego zostali rozstrzelani, lub skazani na długoletnie więzienie, one zaś pozostawały od dwóch lat „pod śledztwem”, jako żony wrogów ludu. Wszystkie były i pozostawały nadal gorliwymi komunistkami, co nie uchroniło ich przed niczym.

Te zupełnie na razie niezrozumiałe w europejskim pojęciu rzeczy powyjaśniały mi się z biegiem czasu w należyty sposób, przede wszystkim jednak poinformowały o technicznej organizacji obowiązującej w więzieniu. Okazało się, że według ich zdania miałam niesłychane szczęście trafiając tu właśnie – na Łubiankę, a nie do innego z licznych moskiewskich więzień. Jest to właściwie nie więzienie, ale hotel. Jest się w dobrym towarzystwie, bo nie ma tu przestępców kryminalnych, sami polityczni. Cele są duże. Każda ma łóżko, siennik, koc, a nawet poduszkę z siana.

Łaźnia jest co tydzień. Dostaje się książki do czytania, jedzenie jest o wiele lepsze, niż gdzie indziej. Kto ma pieniądze, może sobie nawet kupić w sklepiku więziennym trochę cukru i papierosów. W innych więzieniach jest pełno robactwa, śpi się na wspólnych narach, razem ze złodziejami i bandytami, a o żadnej pościeli nie ma mowy. One przeszły już kilkanaście więzień, więc mają skalę porównawczą. Łubianka jest więzieniem wzorcowym. Wprawdzie w piwnicach znajdują się karne pomieszczenia, karcery dla nieposłusznych więźniów, którzy odmawiają zeznań, ale o tym lepiej nie mówić. Nikt właściwie nie wie co się tam dzieje, bo z karceru nie wraca się do tej samej celi nigdy: najczęściej wywozi się później delikwentów do Lefortowa, więzienia karnego, zwanego „czarnym więzieniem”. Żadna z nich tam nie była.

Słuchałam tych informacji z rosnącym szumem w głowie i czując się coraz gorzej. Tej samej nocy wezwano mnie na śledztwo. Mój nowy sędzia, bardzo uprzejmy, młody major powiedział mi krótko, że ma nadzieję, że zrezygnuję teraz ze swego niemądrego uporu i opowiem mu wszystko dokładnie o mej działalności szpiegowskiej w czasie mego pobytu w ambasadzie byłego państwa polskiego. Szczere przyznanie się do winy wpłynie bez wątpienia na złagodzenie wymiaru kary, skrucza bowiem znaczy bardzo wiele w ZSSR. Po krótkim przemówieniu kazał odprowadzić mnie do celi.

Tej samej nocy, nad ranem, zemdlałam kilka razy i wezwano lekarza więziennego, który po stwierdzeniu, że mam temperaturę 39.9° i wielkie bóle wewnętrzne kazał przewieźć mnie do szpitala, znajdującego się przy innym więzieniu moskiewskim, tzw. Butyrkach. Trzymano mnie tam bardzo długo w tzw. psiej budzie, czyli klatce na więźnia, zanim wreszcie położono mnie do łóżka w osobnej celi.

W ciągu sześciu tygodni byłam półprzytomna, gdyż wywiązało się ogólne zakażenie krwi wskutek pobicia, nie straciłam jednak nigdy świadomości całkowicie. Ciągłe wydawało mi się, że cała moja rodzina jest również w więzieniu, że dzieci mnie wołają, że są głodne i chore. Poddawano mnie jakimś zastrzykom i zabiegom, badano po kilka razy dziennie, nie szczczędzono starań o wyleczenie, nie kryjąc zresztą specjalnie, że nadziei na wyleczenie jest bardzo

niewiele. A jednak któregoś ranka obudziłam się bez bólów i bez gorączki. Spytałam jaki dzień mamy. „Trzeciego maja” – odpowiedziała mi gruba, pocziwa siostra. To znaczy, że od mego przybycia do szpitala minęło przeszło sześć tygodni.

Po dziesięciu dniach wypisano mnie ze szpitala i odesłano z powrotem na Łubiankę. Tym razem miałam siedzieć przeszło 10 miesięcy, ale już z innymi towarzyszkami niedoli.

Śledztwo rozpoczęło się znowu, ale teraz już metody były o wiele subtelniejsze. Nie tylko nie było żadnych rękoczynów, ani plucia, ale nawet nie stosowano żadnych gróźb. Prowadzono ze mną długie, nocne rozmowy o polityce, sztuce i literaturze, ze specjalnym uwzględnieniem mego pobytu w Moskwie i wrażeń, jakie z niego wyniosłam.

Mój sędzia nie był ani głupi, ani niekulturalny. Raz nawet zaimponował mi w sposób zupełnie niespodziewany. Swego czasu, po powrocie z ZSSR do Polski napisałam szereg artykułów o kulturze sowieckiej. Pewnej nocy sędzia wręczył mi je wszystkie w pięknym rosyjskim tłumaczeniu.

„Widzicie, że znam każdy wasz krok i każdą myśl” – oświadczył triumfująco.

„A to szkoda, żeście na to stracili tyle drogiego czasu – powiedziałam mu z głupia frant – mam tyle czasu w więzieniu, że mogłabym to przetłumaczyć sama, gdybym wiedziała, że to was interesuje”.

W przerwach między śledztwami, które stawały się coraz dłuższe, starałam się przewidzieć o co będzie mnie pytał następnym razem i co mam odpowiedzieć. Czasem te przewidywania udawały mi się, a czasem trafiałam kulą w płot. Nikomu jeszcze się to nie udało w stu procentach. Wszystko to jednak zaczynało być coraz bardziej nudne. Weszłam już w okres, kiedy traci się poczucie czasu i rzeczywistości. Zaczęły mnie natomiast coraz bardziej męczyć typowe więzienne sny, które każdy pozbawiony wolności przeżywa. Ciągłe się śni, że wypuszczono z więzienia, ale czasowo i trzeba koniecznie zaraz wrócić, albo też chodzi się po jakichś bezkresnych, kamiennych drogach i nigdy nie można trafić do domu, albo widzi się najbliższych w nędzy wielkiej, matkę dźwigającą ciężkie kubły brudnej wody, dzieci, które się odwracają i nie chcą znać matki. Sny stają się bardziej realne, niż jawa....

W każdym razie stawało się coraz bardziej jasne, że od czasu mojej choroby w metodach śledztwa i w całej polityce NKWD wobec mojej osoby zaszedł jakiś zasadniczy, aczkolwiek zupełnie niezrozumiały zwrot. Nie tknięto mnie nawet palcem, nie grożono mi niczym, wzywano coraz rzadziej i było jasne, że przestałam przedstawiać wypadek dla NKWD interesujący. Zazwyczaj teraz po stereotypowym pytaniu, co słychać u mnie i u moich towarzyszek w celi, i czy nie namyśliłam się wreszcie, żeby się przyznać do zarzucanego mi szpiegostwa – sędzia proponował mi czytanie gazet i rzeczywiście dawał mi *Prawdę* lub *Izwiestia*, a sam zagłębiał się w jakąś inną gazetę. Potem, aby czas pręcej przeszedł, wymienialiśmy wrażenia i informacje, i odsyłał mnie do celi.

Sytuacja stała się zupełnie niesłychana. Gdy przynosiłam do celi wszystkie wiadomości o wojnie, moje towarzyszki nie mogły się nadziwić, z nimi bowiem obchodzono się zupełnie inaczej. Moja sytuacja nie przyczyniła się zupełnie do złagodzenia stosunków, które na początku nie były najlepsze, ponieważ większość z nich (było nas osiem), to były znowu żony aresztowanych dygnitarzy z opozycji antystalinowskiej. Wszystkie one uważały mnie od początku za wroga klasowego, „białopolaczkę”. Do tej klasowej nienawiści dochodziła wcale niemała porcja rosyjskiego szowinizmu. Jedna z nich stale przypominała mi, że Warszawa jest starym, rosyjskim miastem, inna znów pocieszała mnie, że za dwa lata dzieci moje nie będą pamiętały ani słowa po polsku.

Lenin znał dobrze swoich rodaków, gdy twierdził, że wystarczy z lekka poskrobać każdego sowieckiego komunistę, a ukaże się rosyjski szowinista czystej wody. O żadnej solidarności, czy współczuciu nie było mowy. I tak na ich zasługę należy zanotować, że żadna nie była szpiclem. Były uczciwe w swojej nienawiści.

W tym zespole znalazła się również żona autentycznego „białogwardzisty”, czyli jeszcze większy wróg klasowy, niż ja. Wprawdzie oboje dawno chcieli zapomnieć o swoim, przypadkowym zresztą, udziale w tych dziejach, przed dwudziestu paru laty. Do tej pory jakoś udawało się im istnieć, mimo nieustannie wiszącej nad nimi groźby. Właśnie teraz, kiedy

wydawało się, że to wszystko wreszcie jest nieaktualne, że już nic się im nie stanie – zostali oboje aresztowani.

Ponieważ prawo sowieckie nie uznaje przedawnienia, śledztwo toczyło się tak, jakby ta sprawa działa się wczoraj, a nie przed dwudziestu paru laty.

Teraz już, po usłyszeniu niejednej podobnej historii nie byłam tak naiwna, żeby się dziwić. To, przeciwko czemu buntował się zdrowy rozsądek, rzecz nie do pomyślenia w Europie, ażeby kogoś więziono i torturowano za to, że w tamtym zamierzczłym czasie delikwentka zaniósł komuś plik antybolszewickich proklamacji, a mąż jej był sędzią wojskowym po stronie „białych”, obecnie wydawało się rzeczą zupełnie naturalną.

Tak samo nie dziwiłam się już, że inna niewiasta, lekarka siedzi w więzieniu już od 13-tu miesięcy bez żadnego śledztwa, bez badań, zaaresztowana za to, że wśród rzeczy jej męża, z którym *nota bene* przed paru laty się rozwiodła, znaleziono jakieś rzekomo trujące lekarstwa i preparaty, których nie wolno mieć w domu. Groziło jej za to 9 lat więzienia. Oczywiście oskarżono ją dodatkowo o udział w organizacji kontrrewolucyjnej, bo bez tego dodatku jeszcze chyba żadnego aktu oskarżenia NKWD nie sformułowało.

Skład naszej celi prawie się nie zmieniał. Któregoś dnia jednak wprowadzono nową – młodą Tatarkę z Krymu. Oskarżona była o spekulację, która w Rosji Sowieckiej należy do przestępstw politycznych. Twierdziła, że przyjechała do Moskwy, aby kupić dla siebie i rodziny trochę materiału na ubranie. Na wszystkich śledztwach Nina uparcie zaprzeczała wszystkim oskarżeniom. Humoru nigdy nie traciła, uważała swą sprawę za nieporozumienie i oczekiwała lada dzień zwolnienia. Aż któregoś dnia, po dłuższym niż zwykle pobycie w gabinecie sędziego, wróciła zmieniona do niepoznania. Leżąc na brzuchu, na swoim więziennym łóżku, jęczała i płakała bez przerwy. Nikt nie zwracał na nią uwagi. Podeszłam do niej po jakimś czasie. „Nina, co ci się stało?”

„Zbili mnie całą, calutką, och jak mnie bili. Tylko cicho, nic nikomu nie mów, boję się”.

Potem w łaźni oglądałam nogi dziewczyny sine od pasa do kolan.

Nie wzywano jej długo. W końcu jednak wywołano ją znowu. Żal było patrzeć na tę roslą, silną dziewczynę zawsze przedtem spokojną, a teraz trzęsącą się ze strachu. Była blada jak ściana, trzęsła się jej broda i szczękały zęby. Na próżno starałam się ją trochę uspokoić. Nie wróciła już do celi, ale spotkałyśmy się jeszcze.

Którejś nocy, po przeszło miesięcznej przerwie, wezwano mnie znowu na śledztwo.

„No, powitał mnie młody człowiek, najwyższy czas skończyć śledztwo. Mnóstwo czasu na was straciłem. Przyznajecie się w końcu do szpiegostwa, czy nie?”

„Ciekawe, dlaczego akurat dziś mam się przyznać, skoro w ciągu roku tego nie zrobiłam?”

„No cóż, czasem człowiek nabiera rozumu, chociaż jest późno” – sentencjonalnie odrzekł sędzia.

„Proszę przeczytać akt oskarżenia i zeznania świadków przeciwko wam”.

„Jakich znowu świadków, przecież żadnego nie widziałam?”

„Badano ich bez waszej obecności. Proszę”.

Przeczytałam ów akt oskarżenia.

Oskarżano mnie oczywiście w dalszym ciągu o uprawianie agitacji kontrrewolucyjnej w szkole i o szpiegostwo w czasie pracy w Ambasadzie. Zarzut kierowania grupą kontrrewolucyjną, o dziwo, usunięto.

„Widzicie, jak łagodnie z wami postąpiłem? Cofnąłem zarzut kierownictwa grupą kontrrewolucyjną” – powiedział sędzia z miłym uśmiechem.

„To dobrze świadczy o waszym poczuciu humoru” – odrzekłam zgryźliwie.

Po przestudiowaniu owego dokumentu powiedziałam, że ja jednak tego nie podpiszę. Lokal i wikt na Łubiance bardzo mi odpowiadają i mogę tu jeszcze drugi rok posiedzieć.

„Och, za dobrze się z wami obchodziłem, za dobrze” – westchnął sowiecki major. „Może chociaż raczycie powiedzieć, co gotowicie podpisać, sami rozumiecie, że coś podpisać trzeba, no?”

„Proszę pisać: przyznaję się, że na jesieni roku 1939 uważałam wkroczenie wojsk sowieckich do Polski za bez-

prawne pogwałcenie paktu o nieagresji wciąż obowiązującego. Przyznaję się, że nie mogłam być pozytywnie nastrojona wobec państwa, które wbiło nóż w plecy mojej ojczyźnie walczącej z Niemcami. Do żadnej działalności szpiegowskiej nie przyznaję się. To wszystko”.

„Co, co takiego? – wrzasnął nagle sędzia – Ja mam napisać coś podobnego w akcie oskarżenia? Samiście powinni rozumieć, że jest to niemożliwe”.

Kilka minut milczenia. W końcu: „Opuśćcie chociaż ten idiotyczny nóż w plecy. Przecież to na waszym wyroku zaciąży. Zarozumiałstwo i duma całkiem nie na miejscu”.

Targ w targ – zrezygnowałam z „noża w plecach”, resztę wpisał do aktu słowo w słowo i kazał mi podpisać.

Kiedy już stałam we drzwiach czekając na konwojenta powiedział: „No cóż, opanowania macie dużo, ale to i tak na nic się nie zda. Żegnajcie”.

„Dziękuję za uprzejmość – zobaczymy”.

Miesiąc jeszcze czekałam na wyrok. W końcu jednak wywołano mnie z celi, do której już nie miałam wrócić i odczytano mi ów wyrok skazujący mnie „na pięć lat pobytu w poprawczym obozie pracy za kontrrewolucyjną agitację w szkole”. O szpiegostwie ani słowa. Był to chyba jedyny tego rodzaju wypadek, że NKWD przestało kogoś uważać za szpiega.

Wysłuchałam tej sentencji w ciasnej szafce zwanej psią budą, która, jak się okazało, była używana i do tego celu (zwykle robiono tam rewizję osobistą). Odczytał mi wyrok jakiś niewysokiej szarzy enkawudysta. Długo wspominałam jego zdumione spojrzenie, kiedy nieprzystojnie parsknęłam śmiechem.

„A wam co się stało?” – zapytał ze zdumieniem.

„Nic, śmiesznie, że tak mało daliście. Szkoda, czy co?”

„Nie wasza sprawa” – burknął. „Zasłużycie – to dolożą”. Bardzo zgorzany wyszedł.

Tego samego dnia przewieziono mnie do tych samych Butyrek, gdzie leżałam chora w szpitalu. Było to stare więzienie z dawnych carskich czasów. Łubianka była wówczas naprawdę hotelem, nie więzieniem. Tu miałam przesiedzieć jeszcze przeszło miesiąc w oczekiwaniu na transport do

obożu. Któregoś dnia w ubikacji odkryłam taki stary, wydrapany napis, przez nikogo ze straży widać nie dostrzeżony: „Ten, kto tu wchodzi, niech nie rozpacza. Ten, kto wychodzi, niech się nie raduje. Kto był – nie zapomni. Kto nie był – ten będzie”.

Nie wiem, czy te gorzkie słowa mądrości więziennej powstały teraz, czy dawno temu, ale właściwie nic się nie zmieniło w matce-Rosji. Zmiany są tylko ilościowe, zamiast tysięcy – miliony ten napis czytają.

„Pieresylka”

Więzienie Butyrki miało dwa specjalne pomieszczenia, zwane celami przesyłkowymi. Były to wielkie pomieszczenia na 150-200 osób. W jednym z nich siedziały kryminalistki, w drugim zaś tak zwane przestępczynie polityczne, zwykle niewiele mające wspólnego z jakąkolwiek polityką. Gmach więzienny był olbrzymi i musiał mieć kilkanaście tysięcy więźniów. Widziało się z niego tylko fragmenty.

Towarzystwo w mojej celi było liczne i różnorodne. Wśród około 150-ciu „kontrewolucjonistek” było może kilka mających jakie takie pojęcie o polityce i faktycznie nieprzychylnie nastrojonych wobec rządu. Cała ogromna reszta były to najprawdziwsze proletariuszki, ciężko pracujące robotnice fabryczne, konduktorki, pracownice kooperatyw itd. Winy ich powstały w ten sposób, że któraś narzekła na drożyznę, jakiej za carskich czasów nie było, inna powiedziała publicznie, że takie psie życie gorsze od śmierci, inna jeszcze odsprzedała pięć metrów materiału sąsiadce. Wyroki – od pięciu do ośmiu lat – opiewały odpowiednio: „za agitację antysowiecką”, „za groźby terrorystyczne”, „za spekulację” itd. Po dobrym stażu na Łubiance uważałam to wszystko za zupełnie naturalne.

Tutaj też, po raz pierwszy od wywiezienia mnie do Rosji, spotkałam Polkę. Była to osiemnastoletnia córka osadnika na Wołyniu, Lilka. Dostała dziesięć lat z wyroku Najwyższego Trybunału Rewolucyjnego i sądził ją prawdziwy sąd, z czego była zresztą bardzo dumna. Historia jej odbiegała od banału

sztucznie wytworzonych, fikcyjnych przestępstw, w które nie wierzył prawie nigdy oskarżony, a już na pewno nigdy sędzia, który je wmawiał.

Lilka, wywieziona wraz z innymi osadnikami z Polski w zimie 1940 roku na daleką północ, w rejonie Kotłas, pracowała przy wyrębie lasu. Pewnego dnia, gdy na robocie nie było w pobliżu niej nikogo, zobaczyła dwóch obcych mężczyzn. Byli to zbiegowie z jakiegoś pobliskiego obozu, bardzo wynędzniali. Dziewczyna użaliła się nad nimi, wygrzebała jakąś mapę w chałupie, uzbierała chleba i zaniósła im do lasu. Poszli dalej. Ktoś jednak musiał zauważyć i wysłano do lasu pogoń z komendantem miejscowej milicji na czele. Po paru dniach przyniesiono do wsi trupa komendanta i przyprowadzono obu zbiegów. Bronili się zażarcie. Lilkę aresztowano za pomoc w ucieczce. Zbiegów, rzecz prosta, rozstrzelano, a jej dano „zaledwie” 10 lat, z uwagi na młody wiek. W ciągu tego roku spędzonego na zesłaniu i w więzieniu dziewczyna zapomniała już po polsku, a nie nauczyła się rosyjskiego i mówiła jakimś żargonem polsko-rosyjskim. Zamieszkałyśmy teraz obok siebie na wspólnych narach.

Mimo, że naszej celi było daleko do elegancji i czystości obowiązującej na Łubiance, bo leżałyśmy obok siebie pokotem w tłoku i ścisku, i nie dawano nam żadnej bielizny pościelowej, to życie upływało tu wcale znośnie. Książek dawano dużo. Jedzenie było możliwe – ten sam chleb, kasza i zupa, ale w większych ilościach. Strażnicy prawie do nas nie zaglądali, ponieważ stale byli zajęci uśmierzaniem hałasów i bójek w sąsiedniej, kryminalnej celi. Wiele też znaczyła świadomość, że ma się poza sobą zmorę śledztwa i badań.

Przysłuchiwanie się odgłosom dochodzącym z sąsiedniej celi stanowiło specjalną rozrywkę. Codziennie toczyły się tam wielkie boje z łamaniem więziennych stołków i wydzieraniem sobie wzajemnie kłaków z głowy. Repertuar wyzwisk, którymi obrzucano próbujących bezskutecznie interweniować strażników był fantastyczny. Język rosyjski zdobył sobie już od dawna pod tym względem zasłużoną sławę w Europie, a w Związku Sowieckim sztuka wymyślania doszła do zupełnej doskonałości, prawdopodobnie dlatego, że w pierwszych po

rewolucji latach władze wydały specjalny edykt zabraniający wyzwisk.

Wiedziałyśmy od tychże strażników, że rej w tych wyczynach wodzi młoda bandytka, imieniem Halka, skazana za dwanaście kradzieży i trzy usiłowania morderstw (w tym jedno z pozytywnym skutkiem), na 9 lat więzienia.

Pewnego wieczoru drzwi naszej celi otworzyły się z wielkim hałasem i dwóch tęgich strażników wprowadziło właśnie ową Halkę.

„No, masz teraz politycznych. Może przestaniesz wrzeszczeć nareszcie, żeby cię przenieść do innej celi. Siedź teraz tu” – powiedzieli jej na pożegnanie zatraskując drzwi.

Dziewczyna stała bez ruchu patrząc na nas. Była bardzo piękna. Wysoka, szczupła, o chłopięcej głowce, subtelnym owalu twarzy. Wspaniałe szare oczy patrzyły chmurnie spod długich rzęs i prostych, czarnych brwi. Białe zęby błyskały zza drgających nerwowo ślicznych ust.

W celi panowało zupełne milczenie. Jest niepisane prawo, że więźniarki robią przychodzącej miejsce i okazują trochę uwagi, nie tyle przez współczucie, co przez prostą ciekawość. Ale teraz lepsze towarzystwo przybrało wrogi wspólny front wobec osławionej bandytki, której, jak się okazało, ni stąd ni zowąd zachciało się siedzieć z politycznymi.

Halka czekała, coraz mocniej tylko ściągając brwi i zagryzając usta. No, za chwilę usłyszymy, co o nas myśli, przyszło mi do głowy. Równocześnie nie mogłam się oprzeć uczuciu sympatii wobec tego czarującego stworzenia.

„Chodź do mnie” – powiedziałam więc nie namysłając się dłużej – „będziesz spała koło mnie”.

W tej samej chwili dobiegł do mnie przestraszony szept jednej z sąsiadek:

„Co robisz, nieszczęsna, ona nas okradnie, podusi w nocy”.

„Cicho bądź, wrono jedna” – odparłam niecierpliwie – „włos ci z głowy nie spadnie”.

Halka wolno podeszła do mnie. „Chcesz naprawdę spać koło mnie?” – pytała nieufnie. „No pewnie, że chcę, gdybym nie chciała, to bym ci nie mówiła. Lokuj się”.

Od tej chwili zawarłyśmy przyjaźń, dzięki której zaczęło

mi się powodzić doskonale. Halka nałożyła srogi haracz na wszystkie więźniarki, które otrzymywały z domu wałówki. Ponieważ nikt nie śmiał się jej sprzeciwić, a była bardzo sprawiedliwa, po raz pierwszy od kilkunastu miesięcy nie byłam głodna. Opowiedziała mi z czasem przebieg swego króciutkiego, dziewiętnastoletniego życia. Córka jednego z pomniejszych dygnitarzy sowieckich, wychowana we względnym dobrobycie, znalazła się w kompletnej próżni po aresztowaniu ojca w 1937 r. Wyrzucona z Komsomotu, z wzorowej szkoły, ze wszystkich organizacji dla młodzieży, jako córka „wroga ludu”, przez długi czas nie wiedziała co ze sobą zrobić. W tej samej sytuacji znalazło się kilkunastu jej koleżków. Utworzyli bandę włóczęgów i kiedyś dla kawału okradli jakiegoś solidnie wyglądającego enkawudystę. Odtąd zaczęło się. Zasmakowali w tym hazardowym zajęciu, przy czym specjalizowali się w okradaniu, a później i mordowaniu ludzi z NKWD uważając ich za personalnych wrogów. Halka zresztą żadną „mokrą” robotą osobiście się nie zajmowała. Pełniła zawsze rolę „wabika” z powodu swej urody. Później, zwabionego w jakiś ciemny zaułek faceta obrabiali jej koledzy. Ubocznym zajęciem było okradanie podmiejskich lotnisk.

„Oni mi udowodnili dwanaście kradzieży – opowiadała Halina – durnie! Było ich czterdzieści cztery. I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to, że tak przydusili jakąś staruszkę na podmiejskim lotnisku, za to że znanadto się darła, że aż się ‘zatknęła’. A mówiłam – ostrożniej..., ale i to jeszcze może by jakoś przeszło, ale następnego dnia wpadliśmy z tym enkawudystą, który zaczął się bronić tak, że aż trzeba go było nożem pchnąć. I wyobraź sobie – opowiadała z przejściem dziewczyna – ja po aresztowaniu na śledztwie wypierałam się oczywiście wszystkiego, zaklinałam się, że nic w tej sprawie nie wiem, że nigdy takiego na oczy nie widziałam, bo przecież nie ma żadnych dowodów, a trup świadczyć nie może, aż tu wprowadzają mnie nagle do drugiego pokoju, a tam przy stole siedzi ten sam facet, żywy, cholera, jak gdyby nigdy nic i powiada, że to ja przecież zwabiłam go w ten zaułek, gdzie go ograbili i nożem pchnęli, niestety za mało. No i co było robić? Musiałam się przyznać”.

Śledztwo Halki było urozmaicone. Któryś sędzia, chcąc

skruszyć opór zatwardziałej przestępczyni uderzył ją w twarz. Ona nie namyślała się długo i połamala na drobne kawałki krzesło na głowie niefortunnego sędziego. Jego zabrano do szpitala, jej dano trzy dni karceru, po czym zmieniono jej sędziego, bowiem poprzedni za nic nie chciał dalej prowadzić śledztwa.

Oczywiście, że gdyby na podobną reakcję pozwolił sobie któryś z więźniów politycznych, dzień ten byłby ostatnim w jego życiu, ale stosunek do kryminalistów jest w Rosji Sowieckiej zupełnie odmienny. Kryminaliści są bowiem uważani za ludzi politycznie czystych, a zatem społecznie mało szkodliwych i możliwych do poprawienia. Stąd też przeciętna kara za morderstwo wynosi 2-3 lata obozu poprawczego, wobec wyroków 5, 10 i 15-letnich za tzw. agitację, pod którą to nazwę podciąga się wszelkie nie odpowiadające komukolwiek wypowiedzi. Przestępcy kryminalni, pewni względnej bezkarności, stanowią w ZSSR groźną siłę i terroryzują, a nierzadko mordują więźniów politycznych, do których czują wielką pogardę.

Halka, zbyt jeszcze młoda i wepchnięta na tor przestępczości wskutek specjalnych warunków, zdawała sobie sprawę, że nie ma już dla niej powrotu do żadnego innego życia.

Pewnego dnia wprowadzono do naszej celi znowu dwie „nowe”. Były to młode dziewczyny, wyglądające niezwykle elegancko, jak na poziom sowiecki. Miały utlenione włosy, które już odrastały na ciemno przy skórze, malowane usta i pantofle na wysokich obcasach. Powiedziały od razu, że są „polityczne” i że trafiły tu „za agitację”.

Halina milczała, ale przed uśnięciem rzekła mi na ucho: „To są prowokatorki i musimy się ich pozbyć jak najprędzej”.

„Ale jak – pytałam – a zresztą co to cię obchodzi, nie musisz z nimi rozmawiać”.

„Chciałam, żeby mnie tu przenieśli nie po to, żeby mieć znowu świnię koło siebie”, mruknęła Halka ze złością.

Nazajutrz, jeszcze przed świtem, zanim straż kazały nam wstawać, obudził mnie jakiś niezwykle wrzask. Siadłam na narach i na wpół przytomnie zaczęłam się rozglądać. Halki przy mnie nie było, natomiast w kącie, gdzie zamieszkały

nowo przybyłe, odbywała się bitwa. Halka trzymała jedną ręką którąś z dziewczec za utleniony czub, drugą zaś z wielką wprawą waliła ją po pysku, równocześnie obiecywała wrzeszczącej towarzysze, że zaraz i na nią przyjdzie kolej. Obietnicy dotrzymała tak szybko i wprawnie, że zanim straż zdążyła odryglować drzwi i wkroczyć, obie rzekome prowokatorki miały spuchnięte policzki. Strażnicy zabrali wszystkie trzy do karceru. Z tego niezbyt przyjemnego miejsca wróciła Halka następnego dnia wieczorem zziębnięta i szczękająca zębami, ale bardzo zadowolona. „No – powiedziała – sam naczelnik więzienia do mnie przyszedł. Pytał za co je właściwie pobita i chciał żebym obiecała, że już więcej nie będę. No to mu powiedziałam, że niech się lepiej ich spyta, za co dostały i że jeżeli ich nie zabiorą, to co dzień im takie samo lanie sprawię. No cóż, wprawdzie potrzymali mnie dobę w tym diabelskim chłodzie, ale jestem i nic mi nie będzie, a te mały nie wróciły i mamy spokój”.

Przyszedł w końcu dzień, gdy wraz z paru innymi wywołano mnie „do etapu”. Haliny nie wezwano. Zatwardziała przestępczyni zalewała się gorzkimi łzami, żegnając się ze mną.

„I co ja teraz zrobię – szlochała – ja przecież mam dopiero dziewiętnaście lat. Może mogłabym jeszcze być człowiekiem, a teraz już będę na zawsze Halka – bandytka i nikt mi nie pomoże, prócz takich samych, jak ja”.

Jeszcze jedna – setna chyba – rewizja, jeszcze jedno *quasi*-badanie lekarskie, a potem znowu karetka więzienna, migające przez okratowane okienka światła na zaśnierzonych ulicach moskiewskich (był koniec lutego, 1941 roku). „O przekłète miasto”, wzdycha obok mnie Estonka, Renata, złapana w czasie pogodnej przejażdżki jachtem wzdłuż brzegów Estonii przez sowiecką łódź podwodną i skazana również na pięć lat „za kierownictwo grupą kontrrewolucjonistów”, chociaż jedyną organizacją do jakiej w życiu należała był chór kościelny.

W końcu dworzec – nie wiem który – i długi rząd „stołypinowskich”, zakratowanych wagonów. Załadowano nas do wagonów po uprzednim oczekiwaniu na klęczkach, na śniegu. Sprawdzone nazwiska, obok nas zamknięto innych

więźniów w sąsiednim przedziale. Przy sprawdzaniu ich nazwisk uderzyło mnie znajome nazwisko. Tak samo przecież nazywała się Nina – Tatarka na Łubiance.

„A ciebie za co wsadzili, stary?” – „Oj za córkę, za córkę” – odpowiedział starczy, drżący głos męski. „Córka całą rodzinę wyspała, przyznała się, że spekulowaliśmy wszyscy”. A więc biedna Nina nie wytrzymała w końcu nowych metod śledztwa.

Zakończono wreszcie sprawdzanie, pozamykano wszystkie przedziały i dano po kawałku chleba i dwa śledzie co miało starczyć na dobę. Przedział w środku posiadał trzy wąskie półki z każdej strony. Było nas sześć, więc miałyśmy każda – półkę dla siebie, czyli wielką wygodę. Jechać można było tylko w pozycji leżącej, bo na siedzenie półki były za niskie.

Staliśmy jeszcze dwa dni bez ruchu. Straż przy wagonie pełnili czterej młodzi chłopcy w mundurach wojskowych, wszyscy kaleki, bez obu nóg.

„Co się wam stało?” – spytałam jednego z nich, młodziutkiego, dobrodusznego chłopaczka.

„Na fińskim froncie odmroziliśmy” – powiedział cicho żołnierz. „Trzeba było odciąć. Dużo było takich. Teraz pilnujemy takich, jak wy. I za co was zamknęli?”

„Też za wojnę, za wojnę w Polsce” – odpowiedziałam.

Wreszcie po dwóch dniach pociąg ruszył. Jechaliśmy długich trzydzieści dni. Pod koniec podróży zabrakło żywności i w ciągu trzech dni nie dostawaliśmy nic. Czasami pociąg stawał na długie godziny w zamiecionym śniegiem stepie i zdawało się, że już nigdy dalej nie ruszy zasypyany śniegiem, i że tylko wiatr będzie wył nad naszymi kośćmi.

Karabas

Po czternastu miesiącach więzienia i trzydziestu dniach podróży z Rosji w głąb Azji wyprowadzono nas o świcie przed pociąg. Był początek marca. Wschodzące, jakby zadymione słońce zaczynało czerwienić pokryte śniegiem wzgórza. Czterdziestostopniowy mróz zapierał oddech w piersiach.

Ludzie zamknięci w ciągu długich miesięcy i odzwyczajeni od świeżego powietrza nie mogli złapać tchu na mrozie. Popędzani przez strażników zapadali w śnieg po pas, usiłując ciągnąć za sobą swoje biedne tobołki.

O jakieś dwa kilometry od stacji kolejowej Karabas widać było kilka długich baraków wylepionych z gliny. Był to punkt rozdzielczy dla więźniów przeznaczonych do obozów nazywanych „Grupą karnych obozów prowincji Karaganda”. Stąd dopiero miano nas rozsyłać do poszczególnych punktów. Tu, w jednym z baraków nastąpiły znane już na pamięć formalności; po raz setny padały pytania: „Nazwisko?” „Imię?” „Imię ojca?” „Rok urodzenia?” „Paragraf?” „Termin?” itd.

Po zakończeniu, zaprowadzono nas do łazni, w której kąpiące się kobiety obsługiwali więźniowie, mężczyźni. Początkowe nasze protesty łaziebnicy uspokajali flegmatycznymi zapewnieniami, że nie my pierwsze i nie ostatnie, a im w ogóle wszystko jedno, czy chłop, czy baba się kąpie. Po dziesięciu latach siedzenia w obozie to już nie ma żadnego znaczenia.

Tak pocieszone i z grubsza wymyte zaprowadzono nas do baraku przeznaczonego dla kobiet i oczekujących na dalszy transport. Tu, wśród przeszło trzydziestu więźniarek po raz pierwszy spotkałam kilkanaście Polek. Była to wielka radość. W ciągu roku przeszło przebywania tylko z Rosjankami zaczynałam już prawie zapominać własnego języka. Gdy wieczorem udało się nam zdobyć bardziej zaciszny kąt baraku, gdy ucichł gwar otaczającego nas tłumu i większość posnęła, po raz pierwszy spłynął w serce jakiś cień otuchy i nadziei, że przecież człowiek już nie jest taki potwornie sam i że może razem przetrwamy.

Głód budził nas bardzo wcześniej w tym Karabasie. Po paru godzinach oczekiwania przynoszono wreszcie śniadanie: pół litra rozgotowanej na rzadko kaszy i 400 gramów chleba, który miał wystarczyć na cały dzień, a który naturalnie zjadałyśmy od razu. Na obiad, około pierwszej po południu, przynoszono nam znowu pół litra zupy. To było wszystko. Na kolację dostawałyśmy tylko gorącą wodę. Mimo jednak ciągłego głodu, do którego człowiek niestety nie może się

przyzwyczaić, czas upływał nam wcale przyjemnie. Do pracy nas tu nie zmuszano, mogliśmy więc gadać do woli o wszystkim. Prawie wszystkie moje rodaczki były uwięzione za owo nieszczęsne przejście granicy, z wyjątkiem paru oskarżonych o „agitację” lub „kierownictwo akcją kontrrewolucyjną”. Najmniejsze wyroki wynosiły trzy lata, najwyższe – 10. Opowiadałyśmy sobie to wszystko szczegółowo, a poza tym usiłowałyśmy przewidzieć dalsze losy wojny i polityki światowej, co przy naszej kompletnej izolacji było raczej trudne.

Największą jednak naszą atrakcją było chodzenie „na spacer”. Zagroda z drutu, którym nasz barak był otoczony pozostawiała trochę wolnego miejsca pomiędzy barakiem, drutem i wieżą strażniczą, na której czuwał żołnierz, z karabinem maszynowym wymierzonym w naszą stronę. Tu wydeptałyśmy sobie drogę – 30 kroków w głębokim śniegu wzdłuż ogrodzenia. Było to bardzo wiele, w porównaniu z krążeniem po celi, półciemnej zimą i latem. Teraz o ile nie zbliżyliśmy się zanadto do drutu (bo wtedy z wieży padał okrzyk „stój, bo strzelam”) nikt nam nie przeszkadzał.

Słońce świeciło jaskrawo, śnieg błyszczał bielą w świetle, ciemniał błękitem w załomach. Bryły jego odrzucone od baraku przypominały nieodparcie od dawna nie widziany cukier w kostkach. Parę razy na dzień wyłaniał się zza pasma wzgórz pociąg ciągnący za sobą czerwone pudełka wagonów towarowych, lub zielone – osobowych. Wydawało się jakieś śmieszne i nieprawdopodobne, że w tych wagonach mogą jechać jacyś sowieccy „wolni” ludzie.

Od czasu do czasu, gdy głód już za bardzo dawał się we znaki, zgłaszaliśmy się na robotę. Przymusu pracy tu jeszcze nie było. Werbowano dobrowolne grupy, tak zwane „brygady” do odrzucania śniegu z torów kolejowych. Dostawało się za to dodatkowo 500 g chleba i pół litra zupy. Konwojowało nas kilku żołnierzy z podoficerem na czele. Ten w przystępach szczerości mawiał: „Ech dziewczęta, dziewczęta, myślicie, że mnie tak miło za wami z karabinem łązić? Ot, byłem ja tam u was pod Wilnem, pod Lwowem... piękny kraj, bogaty...”. Tu urywał wynurzenia.

Któręś dnia, po wieczornym sprawdzeniu (trzy razy

dziennie sprawdzano czy wszystkie jesteśmy), wyczytano szereg nazwisk. Prawie wszystkie moje nowe przyjaciółki wywożono gdzieś dalej. Po dwóch dniach wyczytano również i mnie.

Osada Nr 6

Załadowano nas znowu do pociągu wraz z grupą 50 kobiet i powieziono w kierunku, z którego przyjechaliśmy. Tym razem podróż trwała zaledwie dwanaście godzin, doczepiono bowiem wagon więzienny do pociągu osobowego. (Poprzednio na przebycie tej samej drogi zeszło 10 dni). Wyładowano nas w Akmolińsku, w tak zwanej Bazie NKWD. Stąd dopiero miałyśmy jechać saniami do położonej na stepie Osady Nr 6, czyli obozu koncentracyjnego. Tymczasem zamknięto nas w glinianym baraku, wydano suchy prowiant i pozostawiono w spokoju.

Nazajutrz o świcie przyszły po nas sanie. Był to właściwie osobliwy pociąg. Na przodzie szedł stary traktor, który ciągnął za sobą coś podobnego do małego wagoniku na płozach, z piecykiem na węgiel wewnątrz. Wagonik ten był przeznaczony dla obsługi traktora i konwojentów. Za nim sunęła olbrzymia skrzynia-sanie, niczym nie pokryta, przeznaczona dla nas.

Mróz był bardzo ostry, około -40° . Od stepu miotło gęstym, drobnym śniegiem. Może być burza śnieżna, tak zwany „buran”, mówiły więźniarki sowieckie jadące z nami i zaczynały opowieści o tym, jak dwa miesiące temu kolejny transport więźniów zamarzł w stepie, zamieciony przez „buran” wraz z konwojem. Znalezione ich dopiero wtedy, gdy następna burza śnieżna odwiała masy śniegu z przysypanych. Wypadki takie zdarzają się podobno co rok.

Wśród tych opowiadań ładowaliśmy się do sań, okrywając się czym która miała, siadając z kolanami pod brodą na dnie skrzyni. Wreszcie jakoś wepchałyśmy się wszystkie. Traktor zaterkotał, szarpnął raz i drugi bezskutecznie, i wreszcie za trzecim ruszył z miejsca. Wjechaliśmy w step zaśnieżony i płaski.

Droga miała wynosić przeszło 40 km. Traktor szedł z szybkością czterech kilometrów na godzinę. W najlepszym razie mogłybyśmy przybyć na miejsce po upływie 10-11 godzin (gdyby się nic nie zepsuło i gdyby nie było „buranu”). Była godzina ósma rano.

Już po godzinie takiej jazdy zaczęły nieznośnie drętwieć zmarznięte ręce i nogi. Skurczone na dnie skrzyni musiałyśmy siedzieć w zupełnym bezruchu, bo na każdą zmianę pozycji było za ciasno. Nie było obawy, żeby ktoś uciekł na stepie, są łatwiejsze sposoby samobójstwa w obozie (w więzieniu samobójstwo jest absolutnie wykluczone. Więzień nawet jeśli jest sam w celi nie ma zupełnie sposobu na popełnienie samobójstwa i jest ustawicznie obserwowany przez okienko w drzwiach, tak zwanego „judasza”).

Od czasu do czasu zabierano którąś z nas do owej upragnionej budki, jeżeli już zanadto zsiniała, lub odmroziła twarz. Wreszcie przyszła i na mnie kolej. Zadymione wnętrze wagonika wydało mi się niesłychanie zaciszne, choć rozpalony piecyk parzył z jednej strony, a z drugiej zawiewało śniegiem przez dziury w ścianach. Konwojenci drzemali. Co dwie godziny zmieniały się kierujące traktorem, też jak się okazało więźniarki. Było ich dwie – starsza już, ponura i milcząca, druga młoda, hoża, dwudziestoparoletnia kobietka rozgadała się wkrótce.

Z jej słów wynikało, że obóz, do którego nas wiozą, to obóz „żon”. Są w nim same kobiety – sześć tysięcy kobiet. Wszystkie zostały aresztowane w 1937 roku i skazane na okres od pięciu do ośmiu lat obozów pracy, jako „członkowie rodzin wrogów ludu”. Co stało się z ich mężami, członkami partii komunistycznej, oskarżonymi o cały szereg najfantastyczniejszych zbrodni, nie wiedziały. Do listopada 1940 roku były w obozie same „żony”, w tym miesiącu przyszedł pierwszy transport Polek, przed kilkoma dniami – drugi, my – to już trzeci. Wszystkich Polek jest już około trzystu.

Zaczęłyśmy wypytywać ją o tryb życia i robotę w obozie. „Pracować ciężko trzeba, ale jeszcze się jakoś trzymamy, byle zdrowie dopisywało. Ot my, traktorzystki, jesteśmy uprzywilejowane, dostajemy większe porcje jedzenia, cieplejsze ubranie” – opowiadała dziewczyna – „ale ile razy trzeba było

nocować w zimie, w pustym stepie, gdy się traktor zepsuł, ile namęczyć się nad naprawą. Ręce, nogi i twarze mamy poddmrażane, ślady nigdy nie znikają. Najciężej jest w czasie kampanii siewnej i zbiorów. Nie mamy wtedy odpoczynku ani w dzień, ani w nocy. Pracuje się 14-16 godzin na dobę, od świtu do późnej nocy, a nieraz i noce całe, aby zebrać zboże, które się sieje w obozie. Trzeba się śpieszyć, bo tu zboże, jak tylko dojrzeje, zaraz się sypie”.

„No, a jakie są inne prace?” – pytałyśmy.

„Jest fabryka – szwalnia. Tam pracuje bardzo dużo kobiet, ponad dwa tysiące, są kuchnie, pralnie, piekarnie i stołownia obozowa. Jest dość duży szpital – dla więźniów i dla wolnych, którzy mieszkają „za zoną”, czyli za ogrodzeniem z drutu kolczastego. Są stajnie, obory i kurniki... Wszystko to obsługują więźniarki. One też prowadzą buchalterię obozu. Latem większość idzie na roboty w polu i w ogrodach. Wszystkie budynki, a jest ich ponad 100, zostały wybudowane przez kobiety. One też same wyrabiają cegłę potrzebną do dalszej rozbudowy, bo obóz się stale powiększa. Osada liczy ponad 3000 ha, całe wielkie gospodarstwo rolne, nie tylko całkowicie samowystarczalne, ale eksportujące zboże w głąb Związku Sowieckiego, a jarzyny do najbliższego miasta, to znaczy do Akmolińska. Są nawet cieplarnie. Oczywiście, że wszystko, co się wyprodukuje nie jest dla więźniów, tylko dla wolnych”.

„Ot, i tak żyjemy, moje dziewczęta” – kończyła Klara, bo takie było imię traktorzystki. „Bo trzeba wam wiedzieć, że każda z nas wciąż jest dziewczęciem, choćby miała 50 lat. Tak mówimy do siebie, tak się utarło. Prawie nigdy nie mówimy do siebie ‘towarzyszko’”.

„Czy bardzo źle jest z jedzeniem?” – pytałyśmy jeszcze z uporczywością, którą tylko od dawna głodny człowiek wykazuje.

„Ilość otrzymywanego jedzenia zależy od wyrobienia ‘normy’. Każda praca jest normowana, wszystko – od przyszywania guzików aż do wrywania marchwi i kopania śniegu. Jeżeli się normę robi (o co bardzo trudno), to się dostaje dziennie 900 gramów chleba czarnego, śniadanie, obiad i kolację, a ponadto pewną minimalną kwotę w

pieniądzach, od 20 do 40 kopiejek dziennie. Jeżeli się normy nie wykona – dostaje się 400 g chleba, nie dostaje się kolacji, ani żadnej opłaty. Te zaś, które robią po 125% normy, to są tak zwane „stachanówki”. Dostają one premię pieniężną i prawo kupowania tak zwanych dań premiowych – talerza dodatkowej kaszy, lub grochu. Zawsze przejadają to, co zarabiają.

Głodne nie będziecie, jeżeli będziecie bardzo pracowały – zakonkludowała Klara – tylko... nie każdej sił starcza”.

Tymczasem zmrok powoli zapadał. Już widać było porośły sitowiem brzeg jeziora, po drugiej stronie którego znajdował się obóz. Dzięki temu właśnie jezioru mogło powstać gospodarstwo rolne zasilane wodą z kilkunastu przekopanych rękami więźniarek kanałów, tzw. „aryków”.

Noc już była zupełna, gdy przybyliśmy na miejsce. Obóz wyglądał jak każdy inny na terenie ZSSR. Otoczony drutem kolczastym, co kilkanaście metrów miał wieże z wartownikami silnie oświetlone. Wewnątrz obozu światła elektrycznego oczywiście nie było.

W wielkim parku – stołowni dano nam po kawałku chleba i misce gorącej wody, po czym nastąpiła kąpiel w lodowatej łaźni, gdzie wydano nam obozowe odzienie (gruba bielizna i barchanowe, szare suknie). Nareszcie szczękające zębami z zimna znalazłyśmy się w olbrzymim, pustym i zimnym baraku. Nazajutrz miał się odbyć jeszcze jeden przegląd lekarski, a po nim przydział roboty.

Ranek, który przyszedł po tej pierwszej nocy, przyniósł niespodzianą radość, bo wszystkie moje towarzysзки wywiezione przed kilku dniami z Karabasu, były tutaj. Wypytywaniom i rozmowom koniec położył dopiero gong wzywający na robotę. One już pracowały, chodziły ścinać trzcinę, czyli „kamysz”. Okazało się, że wielkie jezioro dostarczające latem wody do nawodnienia pól, w zimie zaopatrywało cały obóz w opał. Drzewa nie było w promieniu paru tysięcy kilometrów. Brzegi miało zarośnięte wysoką i grubą trzciną. Trzcinę tę żęło się sierpami, wiązało w snopy i przyciągało po śniegu do obozu. Odpowiednio do tego były trzy brygady robotnic: „żnice”, „wiązałki” i „przywożące”. Przyjaciółki moje żęły. Wychodziły o piątej rano, jeszcze

przed wschodem słońca, a wracały o szóstej wieczorem. Zabierały ze sobą na te trzynaście godzin kawałek suchego chleba, który im zamarzał w kieszeniach. O zrobieniu wymaganej normy – 75 snopów – nawet nie marzyły. Były wyczerpane długim siedzeniem w więzieniu, a ponadto żadna z nich nie miała sierpa w ręku. Teraz musiały stać cały dzień po pas w śniegu tnąc grube, twarde badyle, kalecząc i odmrażając ręce i robiąc zaledwie 20% wymaganej ilości. Ubrane w watowane kaftany i także spodnie, w wołokowych „walonkach” wyglądały żałośnie i komicznie, jak duże pingwiny. Twarze miały już poopalone i zgrubiałe, oczy czerwone od ciągłego blasku śniegu. Okularów przeciwsłonecznych oczywiście nie dawano, każda miała zapalenie spojówek.

Tyle się dowiedziałam przed wyjściem na robotę.

Od ósmej rano, za przepierzeniem tego samego baraku zaczęła urządować komisja lekarska – dwie lekarki i dwie siostry, wszystkie – więźniarki. Badania szły szybko i pobieżnie, jak zwykle w rubryce stanu zdrowia zaznaczano przeważnie „ciężka praca fizyczna”, bardzo rzadko „lekka praca”.

Przyszła kolej i na mnie. Ku memu wielkiemu zdziwieniu badano mnie dłużej niż inne i oznaczono na mej karcie „lekka praca”. Okazało się, że nawet zdaniem lekarzy obozowych, przebyte w więzieniu zakażenie krwi wywołało zbyt wielkie zmiany w sercu. Miałam się więc przekonać, jak wygląda uprzywilejowana lekka praca.

Skierowano mnie do fabryki – szwalni, miałam prasować tam męskie spodnie. Fabryka znajdowała się na skraju obozu, tuż przy ogrodzeniu z drutu. Był to dość duży kompleks wzniesionych z gliny budynków, wraz z elektrownią – wszystko zbudowane rękami uwięzionych kobiet. Praca była ściśle znormalizowana i podzielona. Były specjalistki od przyszywania kołnierzy, guzików, zszywania takich, czy innych szwów, krojczynie, hafciarki itp. Gotowe wyroby przechodziły do prasowaczek. Gatunek wyrobów był niesłychanie niski. Norma w prasowaniu spodni męskich, w dniu mego przyścia do fabryki wynosiła 75 par w ciągu dwunastogodzinnego dnia pracy. Żelazko elektryczne ważyło 8 kg.

W czasie pracy były trzy przerwy: pół godziny na obiad i dwie 10-cio minutowe przerwy w ciągu dnia. Teoretycznie miało się pracować na dwie zmiany, dzienną i nocną, przy czym każda miała trwać po 10 dni, potem przerwa miała wynosić 36 godzin. W praktyce jednak dzień odpoczynku wypadał nieregularnie, raz na 10, 15, a nawet 20 dni, zależało to od stopnia wypełniania planu pracy przez cały zespół.

Pierwszego dnia, stojąc przy stole i z trudem powłóczęc olbrzymim, ciężkim żelazkiem, bezskutecznie starałam się naśladować zdumiewająco szybkie ruchy moich sowieckich towarzyszek. Prasowałam czasem spodnie w życiu, ale prasować w ciągu 12 godzin i wyprasować 75 par, to wydawało mi się czymś najzupełniej niewykonalnym. Nogi już po paru godzinach stania bolały mnie okropnie, a ręce jeszcze bardziej.

Po skończonym dniu pracy okazało się, że wyprasowałam 24 pary, jednak brygadierka nadzorująca nas pocieszyła mnie, że to wcale niezły początek. Wprawę nabiera się szybko.

Więc tak wygląda „lekka praca” myślałam, brnąc po kostki w mokrym śniegu po drodze do mego baraku. Pocieszające było tylko to, że ze zmęczenia wcale nie byłam głodna. Gdy spotkałam moje przyjaciółki, wygłodzone jak wilki, mokre i zmarznięte, którym praca na powietrzu dawała nie mniej zmęczenia, a w dodatku wściekły głód, pomyślałam, że skoro nie marznę i nie moknę jak one, to jednak moja praca jest rzeczywiście lekka.

Stachanowskie metody pracy

Po kilku dniach przebywania w fabryce okazało się, że brygadierka miała rację. Potrafiłam już wykonać normę, a nawet ponad normę. Dostawałam więc 900 gramów chleba i kolację codziennie. Ponieważ jednak jeść mi się wciąż nie chciało, moje posiłki przydawały się zbieraczkom trzciny. Ja marzyłam tylko o tym, kiedy wreszcie będę mogła wyciągnąć się na wspólnych narach i rozprostować palce. Ból rąk i nóg nie dawał mi zasnąć do późnej nocy. Przy pracy czuło się go mniej. Ruchy stawały się zautomatyzowane i celowe. W

pogoni za zdobyciem „normy” zapominało się o bólu. Nie było najmniejszego sensu pracować wolniej i nie zrobić nakazanej ilości i tak przecież trzeba było stać cały dzień i suwać żelazkiem. Lepiej już było mieć z tego jakąś korzyść.

Po kilkunastu dniach dano nam dzień wolny, po czym nasza brygada miała przejść na zmianę nocną.

Po południu owego wolnego dnia zdarzył się w naszym baraku, zamieszkałym przez trzysta kobiet, pierwszy śmiertelny wypadek. Jakaś starsza kobieta, której termin kary upływał w najbliższych dniach, dostała ataku serca.

„Dziewczęta, siostry, umieram” – krzyczała dziwnie silnym i donośnym głosem. Położono ją na podłodze, ktoś pobiegł po lekarkę. Nim jednak nadeszła, było po wszystkim. Trupa zabrano dopiero późnym wieczorem. Płakała po niej jej więzienna przyjaciółka, która razem ze zmarłą jeszcze wczoraj cieszyła się, że wkrótce zobaczy ona rodzinę i dzieci od pięciu lat nie widziane.

Ta pierwsza śmierć na długo pozostała w pamięci i najsilniejsze zrobiła wrażenie. Po kilkunastu miesiącach, w czasie letniej epidemii dyzenterii, codziennie wywożono po 5, 10 trupów z obozu i nikt na to nie zwracał uwagi.

Na nocnej zmianie pracowało się w innym lokalu i żelazkami starego typu, grzаныmi na wielkiej, rozpalonej do czerwoności płycie kuchennej. Były dużo lżejsze od elektrycznych, ale za to trzeba je było zmieniać co najmniej co 10 minut i tracić czas na chodzenie po nowe. W tym czasie podniesiono normę i teraz wynosiła już ona 95 par.

Nastrój w tej prasowni był bardziej domowy, na płycie, obok żelazek grzało się wodę na herbatę z ziółek, przypiekało skrawki chleba. Rzadziej tu zaglądały do nas kontrolujące brygadierki.

Ponieważ w miarę nabywania wprawy i prasowania przez nas coraz większej ilości spodni, podnoszono nam obowiązującą normę, zmuszając przez to do coraz większego wysiłku, wysunęłam kiedyś prasowaczkom propozycję, aby nigdy nie prasować więcej niż 125% (co wystarczało do otrzymania „dania premiowego” i małej zapłaty), aby w ten sposób uniknąć zupełnej utraty sił przy takim systemie pracy na akord.

Propozycja uzyskała pozorną aprobatę, ale w praktyce nigdy nie udało się osiągnąć żadnej solidarności. Pomimo ciągłego narzekania na potworne zmęczenie, zawsze zdarzyło się, że któraś z sowieckich robotnic (zwykle ta, która narzekała najbardziej), wyłamała się z powziętego postanowienia i wykonała 150%, albo i więcej.

Nie sposób było zrozumieć mentalności tych kobiet. Od czterech lat siedziały niewinnie w więzieniu, zdarły już siły i zdrowie, maltretowano je na każdym kroku, a one przecież wyłaziły ze skóry, żeby przypodobać się brygadierce, takiej samej więźniarce, jak i one. Wiedziały doskonale, że przez takie postępowanie zmusza się całą brygadę (złożoną z dwudziestu kobiet), do morderczej pracy, jedynym rezultatem której będzie znowu podniesienie normy. Nie chodziło im już nawet o zaspokojenie głodu, bo przy wykonaniu 125% maksymalna ilość była zapewniona. Charakterystyczna była tu psychologia sowieckiego niewolnika, zdolnego tylko do płaszczenia się kosztem największego wysiłku, niezdolnego do żadnej solidarności, do odrobiny osobistej odwagi.

Minęło najpierw 10, potem 15, wreszcie 25 nocy pracy (tymczasem normę podniesiono nam do 140 par spodni), a my wciąż nie miałyśmy wolnego dnia. Trzeba było wykonać jakiś plan fabryczny. Zmęczenie stawało się nie do zniesienia. Kilka godzin gorączkowego snu w dzień, w hałasie trzystu osób w baraku, nie przynosiło prawie ulgi. Miało się ciągle wrażenie, że oczy są zasypane piaskiem. W nocy pracowało się na wpół przytomnie, drzemiąc i drżąc równocześnie ze strachu, że się spali rządowy materiał, co nie tylko spowoduje konsekwencje materialne, ale również może być uznane za „sabotaż”.

Wreszcie, trzydziestej z rzędu nocy naprawdę zasnęłam prasując. Obudził mnie huk rozpalonego żelazka spadającego na podłogę o włos od mojej nogi. Wypuściłam je z rąk. Wszystkie prasowaczki przerwały pracę patrząc osłupiałym wzrokiem w moją stronę. „Tak i kaleką można zostać” – powiedziała któraś. „Słuchajcie – krzyknęłam – ja mam dosyć. Jak chcecie to zadenuncjуйте mnie. Wyprasowałam 105 par, jest czwarta rano. Zmiana przychodzi o siódmej – do siódmej będę spała”.

Rzuciłam żelazko i położyłam się na gorącym jeszcze stole, podkładając sobie pod głowę stos uprasowanych spodni. Za chwilę spałam jak kamień i nic mnie nie obchodziło, co zrobi reszta.

Najdziwniejsze było, że tym razem im zaimponowałam. Gdy przed siódmą przyszła kobieta, aby sprzątnąć salę przed dzienną zmianą, zastała nas wszystkie śpiące pokotem na stołach. Żadna nie wyprasowała ani sztuki więcej. Nie przeszkodziło to zresztą którejś z nich donieść brygadierce, że ja nie chciałam pracować i namawiałam je do zaniechania pracy.

Nazajutrz dano nam wolny dzień.

Wojna sowiecko-niemiecka

Szybko przyszła i przeszła króciutka kazachstańska wiosna, w czasie której step pokrył się ostro pachnącym piołunem, dzikimi tulipanami i irysami. Robotnice pracujące na robotach „za zoną” przywoziły czasem trochę kwiatów. My nigdy nie wychodziłyśmy za druty.

Od czasu do czasu mogliśmy czytać przychodzące do obozu gazety. Kiedyś przeczytałam w *Prawdzie* ostre zaprzeczenie wiadomości, podanej przez prasę neutralną o koncentracji wojsk sowieckich i niemieckich na granicach.

Oczywiście zaraz pomiędzy Polkami wybuchła dyskusja, czy już zaraz się zacznie, bo że wojna między Hitlerem a Stalinem jest, mimo wszelkich paktów nieunikniona, w to nikt z nas nie wątpił.

Dzień 22 czerwca zaczął się tak samo jak wszystkie inne. Szłam właśnie do roboty, znów na nocną zmianę, kiedy wpadł ktoś z wiadomością, że wojna już wybuchła. Niemcy napadli na Rosję poprzedniej nocy. Rewelację przyjęto jednak z wielkim niedowierzaniem. Każdy bowiem, kto był w więzieniu lub w obozie wie, że codziennie słyszy się sensacyjne wiadomości i fantastyczne plotki na tematy polityczne, z których 90% okazuje się bujdą wysnutą z palca. Gdy jednak przyszłam do fabryki i zobaczyłam miny brygaderek uwierzyłam natychmiast. Nic nie mówiąc zabrałam

się do roboty. Teraz najprzezorniej było milczeć.

Myśli kłębiły się: nadzieja zmian i złośliwa satysfakcja, że przecież się przeliczyli, trwoga o bliskich – dotąd jeszcze względnie bezpiecznych, przewidywania, jaki z tego może wynikać rezultat dla spraw polskich, wszystko to zazębiało się wzajemnie.

Okrzyk sąsiadki wyrwał mnie z tych myśli. „Spójrz, spójrz” – wołała – „jakie straszne niebo”. Za oknem zachodziło słońce. Cały widnokrąg zalany był czerwienią, jak nigdy dotąd, step pływał w krwawej poświacie. „Rosja w krwi umyta”, przypomniawszy mi się nagle tytuł książki jednego z autorów sowieckich.

Już pierwsze dni dalekiej, toczącej się gdzieś u dawnych polskich granic wojny przyniosły w stosunku do nas, Polek, wyraźne zmiany. Coraz częściej obserwowano się zdwojoną podejrzliwość, wyciąganie na rozmówki na robocie przez Rosjanki, wyraźne prowokacje. Skutki nie dały na siebie długo czekać. Któregoś wieczoru, było to już w lipcu 1941, zabrano z naszego baraku młodą dziewczynę, która kilkakrotnie na robocie ostro reagowała na wszelkie zaczepki i nie krępowała się w swoich wypowiedziach.

Poprzedniego dnia właśnie byliśmy na robocie „za zoną”. Był to wprawdzie dobrze zasłużony dzień odpoczynku, ale żebyśmy nie odpoczęły zanadto, posłano nas na brzeg jeziora po starą trzcinę na opał do kuchni. Ponieważ robota była nienormowana, więcej było gadania, niż zajęcia. Na wszelkie poganiania brygadierki nie reagowałyśmy w ogóle, ale ona właśnie upatrzyła sobie coś w owej Mili. Nie słyszałam od czego zaczęła się kłótnia, bo właśnie drzemałam w stogu siana, korzystając z ogólnej nieuwagi. W każdym razie Milla jeszcze raz powiedziała dobitnie, jakie ma zdanie o Związku Sowieckim i jak się cieszymy, że wreszcie dostaną po skórce. Czegoż tak się oburzają, że Niemcy na nich napadli, zrobili przecież to samo w stosunku do Polski, razem z Niemcami. Następnego wieczoru zabrano ją z baraku i długo nie wiedziałyśmy, co się z nią stało. Gdy po upływie wielu miesięcy spotkałam ją już na wolności okazało się, że przesiedziała pół roku w karnym więzieniu za zonę, została sądzona przez sąd doraźny i skazana, po czym ułaskawiona. I

sąd, i ułaskawienie miały miejsce już po zawarciu umowy polsko-sowieckiej, warunkiem której było natychmiastowe uwolnienie wszystkich Polaków aresztowanych i wywiezionych po wkroczeniu wojsk sowieckich do Polski.

W tym samym czasie i dokoła mnie w fabryce zaczęła tworzyć się ciężka atmosfera i toczyć specyficzne rozmówki. Życzliwe kobiety ostrzegały mnie, żeby się nie dać sprowokować, nie było to jednak takie łatwe.

Którejś nocy, przy robocie, roztrząsano długo sprawę przyszłego zwycięstwa nad Niemcami, którzy zresztą zdążyli na razie zabrać całą Białoruś i pół Ukrainy. „Nie tylko odbierzemy im wszystko, ale jeszcze i Warszawę sobie weźmiemy – zdecydowały sowieckie patriotki. „Żeby tylko Niemcy, zanim Warszawę weźmiecie, Kijowa wam nie zabrali” – nie wytrzymałam i odpaliłam na miejscu. Zapowiadała ambarasująca cisza.

Nazajutrz starsza naszego baraku, zezowata Rosjanka, skazana nie wiem za jakie męzowskie zbrodnie na 10 lat, wezwwała mnie do siebie i pokazała w gazecie dekret rządowy w sprawie pociągania do odpowiedzialności przed sądem doraźnym osób rozpowszechniających panikarskie wiadomości.

„To bardzo odpowiednia lektura dla ciebie” – powiedziała – „przygotuj się na to, co cię czeka”.

W fabryce przestano się w ogóle do mnie odzywać. Warto było rozejrzeć się za jakimś innym miejscem pracy zwłaszcza, że rozpoczęły się upały, normę znowu podniesiono, dzień roboczy zwiększono do 13 godzin na dziennej zmianie i 11 na nocnej. Już naprawdę sił nie starczało na ciągnięcie rozpalonego żelazka. Z najwyższym wysiłkiem mogłam zrobić tę normę.

Racje chleba zmniejszono do 700 g i do 600 g przy normie. Nie wykonujące normy dostawały tylko 300 g. Skasowano słynne dania premiowe. Ustała wszelka zapomoga z domu, w postaci nadsyłanych przez rodziny paczek. Urwała się, z trudem nawiązana korespondencja, zakazana w więzieniu. Nie było już do kogo pisać, dawno na naszych ziemiach byli Niemcy. Dnie szły coraz głodniejsze i bardziej beznadziejne.

Epidemia

W końcu lipca przywieziono do naszego obozu wielki transport więźniów, Polaków ze Starobielska, ewakuowanych przed Niemcami. Po raz pierwszy, oprócz kobiet do obozu przybyli mężczyźni. Byli to przeważnie chorzy i starcy. Po kilku dniach, w obozie dotąd wolnym od chorób zakaźnych, wybuchła epidemia dyzenterii.

Nie pracowałam już wówczas w fabryce, skorzystałam bowiem skwapliwie z tzw. „postoju”, czyli kilkudniowego zahamowania produkcji, które od czasu do czasu zdarzało się, gdy nie dowieziono na czas potrzebnej ilości materiałów. Zgłosiłam się więc do zarządu obozu o inną pracę. Na razie wysłano mnie na dorywczą nienormowaną robotę do ogrodów, lub w pole. Dostawało się za to tylko 300 g chleba, bez kolacji, ale trwało to tylko 7 godzin i nikt się z robotą nie śpieszył. Dobrze było wytchnąć, choćby kosztem większego głodu. Na wieść o epidemii, która rozpoczęła się wśród nowo przybyłych, kilka z nas postanowiło zgłosić się do szpitala, jako sanitariuszki. Trochę w tym było altruizmu, a trochę chęci jakiejś odmiany. Ofertę przyjęto.

Mnie posłano do obozowego ambulatorium.

Tu obowiązki polegały na codziennym myciu podłóg w sześciu salach i czterech korytarzach, przynoszeniu z odległej kuchni kilkunastu wiader gorącej wody, pomocy przy opatrunkach i sprzątaniu wszystkich nieczystości po chorych. Dziennie przewijało się około 100 osób. Praca trwała od siódmej rano do ósmej wieczorem, z godziną przerwą na obiad. Ponieważ normy tu nie było, bo być nie mogło, racja chleba była minimalna.

Dodatkowym obowiązkiem było przynoszenie obiadów i kolacji dla personelu lekarskiego. Lekarki, chociaż również uwięzione, korzystały pod tym względem ze specjalnych przywilejów i miały wikt zupełnie inny. Codziennie więc po robocie, głodna jak pies, bo ostatni raz jadło się o godzinie pierwszej w południe, a potem dopiero następnego rana, przynosiłam do ambulatorium rondle jarzyn, pierogów, czy ryb. Nie zdarzyło się ani razu w ciągu dwóch miesięcy, aby

którąś z dwóch sanitariuszek czymś poczęstowano. Natomiast nieraz sprząając znajdowałyśmy spleśniałe kawałki chleba, stęchlą rybę itp.

Po paru tygodniach takich zajęć kazano mi zabrać wiadro z lizolem, gumowe, podarte rękawiczki i udać się do małego domku znajdującego się w pobliżu ambulatorium. Była to obozowa trupiarnia.

Według obowiązującego w sowieckich obozach pracy przepisu, każde zwłoki muszą być poddane sekcji. Ponieważ teraz zgonów zdarzało się pięć do dziesięciu dziennie, roboty nie brakło. Przy sekcjach asystowało kilka sowieckich lekarek. Robił je młody lekarz, Węgier, uwięziony za przejście granicy. Co młodsze lekarki przychodziły na sekcje, jak na widowisko rozrywkowe. Ubierały się pod fartuch w to, co miały najlepszego, wyciągały antyczne pantofle na wysokich obcasach, umalowane jaskrawo korzystały z jedynej sposobności, aby kokietować przerażonego tym wszystkim, ubabranego we krwi po łokcie doktora.

Do moich obowiązków należało codzienne asystowanie przy sekcjach, mycie i dźwiganie trupów, zaszywanie wypatroszonych brzuchów, wynoszenie krwi i wszystkich „odpadków”.

Powoli tępało nawet obrzydzenie. Ogromna większość zwłok to były szkielety, obciążnięte zwiędłą, żółtą skórą, wycieńczone przez pelagrę, dobite przez czerwonkę.

Wiezorami moja mała przyjaciółka, Marusia, pracująca w szpitalu, zapowiadała:

„Wiesz, ten biedny sędzia Linder ze Lwowa pewnie już długo nie pociągnie, coraz z nim gorzej”...

I rzeczywiście po paru dniach poznawałam z opisu staruszka Lindera i innych Marysinych pacjentów. Nie wiadomo czemu kobiety prawie wcale nie umierały.

Któregoś dnia, podając skalpel nachyliłam się za nadto nad trupem. Krew i posoka bryznęły mi w twarz. Na trzeci dzień zachorowałam ze wszystkimi, bardzo ostrymi objawami dyzenterii.

Ponieważ szpital obozowy był w tym czasie przepełniony do ostatecznych granic, przeleżałam 10 dni w baraku na drugim piętrze wolnych nar. Jedynym lekarstwem był

roztwór *kalihpermanganicum*, dawany jako napój. Lekarka zaglądała co dwa dni, mimo to jakoś wszystko przeszło.

Gdy jednak ponownie zjawiłam się w ambulatorium po owych dziesięciu dniach, zdecydowano, że mój wygląd nie jest odpowiedni do tej instytucji, bądź co bądź zdrowia publicznego i odesłano mnie znowu do dyspozycji zarządu obozu.

Odchodziłam z ambulatorium z ulgą. Miałam już dosyć nie tylko trupów, ale i kaszlących, ledwie wlokących nogi, a wciąż zmuszanych do pracy starców, chorych wenerycznie sowieckich żołnierzy (jedynych wolnych ludzi, jacy się w ambulatorium pojawiali; cała załoga obozu leczyła się gremialnie), jak również rozhisteryzowanych żon byłych sowieckich dygnitarzy.

Skierowano mnie do prac ogrodowych.

Umowa polsko-sowiecka

W owym czasie obóz nasz rozrósł się do prawie 10 000 więźniów. Od czasu przywiezienia transportu więźniów ze Starobielska, oddzielono specjalny kwartał dla więźniów-mężczyzn. Po jakimś czasie odnalazłyśmy tam paru znajomych. Choć wszelkie komunikowanie się z nimi było surowo zabronione, sposoby porozumiewania się znalazłyśmy łatwo. Rozpoczęło się więc wzajemne komunikowanie sobie plotek politycznych i innych wiadomości. Nic konkretnego jednak nie było wiadomo, zastanawiające natomiast były coraz częściej napotykanne w prasie sowieckiej wzmianki o „bohaterskich polskich partyzantach” walczących na terenach okupowanych przez Niemców. Do niedawna czytało się i słyszało tylko enuncjacje na temat „Polski panów i kapitalistów, tego poronionego płodu polityki wersalskiej”, „bękarta państw zachodniej Europy”, rządzonego przez „zdrajców narodu polskiego”, no i czasem do tego dochodziły artykuły opisujące szczęście „wyzwolonych spod pańskiego jarzma” Białorusinów i Ukraińców. Obecnie tematów tych zupełnie w prasie sowieckiej nie poruszano.

Drugiego sierpnia 1941 r. jeden z nielicznych oficerów

przywiezionych ze Starobielska zakomunikował nam, że został wezwany do naczelnika obozu, który oznajmił mu o zawarciu umowy pomiędzy Rządem Polskim na wygnaniu i Rządem Sowieckim, podając zasadnicze punkty tej umowy: natychmiastową „amnestię” dla wszystkich Polaków uwięzionych przez Rosjan oraz rozpoczęcie tworzenia „autonomicznej Armii Polskiej” na terenie ZSSR. Pełny tekst umowy miał być nazajutrz odczytany wszystkim więźniom.

Łatwo sobie wyobrazić, jakie wrażenie wywarła ta rewelacja. Wolność, o której się tak długo śniło, w której nadejście przestawało się już wierzyć, miała stać się czymś realnym i bliskim. Wszystkie nasuwające się wraz z zawarciem umowy problemy – jak właściwie będzie w praktyce wyglądało to przymierze z dotychczasowym wrogiem, w jaki sposób rząd sowiecki zrealizuje swoje obietnice, czy rzeczywiście na terenie ZSSR powstanie niezależna Armia Polska – wszystko to bladło wobec doznanej radości, że umowa przynosi wolność półtoramilionowej masie wywiezionych w głąb Rosji Polaków.

Wprawdzie smutne doświadczenie od razu kazało nam się przygotować nie tylko na cierpliwość, ale również i na to, że nie wszyscy na pewno, mimo najuroczystszych umów, wyjdą z sowieckich kopalń i obozów poza kołem biegunowym, że jakiś procent i to na pewno nie mały, zostanie na wieki w tej obcej, wrogiej ziemi wbrew wszelkim umowom i wolności nie zobaczy. Niechętnie jednak słuchano tych sceptycznych głosów, bo psuły ogólną radość – któż wówczas mógł coś słyszeć o Katyniu?

Odtąd każdą wolną chwilę poświęcałyśmy dyskusjom nad tym, co będziemy robiły po wyjściu na wolność. Żadnej z nas nie uśmiechała się ani wolność sowiecka, ani syzyfowe prace nad sowieckim budownictwem socjalistycznym. Chciałyśmy móc pracować wreszcie dla swoich. Wszystkie więc zdecydowałyśmy się na pójście do wojska, chociaż wcale jeszcze nie wiedziałyśmy, czy będzie ono przyjmowało kobiety.

Dwunastego sierpnia 1941 r. zwolniono pierwsze partie Polaków – około 80-cioro kobiet i mężczyzn. Następnie, w odstępach najpierw dziesięciodniowych, a potem dwutygod-

niowych, wreszcie miesięcznych – zwalniano dalsze, coraz mniejsze partie. Kto i kiedy wyjdzie, nigdy nie było wiadomo. Jak wszędzie, tak i tu panowała tajemnica. Tak samo jak przy aresztowaniu i wywożeniu do obozów rozdzielano matki od córek, które w więzieniu były razem i otrzymały takie same wyroki, tak teraz, przy uwalnianiu, rozdzielano te, które zdołały dotąd jakoś tego uniknąć. Uwalniano więc matkę, a pozostawiano córkę, lub na odwrót. Stopniowo też rozbiła się nasza zwarta dotąd grupa. Coraz to któraś szczęśliwa już i wolna wyjeżdżała w jakiś nieznany, wolny sowiecki świat. Pozostające żegnały, prosząc o pamięć, o listy, ale nikt nie chciał już pamiętać. Uwolnione, wraz z więziennymi łaćkami chciały zrzucić z siebie cały koszmar dotychczasowej egzystencji, a nawet wszelkie o niej wspomnienie. Na próżno więc czekałyśmy na listy.

Po odejściu z ambulatorium przydzielono mnie do tak zwanej „brygady inspektowej”. Było w niej piętnaście kobiet wszelkich narodowości. Tu wreszcie spotkałam się z solidarnością, a była to solidarność złodziejska. Ponieważ do naszej brygady należały zbiory w inspektach i na półkach doświadczalnych w całym obozie, więc miałyśmy wielki wybór produktów rolnych, poczynawszy od kartofli, kończąc na melonach i kawonach. Oczywiście, że kradzież była połączona zawsze z pewnym ryzykiem, raz po raz słyszało się o złapaniu tej czy innej więźniarki na kradzieży w polu. W takich wypadkach aranżowano na prędkę sąd na miejscu i do poprzedniego terminu kary dodawano jeszcze rok za kradzież trzech kartofli, no i sprawa była załatwiona. My miałyśmy o tyle ułatwioną sytuację, że inspekty znajdowały się w obrębie „zony” i wskutek tego nie rewidowano nas przy bramach wiodących do obozu, co spotykało zawsze pracujące w polu. Oczywiście jednak było, że przy pierwszym donosie zostałybyśmy złapane. Jakoś jednak wszystkie miały dość rozsądku żeby milczeć. Wracałyśmy więc codzień do baraków obławowane potajemnie taką jarzyną, przy której przyszło nam pracować.

Praca w inspektach była normowana ale zawsze w jakiś sposób udało nam się nabrać brygadierkę i udowodnić, żeśmy normę zrobiły. Okazało się, że i tego można się nauczyć.

Urodzaj na ogół był bardzo dobry. Jesień w Kazachstanie przychodzi nagle i choć dni są jeszcze ciepłe, nocami już od września rozpoczynają się tegie przymrozki. Nie mogłyśmy więc nadażyć z uprzątaniami, zwłaszcza kartofli, wrażliwych na mróz. Widząc więc, że całe tony pozostają na noc w polu, prosiłyśmy o pozwolenie na kupno ich. Oczywiście odmówiono. W kilka dni później wyrzuciłyśmy te wszystkie kartofle do dołów na śmiecie, bo zmarzły i zaczęły gnić. To żeśmy z nich sporo zdążyły ukraść, to już był nasz prywatny spryt.

W tym samym czasie Wanda, moja przyjaciółka, pracowała w młynie. Cały dzień dźwigała worki z mąką i kaszą, a przy okazji kradła, co się dało. W ten sposób nastały dla nas tłuste czasy. Co wieczór w garnku, na płycie barakowej kuchenki, perkotały jakoweś oryginalne potrawy – marchew z kaszą, kartofle z grochem, albo kapusta z cebulą. Oczywiście robiło się to bez odrobiny tłuszczu, ale i tak było świetne. Ponieważ miałyśmy nową „starszą” baraku, kobietę wielkiej poczciwości, udawała, że nam wierzy, że wciąż jeszcze gotujemy tę marchew, której pięć kilo sprzedano nam przed miesiącem w nagrodę za ciężką pracę.

Tymczasem dokoła robiło się coraz puściej. Dawno już wyjechały Irena, Maria, Anna i mała Marysia. Nic się o nich nie wiedziało. Były gdzieś wolne i nie myślały o pozostałych. Myśmy wciąż siedziały coraz mniejszą grupą wśród coraz bardziej wrogiej masy Rosjanek, które zazdrościły nam już nie tylko wolnej przeszłości, ale i nadziei na uwolnienie. Pracowałyśmy w dalszym ciągu jak maszyny, usiłowałyśmy wyczytać pomiędzy liniami sowieckich gazet coś konkretnego na temat spraw polskich. Od czasu do czasu interpelowałyśmy naczelnika obozu kiedy wreszcie zostaniemy zwolnione i otrzymywałyśmy zawsze tę samą stereotypową odpowiedź: „Nie szkodzi, wszystkie wyjedziecie we właściwym czasie”.

Ale czas upływał i wyjeżdżali inni, a nie my.

Tymczasem robiło się coraz zimniej. Prawie wszystkie zboża i jarzyny były już z pól i ogrodów zebrane, młócono jeszcze tylko zboże na klepisku za zoną. Tam więc skierowano mnie po zakończeniu pracy w inspektach.

Wszystko dla frontu:

Damy frontowi najlepszy gatunek chleba

Te i inne hasła krzyczały co dzień ze szpalt prasy sowieckiej. Obóz nasz był niepoślednim producentem chleba w Kazachstanie. Urodzaj tego roku był doskonały. Ogromne klepisko zasypane było prawdziwymi górami pszenicy. Robota była tam zasadniczo dwóch rodzajów: przesypywanie zboża z miejsca na miejsce dużymi, drewnianymi łopatami, żeby nie zaczęło rosnąć i oczyszczanie z plew na wszelkiego rodzaju wialniach. Praca była tylko nocą, w dzień zwożono zboże z pól.

Pracowałam przy wialni elektrycznej. Załogę stanowiły dwie kobiety i trzech drabów – kryminalistów. (Sporo ich w owym czasie przywieziono do obozu, który zaczął tracić swój „polityczny” charakter). Myśmy wsypywały zboże do maszyny, a oni nasypywali je do worków po oczyszczeniu i ładowali na ciężarówki. Doszliśmy prędko do przekonania, że wprowadzić łżej jest podnosić pięćdziesięciokilogramowe worki we dwie, ale wówczas trzeba pracować bez przerwy całą noc, podczas , gdy zmieniając się co dwie godziny ze stogu słomy, zagrzebane w której momentalnie zasypiałyśmy. Budziłyśmy się szcękając zębami z zimna, ale dźwiganie worków rozgrzewało bardzo szybko. Najtrudniej było wytrzymać ostatnie dwie godziny, od czwartej do szóstej rano. Ciągłe się wypatrywało jaśniejszego rąbka zorzy na horyzoncie. Najpierw niebo stawało się zielonkawe, jak piórka pawia, potem złoto-pomarańczowe i wreszcie z czerwieni wyłaniało się słońce. Wszystko dokoła okryte było szronem, tającym w grube krople rosy. Przychodziła druga zmiana i zaczynało zwozić nowe partie pszenicy.

Po kilkudniowych przymrozkach zaczęły się na nowo deszcze. Całą pracę przeniesiono do krytej stodoły na ręczne wialnie, bo elektryczna, stojąca pod gołym niebem nie mogła pracować. Tu już znowu pracowała cała brygada. Cztery kobiety kręciły korbę, a reszta nosiła worki z jednego końca olbrzymiej stodoły, w drugi. Wydawało się zawsze, że taka noc nigdy się nie skończy. Kurz był okropny. Od ciągłego

chodzenia w kółko kręciło się w głowie. Podniesienie za jednym zamachem pięćdziesięciokilogramowego worka i wysypanie go do maszyny wydawało się teraz głupstwem. Tu trzeba było 50 kg zwalić na plecy, nieść około 20 metrów, wyspać, wrócić, znowu nieść i tak bez końca. Brygadierka bardzo chciała się zasłużyć i popędzała ustawicznie.

„Nie kwękać. Robić normę. Tu nie ma miejsca na pasożytów. Prędej, prędej”. I tak całą noc, aż chrypła z wrzasku. Rano brnęliśmy wreszcie spać do baraku, ledwo wyciągając nogi w podartych więziennych butach zwanych „traktorami”, oblepionych tłustym błotem.

Mimo wszystkich haseł i morderczych wysiłków, coś nie kleiło się w tej naukowej organizacji pracy. Zboże zamokło i zaczęło gęsto porastać zieloną runią. Ustawiczne przesypywanie z miejsca na miejsce jakoś nie pomagało. Po dziesięciu dniach góry zboża wyglądały zupełnie zielono. Zdążono oczyścić i wywieźć zaledwie третią część zbiorów.

W tym samym czasie racje chleba w obozie zmniejszono znowu.

Ten sam los spotkał po jakimś czasie olbrzymie kupy dorodnej marchwi, która nie schowana w porę w kopce zmarzła wreszcie na kość. To samo działo się z każdym zbiorem. Wspaniałe urodzaje, kolosalny wysiłek ludzki, dawały w rezultacie co najmniej 50% zniszczenia. Równocześnie coraz więcej robotnic puchło z głodu.

Uczucie stałego, ssącego głodu nie opuszczało nas nigdy od chwili aresztowania. Organizm pozbawiony był zupełnie białka, cukru i tłuszczu. Nawet, jeżeli udawało się coś zdobyć, to jedzenie samych jarzyn chwilowo napychało, ale nie nasycalo nigdy. Nie można było nigdy wyzwolić się od myśli o jedzeniu, o żarciu. Każdej wolnej chwili konstatowało się, że znowu człowiek wyobraża sobie jakieś potrawy. I w tym zresztą była stopniowa dekadencja. Najpierw wyobrażało się jakieś mięsa, ciasto, chałwę (ideał – tłuste i słodkie), ostatnio marzyło się już tylko o tym, żeby raz do syta najeść się czarnego chleba. Dwa kilogramy od razu i do tego garnek grochu, albo kartofli.

Codziennie rano rozwożono chleb z piekarni do szpitala i stołowni. Cały wóz rumianych, wypieczonych bochenków.

Gdyby taki jeden spadł właśnie przede mną. Ale nigdy nie spadł.

Przydział na pracę w piekarni był najśmielszym marzeniem każdej z nas, ale nigdy nie dostała się tam ani jedna Polka. Miał swoją sowiecką arystokrację, która od dawna pozajmowała wszystkie cieplejsze miejsca. Nam musiała wystarczyć nasza porcja zjadana momentalnie w chwili otrzymania. Obrzydliwości tego ciągłego, zwierzęcego, poniżającego uczucia nigdy się nie zapomni. Trzeba to przeżyć aby zrozumieć.

W połowie października mrozy rozpoczęły się na dobre i spadł pierwszy, puszysty i głęboki śnieg. Tego wieczoru wydawało się, że zima zawsze będzie taka cicha i lekka.

W tym czasie w zarządzie obozu przypomniano sobie moje pierwsze sukcesy jako prasowaczki i skierowano mnie do obozowej pralni, do prasowania. Nie była to rozkoszna robota, to prasowanie brudnych i zawszonych, pomimo wyprania, łachów w ciasnym baraku, pełnym odoru brudnej bielizny i kłębow pary. Wobec zimy było to jednak miejsce nie do pogardzenia. Był dach nad głową, było ciepło. Zwolniono mnie jednak szybko, bo brygadierka, lesbijka, chciała to miejsce zapewnić dla jednej ze swoich ukochanych.

Zewnętrzne roboty

Wysłano mnie na zbieranie trzciny. To, czego mi się udało uniknąć w zeszłym roku, roboty na mrozie, teraz przyszło i trzeba było pogodzić się z losem. Bo i co można było zrobić? Protestować raz jeszcze? Pytać znowu, kiedy i my wreszcie, ostatnie niedobitki, zostaniemy zwolnione? Pisać skargi do Głównego Prokuratora, czy do Stalina? Wszystkiego już próbowałyśmy i wszystko pozostawało bez odpowiedzi. Coraz trudniej było wmawiać sobie i kilku innym, że to nic, że jednak i my zostaniemy zwolnione, że przecież tyle się już zniosło, to się i tę resztę wytrzyma. Myśl buntu, która powstała wśród nas, minęła bardzo szybko. Przyczynił się do tego zresztą i fakt sądu nad Milą zabraną latem do więzienia. Sąd ten odbył się właśnie teraz i wyrok podano do

wiadomości. Opiewał on na 10 lat ciężkiego więzienia i 15 lat pozbawienia wszelkich praw „za kontrrewolucyjną agitację w obozie”. Od lipca do października trzymano ją w karcerze tuż za zoną. Po cichu szeptano, że Miła została uprzednio skazana na śmierć, a potem zmieniono jej karę śmierci na owe 10 lat więzienia. Odpis wyroku zdołała sobie zachować. Sentencja wyroku brzmiała:

„10 lat surowego odosobnienia bez prawa korespondencji, za kontrrewolucyjną agitację w obozie i wychwalanie rządu Sikorskiego”.

Wyrok wydano w dwa miesiące po zawarciu przez rząd sowiecki umowy z Rządem Generała Sikorskiego.

To wszystko nie bardzo zachęcało do jakichś wystąpień. Trzeba było czekać, bez końca czekać.

Poszłam więc z kolei „na kamysz”. Należałam do brygady zwożącej trzcinę do obozu. Wyglądało to w ten sposób, że wiązało się ścięty kamysz razem, po pięć, sześć snopów (im więcej, tym lepiej, bo prędzej było można zrobić normę i oszczędzić sobie jednej z ośmiokilometrowej tury przez jezioro), zaprzęgało jak koń do takiego jarzma, przerzucając sznur przez plecy i ciągnęło po lodzie aż do obozu. Norma zmieniała się w zależności od odległości, z której trzeba było trzcinę przyciągnąć i wynosiła od 35 do 45 snopów. Dni były już bardzo zimne, nie mrozy jednak były najcięższe lecz ustawiczne burze śnieżne, czyli „burany”. „Buran” taki zrywał się zwykle z rana i trwał przez kilka dni. Wiatr miotając całe grudki śniegu ścinał z nóg i siekł twarze, zapierając oddech w piersiach. Przetartą drogę śnieg zasypywał natychmiast. Za każdym krokiem zapadało się po kolana. Snopy, które dość łatwo było ciągnąć po przetartej drodze, gdy nie było wiatru, teraz wydawały się stutonowym ciężarem. Pot zalewał czoło i marznął na policzkach.

Wprawdzie przepisy obozowe wyraźnie głosiły, że trzydziestostopniowy mróz wraz z wiatrem zwalnia od robót w polu, w praktyce jednak wyglądało to w ten sposób, że nieraz kazano nam już sprzed bramy wrócić na chwilę do baraku, a po godzinie stawić się znowu, ponieważ rzekomo mróz spadł o pół stopnia. Zwykle po prostu nie zwracano uwagi na temperaturę.

Bywały co prawda dni, kiedy wichura i zamieć były tak silne, że jednak nie ryzykowano wypuszczenia ludzi na jezioro. Te błogie dni przesypiało się na narach, zawijając się we wszystkie posiadane szmaty, modląc się, aby taki niewątpliwie buran, kiedy przed sobą o trzy kroki nic już się nie widziało, potrwał przynajmniej ze trzy dni.

Ku środkowi zimy 1941 r. zdaje się, że tylko jeden rodzaj pracy w obozie pozostawał mi nieznany. Było to tak zwane „zatrzymywanie śniegu”. Było to o wiele gorsze, niż zbieranie kamyszy. Bałam się tej roboty panicznie i pewnie dlatego mnie w końcu nie ominęła.

Step kazachstański bardzo szybko na wiosnę wysycha. Latem deszcz nie pada tu nigdy. System kanałów irygacyjnych nie wystarcza do nawodnienia pól. Aby zatrzymać na nich dłużej wilgoć, przez całą zimę budowało się wały śniegu na polach. Każdy wał musiał mieć 75 cm wysokości i 15 m długości.

Kiedy któregoś dnia, przy wieczornym sprawdzaniu obecności wyczytano moje nazwisko z przeznaczeniem na śnieg, nie warto było nawet protestować.

Wychodziło się już na te roboty przed świtaniem. Kwadrans przed czwartą budzono nas w baraku.

„Zatrzymywacze śniegu, wstawać, wstawać”.

Ubierałyśmy się w kompletnej ciemności, szłyśmy po chleb i na śniadanie – zawsze ta sama odrobina kaszy na dnie miski i kubek gorącego wywaru, zwany szumnie „kawą”. Potem długo stałyśmy przed bramą, zanim nadszedł konwój i poprowadził nas na robotę. Szło się od pięciu do dziesięciu kilometrów gęsiego, jedna za drugą, codziennie na nowo wydeptując ślad w głębokim śniegu, co noc zasypywany przez „buran”. Wreszcie, już bardzo zmęczone, przybywałyśmy na przeznaczony na ten dzień odcinek. Zaczynała się praca, z której zabierano nas już po zachodzie słońca.

Budowanie tych wałów śnieżnych wymagało specjalnej techniki. Dopóki się jej nie zdobyło, próżno było marzyć o zrobieniu normy, która wynosiła dwadzieścia dwa wały na dzień pracy. Tajemnica efektywnej pracy polegała na wycinaniu jak największych brył śniegu łopatą i ustawianiu ich jedna za drugą. Tylko w ten sposób praca szła szybko.

Bryły były bardzo ciężkie. Dźwiganie ich powodowało ustawiczny ból w krzyżu. Przestać pracować nie można było ani na chwilę, bo od razu odmrażało się policzki, nosy, ręce. Łzy wyciskane przez wiatr zamrażały na twarzy. Nigdy nie przestałam bać się tej roboty. Codziennie koło południa wiatr i zadymka wzmaczały się. Dni cichych prawie nie było. Wiatr gnał po zamrażonym stepie nieskończone sznury kręcone ze śniegu, zwijał je w pasma, wiry, prądy. Szmer i szelest tej białej masy doprowadzały mnie do szału. Gdzieś daleko, zaledwie widoczna w tym chaosie, majaczyła figurka sąsiedniej robotnicy. Porozumieć się nie było sposobu, raz po raz nikła mi z oczu. Jakież nieskończenie długi wydawał się lodowaty dzień. Gdy wreszcie po potwornym dniu wracało się do baraku w odzieniu zeskorupiałym na lód, którego przez noc nie można było nawet wysuszyć i zjadało kilka łyżek gorącej zupy, nawet w nocy nie mogłam zasnąć ze strachu przed męką następnego dnia.

A tymczasem czas płynął nieubłagane. W całym wielkim baraku i w całym obozie zostały nas tylko dwie Polki, coraz bardziej znienawidzone przez Rosjanki triumfujące, że przecież nas nie wypuszczono.

Tak nadeszło Boże Narodzenie 1941.

Przyjaciele niedoli

Byłoby niesprawiedliwe, gdyby nie wspomnieć tych nielicznych kobiet sowieckich, wśród których znalazło się trochę serca i zrozumienia. Taka była moja koleżanka z ambulatorium, Gertruda. Co prawda nie była ona Rosjanką – była Holenderką. Kiedyś, jeszcze w czasie pierwszej wojny światowej, poznała ona w rodzinnej Hadze młodego rosyjskiego studenta. Z wielkiej miłości wynikło małżeństwo. W ciągu kilku lat po wojnie mieszkali w Holandii, następnie jednak mąż Gertrudy zaczął marzyć o powrocie do Rosji. Był inżynierem, żadnych win w stosunku do rządu sowieckiego nie miał. W owym okresie ściągano chętnie do Związku Sowieckiego wszelkich specjalistów z Europy i Ameryki, obiecując im złote góry i zaszczyty za pomoc w chwalebnym

dziele budownictwa socjalistycznego. Zdecydowali się więc i razem z córką wyjechali do Rosji. Od początku warunki ich życia były bardzo ubogie. Przyzwyczajonym do kultury materialnej Holandii poziom życia w Rosji wydawał się niestychanie niski. Wkrótce też zorientowali się, że lekko-myślnie postąpili przyjmując obywatelstwo sowieckie, które odcięło im drogę powrotu. Gertruda starała się pogodzić z losem. Wychowywała córkę, pracowała w różnych sowieckich instytucjach, szło im raz lepiej, raz gorzej. Nie pozwalali sobie na żadną krytykę, unikali wszelkich przyjaźni i znajomości. Tak nadszedł rok 1936 i pierwsza fala aresztowań „szpiegów trockistowskich”. Aresztowano męża Gertrudy, a w miesiąc później i ją samą. Co się z nim stało nie dowiedziała się nigdy. Ona została skazana na pięć lat. Termin jej kary upływał za parę miesięcy. Mimo to nie miała wielkiej nadziei na powrót do domu i zobaczenie córki. „Zobaczysz – mówiła – wymyślą jeszcze cokolwiek i dodadzą mi drugie pięć lat. Stąd się już nie wychodzi, chyba tam, do trupiarni”.

Oprócz Gertrudy miałam jeszcze dwie inne sowieckie przyjaciółki – Japonkę i Gruzinkę. Japonka nazywała się zresztą Katia, bo nikt nie znał jej właściwego imienia Inome, co znaczy po japońsku fala. Nie umiała ani słowa po japońsku i nie знаła Japonii. W 1905 roku, w czasie wojny rosyjsko-japońskiej oficerowie rosyjscy znaleźli w opuszczonej chacie w Mandżurii czteromiesięczne niemowlę. Zabrali je ze sobą do Rosji i została córką pułku. Aż do rewolucjiłożono na jej wykształcenie. Nie znała rodzinnego ciepła, ale i nikt jej nie krzywdził. Już po rewolucji poznała młodego sowieckiego aktora, pobrali się, przyszło na świat dziecko, a później fala aresztowań zagarnęła ich oboje. On został rozstrzelany – nie wiedziała za co, ona dostała osiem lat, jako „żona wroga ludu” oczywiście. Drobną, skośnooką kobietką żyła tylko nadzieją na odnalezienie dziecka, które żyło i pisywało do niej. Posyłano ją na najcięższe roboty. Nigdy nie starała się zrobić normy, niemożliwej na jej słabe siły. Twierdziła, że głód po tylu latach już nie jest taki przykry, człowiek się przyzwyczaja. Nigdy nie kradła.

„Nie myśl, że ja uważam to za nieuczciwe, ja po prostu jestem zanadto nieczarna, nie potrafię” – twierdziła.

Katia nie była nigdy komunistką. Miała wiele sympatii dla Polski. Obiektywnie oceniała międzynarodowe zjawiska. Nietrudno się było z nią porozumieć. Nieraz wieczorem, gdy zachodziłam do niej, widziałam jak chaszcząc swoje ogromne, czarne włosy wpatruje się w fotografię syna. Uśmiechała się na mój widok i wyciągała z woreczka kawałek chleba. „Zjedz – mówiła – ja naprawdę nie jestem głodna. Ty jesteś taka duża, musisz więcej jeść”.

Gruzinka nazywała się Liziko. Miała 35 lat, a została aresztowana po raz pierwszy, gdy miała lat 18, za przynależność do Socjalistycznej Partii Gruzji. Po dwóch latach zwolniono ją i po jakimś czasie skazano ponownie na lat pięć tym razem. Po odbyciu kary parę lat była na wolności i aresztowana w 1938 roku otrzymała wyrok na lat osiem. Z 35-ciu więc przeżytych lat, piętnaście przypadło na więzienie. Ogromnie inteligentna, czytana, nieustępliwa i nie wypierająca się swoich socjalistycznych przekonań, Liziko była bardzo źle widziana w obozie.

„Zdaję sobie sprawę z tego, że nie wyjdę stąd żywa – mówiła spokojnie. To zresztą jest zrozumiałe. Po cóż żywić wrogów, co do których nie ma nadziei, że się ich wykorzysta do swoich celów”.

Wszystko, co ją spotkało znosiła bez szemrania, ale raz zobaczyłam ją zapłakaną. Pracowała wtedy razem ze mną przy prasowaniu. W porównaniu z robotą na śniegu było to wytchnienie. Spytałam, co się stało?

„Wiesz, znowu przyszedł na mnie okres halucynacji – odpowiedziała niechętnie Liziko. Czasem to mam. Wtedy ciągle mi się zdaje, że znowu jestem na śledztwie w celi, w Tyfilisie, że znowu bije mnie własnoręcznie ten... Narkom Gruzji. Pomyśl, jaka hańba, jaki wstyd, mnie – słabą kobietę bije ten dygnitarz, rodak, Gruzin, dawny socjalista. To jest tak realne, że widzę jego twarz, słyszę, jak mówi, żeby mnie trzymano, widzę ściany celi. Jak to na mnie przychodzi, nie mogę wytrzymać”.

Początkowo nie rozumiałam, bo i kogóż właściwie nie bito? Nie warto ani wspominać, ani się rozczulać, ale później pojąłam. To nie wspomnienie razów i bólu dręczyło Lizikę; ona płakała na wspomnienie hańby, że bił ją rodak, Gruzin, socjalista.

Po raz drugi nie rozumialiśmy się w dniu wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej. Przybiegłam do niej.

„Liziko, ach żebyż oni wyniszczyli się tak, żeby kamień na kamieniu nie został, żeby nie zostało ani jednego hitlerowca, ani jednego bolszewika. Niech się pozjadają tak, żeby im ogony nawet nie zostały” – powiedziałam z pasją.

„Słuchaj – odpowiedziała Gruzinka – teraz musimy zapomnieć o wszystkim, cośmy tu wycierpiały. Musimy życzyć zwycięstwa Stalinowi, który przyniesie światu wybawienie. Hitler jest wrogiem ludzkości. Bądź co bądź, w porównaniu z Niemcami, Związek Sowiecki to demokracja”.

Patrzyłam na nią zupełnie osłupiała. A więc jednak i w tej niezależnej z pozoru duszy tkwiło odwieczne rosyjskie zakłamanie, które kazało wszystkim tym cierpiącym niewinnie milionom przyznawać się do nie popełnionych win, gorzko za nie żałować i na każdym miejscu i o każdej porze głosić, że Stalin i Partia zawsze postępują słusznie, a zatem słuszne jest więzienie, słuszne wszystko, co je spotyka. Zjawisko nigdzie na świecie nie spotykane.

Wolność

W dzień wigilijny 1941 r. poszłam z rana do ambulatorium, do lekarki i zapowiedziałam jej, że na robotę nie pójdę i żeby zwolniła mnie pod jakim chce pozorem. Oczywiście o obchodzeniu jakichś świąt religijnych nie ma mowy w Rosji nawet na wolności, a tym bardziej w łagrze, toteż lekarka początkowo nawet słyszeć o zwolnieniu nie chciała. Ostatecznie jednak wypisała mi jakieś gwałtowne niedomaganie w księdze zwolnień. Wróciłam więc do baraku aby spędzić ten dzień z Wandą, która po oberwaniu sobie nerki wskutek dźwigania ciężarów, została wyznaczona do sprzątania baraku wewnątrz. Cały dzień kombinowałyśmy, jak z kubka suchego grochu, odrobiny ziaren pszenicy i dwóch kawałków cukru (skarb chowany od zeszłego lata), zrobić kolację. Wreszcie zagotowałyśmy to wszystko.

Zapałł mrok, barak był prawie pusty. Wpakowałyśmy się na nasze nary na drugim piętrze. Jak kiedyś, w dawnych,

nierealnych czasach wolności, czekałyśmy na pierwszą gwiazdkę.

„Gdzie Anna?” – usłyszałam nagle głos starszej naszego baraku.

„Tu, o co chodzi?”

„Anno, mam dla was dobrą wiadomość. Jesteś wolna” – zawołała pocziwa kobieta podbiegając do naszego legowiska.

„A Wanda?” zapytałam z niepokojem.

„Wanda jeszcze nie, ale nie martwcie się, jej zwolnienie na pewno łada dzień nadejdzie”.

Nic nie odpowiedziałyśmy – płakałyśmy obie.

Upłynęły dokładnie dwa lata od chwili mego aresztowania w dzień wigilijny 1939 roku.

Nika KŁOSOWSKA-WOHLMAN

Anatol KOBYLŃSKI

MAMUSIU – CZY TO RUSCY?

Ranek był pogodny, ale mroźny. Jak zwykle w niedzielę mogłem sobie pozwolić na dłuższe wylegiwanie się. Kiedy spojrzałem na zegarek i stwierdziłem, że jest już prawie dziewiąta, postanowiłem jednak wstać i przede wszystkim obudzić syna. Byłby niepokieszony, gdyby w niedzielę nie obejrzał „Teleranka” dla dzieci. Włączyłem więc telewizor i poszedłem do łazienki. Kiedy z niej wróciłem, ekran telewizora migotał, ale nie było ani obrazu, ani dźwięku. To fatalnie – pomyślałem sobie – że też musiał nawalić akurat w niedzielę, kiedy istnieją minimalne szanse, aby jakiś fachowiec zechciał przyjść i zreperować to pudło. Może u nich w

nadajniku coś nawaliło? – pomyślałem z nadzieją. Podniosłem słuchawkę telefonu, aby zadzwonić do sąsiada i sprawdzić, czy u nich telewizor działa. W słuchawce była martwa cisza... Coś mnie wtedy tknęło i włączyłem radio. Właśnie przemawiał Jaruzelski. Słuchając go nie mogłem uwierzyć w sens tego co mówił... Obudziłem żonę i syna. Za oknem prawie nie było widać przechodniów, tylko od czasu do czasu ulicą snuły się uzbrojone patrole wojskowe w polowych mundurach. Mieszkaliśmy przy ul. Podchorążych w pobliżu koszar jednostki KBW i teren ten był poddany wzmocnionej ochronie. Przekonaliśmy się o tym zresztą zaraz po wyjściu z domu, bo postanowiliśmy obejrzeć, jak wygląda miasto pod butem wojskowej dyktatury. Ale przedtem jeszcze wysłuchaliśmy przemówienia Jaruzelskiego, który tym razem pojawił się na ekranie telewizora już w pełnej gali. Nadano też tekst oficjalnego komunikatu o ogłoszeniu w kraju stanu wojennego. Kiedy znaleźliśmy się na ulicy, przy najbliższym skrzyżowaniu zatrzymał nas żołnierz, grzejący się przy koksowym piecyku, ustawionym obok kozłów z drutu kolczastego, zamykających wylot ulicy. – „Czy posiadacie przy sobie dowody osobiste? Bo nie wpuszczamy na ten teren osób, które nie mogą udowodnić, że tu mieszkają”. Mogliśmy udowodnić i wobec tego zapuściliśmy się dalej. Na następnym skrzyżowaniu ulic Gagarina i Belwederskiej stał czołg. Po drugiej stronie tego skrzyżowania zobaczyliśmy sporą grupę żołnierzy obok opancerzonego pojazdu. Nasz syn spojrzał na pojazd i od razu go fachowo sklasyfikował: „O... Skot!”.

Potem zobaczył żołnierzy w zimowych, uszastych czapkach i zapytał głośno:

– „Mamusiu, czy to Ruscy?”

– „Nie synku” – odpowiedziała moja żona – „To nasi...”.

Coś mi podeszło do gardła... Nasi?...

Nasze rodziny mieszkały w odległych od nas dzielnicach miasta i w tych pierwszych godzinach stanu wojennego byliśmy od siebie zupełnie odcięci. Telefony milczały. Samochodami prywatnymi nie można było jeździć, a komunikacja miejska też nie funkcjonowała. Po powrocie do domu, dzień przeminął nam na sporadycznym oglądaniu telewizji, co w tym dniu było zajęciem nie tylko monotonnym, ale i dener-

wującym. Poza oficjalnymi komunikatami i wiadomościami, czytany przez ponurych oficerów oraz przez znanych lektorów, wyglądających groteskowo w przyciasnych mundurach bez dystynkcji, częstowano nas co chwila sielankowymi filmami z życia wojska. Oczywiście u widzów wywoływało to skutek wprost przeciwny do zamierzonego. Jak zwykle prymitywna propaganda pogarszała jeszcze ten niewybaczalny grzech jaki popełniła „Wrona”, (bo tak natychmiast ochrzciła warszawska ulica Wojskową Radę Ocalenia Narodowego). Dopuszczała do haniebnego splamienia munduru wojskowego, każąc armii wystąpić przeciwko własnemu społeczeństwu. Zanim przeminął pierwszy dzień stanu wojennego, o tym co dzieje się w Polsce wiedzieliśmy tylko tyle, ile słyszeliśmy z oficjalnych komunikatów, przekazywanych przez radio i telewizję. Z zagranicznych radiostacji też niewiele więcej można było się dowiedzieć. Zaskoczona Europa zachodnia jeszcze mniej wiedziała niż my sami. Krajowe środki masowego przekazu zawiadamiały o internowaniu działaczy „Solidarności” i wielu innych potencjalnych wrogów PRL. Poinformowano również o umieszczeniu w miejscach odosobnienia niektórych prominentów z kręgów partyjno-rządowych odpowiedzialnych za zawalenie się polskiej gospodarki. Tyle, że nie było wiadomo, w jaki sposób będą rozliczani ci poprzedni właściciele Polski Ludowej. Zresztą dowiedzieliśmy się też zaraz, jak zapewniała nas ówczesna nieźrównana telewizja, że to „Solidarność” doprowadziła Polskę do ruiny... Następnego dnia po wprowadzeniu stanu wojennego wszyscy spieszyli do swoich zakładów pracy, żeby jak najszybciej spotkać się z kolegami, wymienić spostrzeżenia oraz informacje. Były one na razie bardzo skąpe, ale już wiadomo było, że nastąpiły liczne próby czynnego oporu w formie strajków. Zaledwie w kilka dni po ogłoszeniu stanu wojennego, ukazały się pierwsze ulotki, sygnowane przez podziemną „Solidarność”. Ludzie szybko zaczęli się otrząsać z pierwszego zaskoczenia i pojawiły się w obiegu aktualne dowcipy: „Babciu, dlaczego babcia podlewa kwiatki oliwą? – pyta wnuczek – Przecież kwiatki się zmarnują! – Może się i zmarnują – odpowiada babcia – ale pistolet nie zardzewieje!...”.

Najnowszy szczyt bezczelności: podejść do patrolu

ZOMO, wrzucić zomowcowi do kieszeni złotówkę i zapytać: „Czy mogę skorzystać z automatu?”.

Idzie wrona po śniegu, ogląda swoje ślady i widzi – co stąpnie lewą łapą – sierp – co postawi prawą – młot. Zakłęła wrona: – „Do dupy z taką konspiracją!”.

Do tramwaju wsiada dwóch mocno zawianych warszawiaków. Jeden z nich zwraca się głośno do kolegi: „Franuś, to teraz jest okupacja?” – Na co drugi nieco trzeźwiejszy: „Antoś, ciszej...” – „Powiedz mi tylko, czy teraz jest okupacja, czy nie, to będę cicho...” – na to drugi dla świętego spokoju: „No dobra, jest okupacja...”. Na to Antoś grzyącym szeptem: „Jak jest okupacja, to ja chcę na roboty do Niemiec!...”.

Rozpoczęły się upokarzające weryfikacje zawodowe. Socjalistyczna inkwizycja szalała najbardziej w radiu, telewizji i w redakcjach czasopism. Wielu dziennikarzy odmawiało poddania się tej haniebniej procedurze. Tak postąpił znany dziennikarz Zdzisław Sierpiński, zaś znany polskim widzom Jacek Maziarski, dał ogłoszenie w *Życiu Warszawy*, które stało się sensacją dnia: „Przyjmę każdą uczciwą pracę”. Odmówił poddania się przesłuchaniu znany reżyser filmowy Andrzej Konic, żeby wymienić tylko tych kilka przykładów godnej postawy. W społeczeństwie rosła pogarda dla władzy, która stosowała metody zastraszania społeczeństwa, jak na przykład demonstracyjne przejazdy przez miasto tasiemcowych kolumn pancernych ZOMO, blokujących ruch miejski. Któregoś dnia, wracając samochodem z Grochowa, znalazłem się na rondzie Waszyngtona w momencie kiedy taka pancerna kolumna właśnie skręcała. Na rondzie zrobił się gigantyczny korek. Kierowcy samochodów, którzy utknęli gdzieś dalej, nie wiedząc co się dzieje, zaczęli naciskać na klaksony. Natychmiast podchwycili to świadomie i demonstracyjnie inni kierowcy. Z całą satysfakcją przyłączyłem się do tego koncertu. Dalsza defilada opancerzonych pojazdów zomowskich odbywała się w takt przeraźliwego wycia klaksonów zbitych w olbrzymi zator samochodów i autobusów. Był to bardzo piękny moment, który zniweczył oczywiście cały zamierzony efekt tej demonstracji siły i ośmieszył, mający budzić respekt, „Wroni” pochód. Audycje propagandowe w telewizji wyglądały czasem tak, jakby je

przygotowywał osobisty wróg Jaruzelskiego i „Wrony”. Serwowano nam kretyńskie rewelacje na temat „Solidarności”, mające na celu skompromitowanie tej organizacji i jej przywódców, którzy rzekomo przygotowywali się do przejęcia siłą władzy w Polsce. Pokazywano nam, a jakże, „arsenał”, składający się z trzech rewolwerów (z tego jeden własnej roboty...) i kilku pałek, przy pomocy której to broni, „Solidarność” zamierzała rozgromić socjalizm w PRL. Dokładnie opluto przywódcę wrocławskiego regionu NSZZ „Solidarność”, który „ukradł”, jak trąbiła telewizja, 80 milionów złotych. Biuletyny podziemnych struktur „Solidarności” ogłosiły natychmiast, że pieniądze te po prostu zdołano uratować dla finansowania dalszej działalności związku oraz na pomoc dla prześladowanych i internowanych. Temat ten znikł natychmiast z oficjalnych środków masowego przekazu. Ale propaganda stale wyszukiwała nowe tematy do rozbawiania, choć tak naprawdę, to wszystko razem nie było zbyt zabawne. Próbowano nas przekonać, całkiem na serio, że to „Solidarność” doprowadziła gospodarkę kraju do dna upadku, sabotując znakomite pomysły partii i rządu. Hucznie zapowiedziano wprowadzenie reform gospodarczych, które dopiero teraz, po ubezwłasnowolnieniu „Solidarności”, mają wreszcie realne szanse podźwignięcia kraju z dna. Jak się okazało jedyną formą reformy gospodarczej była gigantyczna podwyżka cen i rozpoczynająca się spirala inflacji. Cały aparat władzy, nastawiony jedynie na hamowanie wszelkich inicjatyw i mechanizmów oddolnych, mogących naprawdę coś ruszyć z miejsca, nawet nie drgnął. Wszystko miało funkcjonować na zasadzie, że jedyną siłą, która potrafi wszystkim sterować, jest nieomylna Partia. Na miejsce konającego handlu państwowego zaczął się rodzić gigantyczny rynek prywatny i handel wymienny. Najpoczytniejszą gazetą w tamtym okresie stało się *Życie Warszawy* ze znacznie rozbudowanym działem ogłoszeń. Ponieważ to, co nie podlegało reglamentacji, dawno zniknęło z półek sklepowych, na miejsce likwidowanych sklepów państwowych powstawały sklepy prywatne, przeważnie kupna-sprzedaży artykułów używanych. Sklepy te, prowadzone na zasadzie agencji, miały wielkie powodzenie. Ludzie z jednej strony pozbywali się z

domów rzeczy niepotrzebnych, lub takich, bez których mogli się obyć, zaopatrując się z kolei w artykuły pierwszej potrzeby, jakich już nie można było znaleźć w nielicznych sklepach państwowych. Zaczynała się bieda. Były rodziny gdzie wspólny dochód nie wystarczał na wykupienie skromnych przydatków na kartki, tak zresztą mikroskopijnych, że konieczne było uzupełnianie domowych zapasów z różnych nieoficjalnych źródeł. Ja sam na przykład zaopatrywałem się w cieleninę u znajomego tapicera, któremu dostarczał mięso jego znajomy ze wsi. Po kilku miesiącach stanu wojennego, ludziom coraz bardziej zaczynało brakować gotówki. Handel używanymi rzeczami zaczął wyraźnie słabnąć. Po prostu więcej było sprzedających niż kupujących. Ale, pomimo coraz bardziej kurczących się dochodów i wzrostu kosztów utrzymania, wzrastała ofiarność społeczeństwa. Pamiętano o internowanych i ich rodzinach. Akcja ta była idealnie zorganizowana i skuteczna. Po aresztowaniu mego sąsiada, który zupełnie przypadkowo znalazł się w centrum manifestacji w dniu 3 maja, tego samego wieczoru do jego oszołomionej żony, która jeszcze w ogóle o tym nie wiedziała, zgłosił się przedstawiciel komisji społecznej, działającej przy kościele Św. Marcina, z propozycją pomocy. Podczas obchodów pierwszomajowych, kiedy odbyły się dwie manifestacje, oficjalna i nielegalna, zdarzył się przypadek tragikomiczny w swej wymowie. Dyrektor jednej ze szkół warszawskich, lojalny członek partii, zorganizował grupę młodzieży, która udała się na miejsce oficjalnej manifestacji pierwszomajowej, żeby wysłuchać w skupieniu przemówienia generała Jaruzelskiego. Wszyscy byli odświętnie ubrani i udekorowani znaczkami szkolnymi, zaopatrzonymi w białe-czerwone wstążeczki. Po uroczystości młodzież w zwartej grupie, prowadzona przez dyrektora, wracała przez plac Dzierżyńskiego. Tam natknęli się na oddział ZOMO, polujący na uczestników zabronionych manifestacji. Zomowcom grupa młodych ludzi wydała się podejrzana. Nie pytając wiele rzucili się na chłopców, zrywając im znaczki ze wstążeczkami i pałując ile wlezie. Kiedy dyrektor usiłował interweniować i wyjaśniać nieporozumienie szalejącym zomowcom, dostał potężnego kopa i znalazł się na ziemi. Następnego dnia dyrektor tej szkoły

poszedł do Komitetu Warszawskiego PZPR i zwrócił swoją legitymację partyjną, a u chłopców prawdopodobnie wyklarował się do reszty światopogląd polityczny.

Przeciwko manifestującym pod hasłem „Solidarności”, wśród których przeważała młodzież, rozpoczęto zmasowaną i bezwzględną akcję „sił porządkowych”, jak ładnie nazwała prasa otumanionych i rozbestwionych troglodytów spod znaku ZOMO. Po tych wypadkach wprowadzono zakaz przebywania po godzinie 22-ej poza domem młodzieży poniżej lat 18-tu. W kilka dni później znana aktorka i członek prezydium ZG SPATIF-ZASP, Oleńka Dmochowska, wracała samochodem po przedstawieniu, z Teatru Polskiego do domu. Przejeżdżając Tamką zobaczyła następującą scenę: dwóch przerażonych chłopców stało przed patrolem ZOMO z podniesionymi rękami, jeden w wieku około 15-tu lat, drugi jeszcze młodszy. Było zaledwie kilka minut po godzinie 22-ej. Jeden z zomowców bił tego starszego po twarzy. Ola, wbrew rozsądkowi zatrzymała się i zwróciła się do dowódcy patrolu jak mogła najuprzejmiej:

– „Przepraszam panów, jeśli ci chłopcy spóźnili się, to ja ich chętnie podrzucę do domu samochodem, jeśli panowie na to pozwolą...”.

Zomowiec na to pchnął ją mocno trzymanym w rękę pistoletem, aż się zatoczyła i bluznęła:

– „Odpieprz się stąd zaraz, ty błada kurwo, bo i tobie zaraz tak przypierdolę, że na czworakach będziesz wracać do domu, a nie samochodem!”

Po tym brutalnym ataku Oleńka osłupiała cofnęła się do samochodu i nie mogła przez chwilę ruszyć z miejsca, rozszlochana z bezsilności i głębokiego upokorzenia. Pozostanie dla mnie zagadką przerażająca brutalność i bezkarność tych zdegenerowanych młodych ludzi. Skąd wywodzili się ci chłopcy, wykonujący rozkazy swoich przełożonych z taką zwierzęcą wprost brutalnością. Bicie i upokarzanie ludzi sprawiało im widoczną przyjemność. A jednak nie zawsze byli górami. Znam taki autentyczny przypadek, kiedy zdecydowana postawa grupy przechodniów odniosła zwycięstwo nad tępych zomowcem.

Na ulicy Szpitalnej w Warszawie patrol ZOMO za-

trzymał chłopca, który miał przypięty do kurtki znaczek „Solidarności”. Na wezwanie jednego z milicjantów chłopiec spokojnie odpiął odznakę i schował do kieszeni. Jednak zomowiec nie dał za wygraną i zażądał dowodu osobistego. Wyraźnie zamierzał chłopca aresztować. Wokół zaczął zbierać się tłum, który stanął po stronie chłopca i domagał się jego uwolnienia. Padały okrzyki: „Puść go!” Zomowiec widząc groźną postawę tłumu, wezwał radiowóz i za chwilę nadjechał samochód milicyjny, z którego wysiadł oficer MO. Zomowiec zaczął meldować oficerowi o zajściu mówiąc, że chłopak stawiał opór. Na to zgłosili się świadkowie z grupy przechodniów, stwierdzając, że chłopiec zachowywał się spokojnie i że żadnego oporu nie stawiał. Reszta patrolu zachowywała się cały czas biernie, stojąc na uboczu i nie biorąc w ogóle udziału w całej aferze. Oficer szybko zorientował się w sytuacji i polecił oddać chłopcu dowód. Zomowiec nadal nie rezygnował: – „ja go jeszcze nie spisałem” – powiedział;

Oficer już wściekły, krzyknął:

– „I nie będziesz spisywał! Oddaj mu dowód!”.

Zomowiec całkiem ogłupiały zwrócił dowód chłopcu, który natychmiast wsiadł w tłum, a po chwili także rozplynęli się zomowcy. Tłum nagrodził oficera MO rześzystymi oklaskami. Ten zasalutował, wsiadł do samochodu i odjechał. Oczywiście był to wypadek odośobniony, ale świadczący o tym, że trzeba uważać z generalizowaniem zjawisk.

Znam też inny przypadek z tych dni najwyższej próby dla sumień i postaw ludzkich. Do kościoła Św. Marcina, który był bazą pomocy dla potrzebujących, przyszło dwóch młodych ludzi i zgłosiwszy się do księdza powiedzieli:

– „Zostaliśmy siłą wcieleni do ZOMO. Zebraliśmy wśród chłopaków sześćdziesiąt tysięcy złotych i chcemy je ofiarować na pomoc dla internowanych. Pamiętajcie, że wielu z nas służy w ZOMO przymusowo i wstydzimy się tych mundurów, które każą nam nosić...”

Ale niestety większość zomowców pełniła z upodobaniem swoją haniebną służbę. Mnożyły się przypadki zatrzymywania i bicia przechodniów i rewizje na ulicy pod byle pretekstem. Kończyło się to nierzadko rozprawą przed Kolegium Orzekającym, zastępującym sąd w przypadkach lżejszych naruszeń

przepisów dekretu o stanie wojennym. Kolegia wymierzały spore kary pieniężne. Jeśli ukarani nie mógł zapłacić, wędrował do aresztu. Tutaj mam do zanotowania autentyczny przykład rozszerzającej się coraz bardziej społecznej akcji samopomocy. Na sali, gdzie odbywały się seryjne rozprawy Kolegium Orzekającego, siedziała sobie wśród przysłuchującej się publiczności niepozorna staruszka, robiąca coś na drutach. Od czasu do czasu, kiedy oskarżony nie miał z czego zapłacić wyznaczonej mu kary, a wiadomo było, że oskarżenie jest mocno naciągane, staruszka wstawiała ze swego miejsca, podchodziła do stołu sędziowskiego i wysypywała za skazanego kilka tysięcy złotych, ku zdumieniu kompletu orzekającego, łącznie z samym osłupiałym delikwentem. Oczywiście staruszka nie wykladała własnych funduszków, lecz była wykonawcą akcji doskonale zorganizowanej przez podziemną „Solidarność”.

Społeczeństwo coraz mocniej konsolidowało się w oporze, a tymczasem rządząca pod osłoną karabinów klika wmawiała sobie i usiłowała również wmawiać społeczeństwu, że w kraju postępuje normalizacja. Wmawiano nam, że wszyscy z ulgą przyjęli wprowadzenie stanu wojennego, który uratował kraj przed anarchią. Opatrznościowa „Wrona” po prostu uchroniła naród przed losem, zgotowanym mu podstępnie przez kierowaną przez wrogie ośrodki dywersji „Solidarność”. Były to beznadziejne i prymitywne sposoby. Przepaść dzieląca władzę od społeczeństwa stale się powiększała. Rosły też w kioskach sterty nie sprzedanych gazet. Ukazywały się więc komentarze, że wobec podwyżek cen na czasopisma, ludzie teraz oszczędzają na gazetach, a tak naprawdę to czytelnicy bojkutowali papierową propagandę. W Warszawie rytm życia powoli się zmieniał. Ludzie otrząsali się z bierności. Rozwijało się życie towarzyskie. Nie mając nadal zaufania do wiadomości serwowanych przez środki masowego przekazu, tworzone własne sieci informacyjne. Ukazywało się coraz więcej podziemnych gazetek i biuletynów, ale jednak nie dla wszystkich były one dostępne. Telefony były bezużyteczne jako środek porozumiewania się, wobec stałego urzędowego podsłuchu, który był zresztą lojalnie anonsowany. Po każdym podniesieniu słuchawki, słyszało się monotonne ostrzeżenie:

– „Rozmowa kontrolowana...rozmowa kontrolowana...”

Rozwój życia towarzyskiego hamowała konieczność czasochłonnego zdobywania zaopatrzenia dla naszych domów. Trzeba było teraz wstawać przed szóstą, żeby „wystać” dla rodziny mleko i pieczywo na śniadanie. Moja żona, która nie zawsze miała próby w teatrze przed południem, skazana była częściej niż ja na życie kolejkowe. Ludzie tracili bezproduktywnie mnóstwo czasu, stojąc w kolejkach i czekając na przyjazd samochodu dostawczego. I nigdy nie było wiadomo, czy i co tym razem przywiozą do sklepu.

Wielką pomoc w zaopatrzeniu, stanowiły nadchodzące z krajów zachodnich transporty z żywnością. Były niesłychanie wzruszające przejawy tej pomocy, w której przewodzili Niemcy. Na przykład zanotowałem piękny gest aktorów z teatru w Stuttgarcie, gdzie przed rokiem występował gościnnie Teatr Dramatyczny z Warszawy. Między zespołami obu teatrów zadzierzgnęły się serdeczne koleżeńskie więzy. W dwa tygodnie po ogłoszeniu stanu wojennego zjawił się niespodziewanie dyrektor teatru ze Stuttgartu, który osobiście konwojował samochód ciężarowy, załadowany darami dla zespołu Teatru Dramatycznego. Trzeba jeszcze dodać, że władze polskie udzieliły mu wizy tylko na 24 godziny... Nie zrażony tym nasz przyjaciel przyjechał w kilka miesięcy później powtórnie. Tym razem dostał wizę pobytową na dłuższy okres, co pozwoliło aktorom Teatru Dramatycznego na zorganizowanie błyskawicznej zbiórki i ufundowanie niemieckim kolegom, w rewanżu za ich wzruszającą pomoc, pięknego gobelinu, który do dziś zdobi foyer teatru w Stuttgarcie. Podobną pomoc dla naszego środowiska zorganizowali również aktorzy francuscy i belgijscy, którzy przysłali kilka kontenerów darów dla polskich aktorów.

ZASP, działający wtedy nielegalnie jako zawieszona organizacja, powołał społeczną komisję dla sprawiedliwego rozdziału tych darów. Przywiezione dary zmagazynowane zostały w wieży Kościoła Św. Anny w Warszawie i trzeba było wykonać gigantyczną pracę rozdzielając przysłane artykuły, popakowane według asortymentów na małe osobiste zestawy. Działo się to na przełomie kwietnia i maja 1982 roku. Były już znane, rozpowszechnione przez podziemne biuletyny „So-

lidarności” nazwiska aktorów kolaborantów. Powstał problem, czy oni też mają korzystać z tej pomocy. Koleżeńska komisja społeczna, zajmująca się rozdziałem tych paczek, zdecydowała, że nie będzie stosować dyskryminacji, z tą subtelną różnicą, że paczki będzie się wręczało rodzinom tych kolegów, którzy się wyłamali z ogólnie przyjętej przez aktorów postawy, a nie im samym. Wielu z nich rezygnowało z tej pomocy. Ludzie ocierający się o siebie w ulicznym tłumie byli stale zdenerwowani i z byle powodu wybuchały bezsensowne awantury, ale równolegle rozwijała się szlachetna bezinteresowność i chęć niesienia sobie wzajemnie pomocy. Jeden z wielu paradoksów tych czasów.

Innego rodzaju paradoks zaobserwowano podczas towarzyskiego spotkania, które urządził znany dziennikarz i prezes ZAIKS-u Karol Małcużyński, z okazji 65-lecia swoich urodzin, zapraszając gości, według własnego uznania, niezależnie od ich poglądów politycznych. Na tym przyjęciu urodzinowym można było zaobserwować w kącie sali pograżonych w przyjacielskiej rozmowie, wiceministra kultury i sztuki Eugeniusza Mielcarka ze Stafanem Bratkowskim, byłym prezesem rozwiązanego przez „Wronę” Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich.

Innym anegdotycznym spotkaniem była rozmowa profesora Jana Józefa Szczepańskiego z ministrem spraw wewnętrznych generałem Kiszczakiem, który zaprosił profesora na rozmowę. Starał się go przekonać, że Wałęsa to już ograna karta i że w przyszłości nie odegra już żadnej roli. Natomiast, według opinii Kiszczaka, władze mają respekt wobec Zbigniewa Bujaka, ukrywającego się przywódcy „Solidarności” regionu Mazowsze. Władze chciałyby nawiązać dyskretny kontakt z Bujakiem, aby przedstawić mu pewne propozycje. Przy tym, jak zaręczał generał, zapewniona zostanie Bujakowi pełna nietykalność i bezpieczeństwo. Tu Kiszczak zwrócił się już bezpośrednio do profesora Szczepańskiego:

– „Panie profesorze, czy zechciałby pan pośredniczyć w zorganizowaniu takiego spotkania?”

Profesor Szczepański, znany z flegmatycznego usposobienia, zastanawiał się przez dłuższą chwilę i wreszcie odparł:

– „Bardzo chętnie, poproszę tylko o adres pana Buja-
ka...”

15 stycznia 1982 roku pozwolono na wznowienie przedstawień w teatrach dramatycznych, a już wcześniej zaczęły funkcjonować teatry dla dzieci. Jednak nie wszystkie sztuki wróciły na scenę. Zdjęto z afisza Teatru Polskiego „Ambasadora” Mrożka – znakomite przedstawienie ze wspólnymi kreacjami aktorskimi Tadeusza Łomnickiego, Andrzeja Szczepkowskiego i Stanisława Zaczyka. Znikło też ze scen warszawskich kilka innych spektakli. Cenzura zatrzymała też realizację kilku będących już w próbach sztuk. Niemniej dyskutowany od początku stanu wojennego problem – grać czy nie grać – został rozstrzygnięty na korzyść normalnej pracy artystycznej w teatrze. Teżę taką od początku lansował Kazimierz Dejmek, który był przeciwny także jakimkolwiek projektom bojkotu aktorskiego. Ogólnie znane było jego dosyć rubaszne powiedzonko:

– „Dupa jest do srania, a aktor jest do grania...”

Teatry więc wznowiły swoją działalność, tyle że nie bardzo było dla kogo grać... Publiczność nie przychodziła. Nierzadko odwoływano przedstawienie wobec znikomej frekwencji. Coraz bardziej tragiczne stawało się położenie aktorów, którzy utrzymywali się przedtem ze sporadycznych występów estradowych. I właśnie wówczas powstała ta spontaniczna akcja, która potwierdziła łączącą nas wszystkich solidarną więź. Aktorzy posiadający stałe dochody, będący na etatach w teatrach, dobrowolnie opodatkowali się na rzecz kolegów, którym została odebrana możliwość uprawiania zawodu. I nie było to gest jednorazowy. Pomoc dla niepracujących aktorów napływała też z innych, często anonimowych źródeł.

W tym samym czasie aktorzy rozpoczęli bojkot radia i telewizji, jako wyraz oporu wobec „Wrony”. Trudno dziś ustalić na pewno, kto był prekursorem tej szeroko potem rozwiniętej i solidarnej akcji, ale ja osobiście twierdzę, że bojkot rozpoczęli niektórzy wykonawcy popularnej powieści radiowej „Matysiakowie”. Odmówili dalszego udziału w tej audycji, uważając, że o ile dotąd udawało się w niej za-

mieszczać prawdziwe problemy, które pokrywały się z tym, czym żyli ludzie w swoich domach, to w obecnych warunkach tej szansy nie ma. Jak dowiedzieliśmy się potem, „Matysiaków” chciano wznowić już w okresie Bożego Narodzenia, czyli w tydzień po ogłoszeniu stanu wojennego, ale do tego nie doszło. W pierwszych dniach stycznia wszystkich wykonawców tej audycji zaproszono na spotkanie w prywatnym mieszkaniu Jerzego Janickiego, jednego z autorów radiowej powieści. Na to spotkanie zwożono aktorów radiowymi samochodami, bo wszystkie prywatne były na razie unieruchomione ze względu na brak w sprzedaży benzyny. W spotkaniu wziął udział drugi z autorów „Matysiaków” Władysław Żesławski. Spotkanie było oczywiście zorganizowane dla wywarcia nacisku na wykonawców, aby zgodzili się na planowane wznowienie tej audycji. Ze strony wykonawców padły pytania czy utartym już zwyczajem będzie można zaprezentować w „Matysiakach” różne opinie i oceny obecnej sytuacji. Na przykład krytykę wprowadzenia stanu wojennego przez niektórych członków tej radiowej rodziny. Okazało się, że jest to absolutnie wykluczone. Wobec tego część zespołu odmówiła udziału w tej audycji. Proponowano wobec tego wyjście kompromisowe, polegające na tym aby mający wątpliwości wysłuchali najbliższej audycji i zdecydowali potem czy wezmą w niej udział. Byli i tacy, co z miejsca zadeklarowali gotowość dalszego uczestniczenia. W sumie atmosfera na tym spotkaniu zrobiła się dosyć nieprzyjemna. Moja żona, która w „Matysiakach” grała rolę Elżbiety, żony Gienka, zdecydowanie odmówiła dalszego uczestniczenia w tej imprezie.

W najbliższy piątek o zwykłej porze czekaliśmy w domu z zacięciem na zapowiedziane w programie spotkanie z „Rodziną Matysiaków”. Tymczasem zamiast „Matysiaków”, nadano muzykę, nie informując oczywiście słuchaczy o przyczynach zmiany w programie. Jak dowiedzieliśmy się później, cenzura nie puściła przygotowanej i nagranej audycji.

W pierwszych tygodniach stanu wojennego „Wrona” szukała gwałtownie sojuszników wśród znanych przedstawicieli świata nauki i kultury. Pierwszym, który na to poszedł, był pisarz Wojciech Żukrowski. Wygłosił w Telewizji Warszawskiej panegiryk na cześć stanu wojennego. Warsza-

wiacy zrewanżowali mu się za to, znosząc i zwalając pod progiem mieszkania stosy jego książek. Następnie od czasu do czasu pokazywali się na szklanym ekranie jacyś nie znani nikomu profesorowie. Ciągłe jednak brakowało „Wronie” znanego aktora, lub plastyka. I wtedy sięgnięto do wypróbowanej metody perfidnego fałszerstwa. Pokazano w telewizji znanego i popularnego plastyka Szymona Kobylińskiego, nie informując, że występ był nagrany kilka lat temu w Muzeum Wojska Polskiego. Szymon opowiadał wtedy widzom o jakichś szablach czy czapkach ułańskich, a obok stał kustosz muzeum w mundurze. Oczywiście „Wronie” chodziło o wywołanie wrażenia, że oto znany rysownik swoim ukazaniem się na szklanym ekranie, nobilituje ich poczynania. To łajdactwo osiągnęło swój cel, bo po kilku dniach Szymon Kobyliński znalazł się na czarnej liście w prasie podziemnej. O sprostowaniu w telewizji nie mogło być wtedy mowy. Dopiero po rozgłoszeniu przez Szymona prawdziwych kulis tej mistyfikacji, w jednym z następnych wydań podziemnej prasy ukazało się sprostowanie i przeproszenie. Z własnego smutnego doświadczenia wiem jak trudno zmyć z siebie błoto, którym człowieka niesłusznie obrzucono, dlatego podałem ten przykład, aby jeszcze raz przypomnieć ów fakt i dołożyć swoją cegiełkę do ostatecznego oczyszczenia Szymona z tego haniebnego pomówienia.

Kiedy nie udały się próby nakłonienia na propagandowy występ w telewizji, cieszących się autentycznym autorytetem w środowisku takich przedstawicieli świata teatralnego, jak Dejmek, Holoubek, Świdorski, Szczepkowski czy Warmiński, sięgnięto wreszcie po wypróbowanego działacza partyjnego, a przy tym rzeczywiście wybitnego aktora – Janusza Kłosińskiego. Zapowiedziany uroczystie, jako reprezentant środowiska aktorskiego, Kłosiński odczytał z kartki, to co mu kazano, akceptując konieczność stanu wojennego. W kilka dni później został „wyklaskany” ze sceny Teatru Narodowego. Publiczność po prostu nie pozwoliła mu wygłosić ani jednej kwestii z jego roli, zagłuszając go burzą oklasków. Kłosiński musiał opuścić scenę i więcej się na niej w Teatrze Narodowym nie pokazał. Wyjechał potem na gościnne występy do Elbląga, gdzie miał reżyserować i wystąpić w głównej roli. Do pre-

miery nie doszło, wobec bojkotu teatru przez publiczność. Problem kolaboracji stanął już otwarcie i wymagał zadeklarowania się po jednej czy drugiej stronie. Wyraźnie określił się niespodziewanie dla nas, znany i lubiany dotąd aktor, popularny „kapitan Kloss” Stanisław Mikulski, który zadeklarował też otwarcie swoje poparcie dla „Wrony”. Został również „nagrodzony” przez publiczność warszawską rzęsytymi oklaskami, co doprowadziło do wycofania go w Teatrze Polskim ze wszystkich sztuk, w których występował. W nagrodę za wierność został wkrótce potem dyrektorem Polskiego Ośrodka Kultury w Moskwie.

Ogromna większość aktorów stosowała bojkot radia i telewizji. Środowisko aktorskie wyrosło na grupę społeczną, która zastosowała opór wobec narzuconej sytuacji politycznej w sposób bardzo widoczny i trudny do zwalczenia. Nie można aktora zmusić, aby wystąpił w radiu czy telewizji, jeśli nie ma na to ochoty. Aktor zawsze może powiedzieć, że rola mu nie odpowiada lub że nie ma po prostu czasu. Wielu naszych kolegów odmawiało współpracy, nie bawiąc się w żadne formalne wybiegi. Byli też tacy, którzy przez nieświadomość poszli na współpracę, ale szybko się wycofywali pod prężeniem opinii publicznej. Ratunkiem było przekazanie uzyskanego honorarium na cel społeczny. Bojkot, podjęty spontanicznie przez aktorów, stał się jedną z najbardziej skutecznych form oporu, organizowanego w różny sposób przez polskie społeczeństwo. O innych formach oporu, jak wydawnictwa podziemne, a szczególnie o Poczcie Podziemnej, której zresztą już poświęciłem jedną książkę, będę jeszcze pisał, były to bowiem zjawiska, które przetrwały stan wojenny i funkcjonowały długo po jego odwołaniu.

Na przełomie marca i kwietnia większość związków twórczych zaczęło przywracać sukcesywnie do normalnej działalności. Pozostawały w zawieszeniu te najbardziej krnąbrne, jak Związek Literatów Polskich, Stowarzyszenie Filmowców Polskich i nasz ZASP, nie licząc Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, z którym rozprawiono się w sposób radykalny, po prostu je likwidując. Rozpoczęły się intensywne działania „Wrony” w celu przerwania niewygodnego bardzo dla władzy bojkotu. Zainicjowano zakulisowe rozmowy z czoło-

wymi artystami teatru. Słowo „zakulisowe” jest tu jak najbardziej na miejscu, bowiem unikano prób porozumienia się bezpośrednio z oficjalnym przedstawicielstwem środowiska, jakim było Prezydium ZG ZASP. Próbowano w pierwszym rzędzie zmiękczyć Kazimierza Dejmka, którego znana zasada, do czego jest co... była ogólnie znana. Dejmek nie ukrywał swojej dezaprobaty dla bojkotu, ale pozostawał lojalny wobec swego środowiska i nie dawał się wciągnąć w publiczne jego potępienie. Natomiast wykorzystał swoje bliskie kontakty z wicepremierem Rakowskim dla skutecznych w końcu interwencji w kierunku zwolnienia internowanych kolegów, co mu się w końcu udało. W maju wszyscy zostali zwolnieni, poza jednym Tadeuszem Żylińskim z Opola. Kiedy nasz prezes Andrzej Szczepkowski wybrał się sam do Opola i został przyjęty przez tamtejszego komendanta MO, ten powiedział Andrzejowi: „Dla jego własnego dobra nie mogę go teraz zwolnić, bo facet ma taką niewyparzoną gębę i znów tak narozrabia na wolności, że będziemy go musieli zamknąć na dłużej. Na razie zapewniliśmy mu w ‘internie’ jak najlepsze warunki” – powiedział komendant Andrzejowi – „stan wojenny niedługo się skończy i go wypuścimy. Sam bardzo go cenię jako aktora” – dodał komendant.

Szczepkowski rozbrojony wrócił do Warszawy.

W rozmowach z Rakowskim Dejmek stwierdził, że nie czuje się upoważniony do rokowań w imieniu środowiska, które ma własne, wybrane przez siebie przedstawicielstwo. W konsekwencji władze w sposób półoficjalny przekazały członkom Prezydium ZG ZASP, że warunkiem przywrócenia działalności organizacyjnej stowarzyszenia jest przerwanie przez aktorów bojkotu radia i telewizji. Andrzej Szczepkowski w imieniu Prezydium powtórzył w Ministerstwie Kultury i Sztuki nasze stanowisko, że ZASP, jako zawieszona organizacja nie organizował żadnego bojkotu i nie może go wobec tego odwoływać.

Na początku czerwca 1982 roku zaczęły przeciekać do nas z Ministerstwa Kultury i Sztuki wiadomości o rychłym reaktywowaniu działalności ZASP-u z pominięciem jakichkolwiek warunków.

I rzeczywiście, 25 czerwca usłyszałem w radiu komunikat

o wznowieniu działalności Związku Artystów Scen Polskich.

ZASP został jednak ostatecznie rozwiązany, ale nastąpiło to dopiero pod koniec 1982 roku, kiedy mnie już w kraju nie było. Nie byłem świadkiem późniejszego reaktywowania ZASP-u, jako organizacji podległej i usługowej wobec ówczesnych władz PRL. Do powstania takiego ZASP-u przyczynił się reżyser Henryk Szletyński. Następnym prezesem został aktywny członek partii i działacz związkowy, ale za to mierny aktor Tadeusz Jastrzębowski. Wreszcie pod koniec egzystencji tej namiastki ZASP-u, przejął organizację Kazimierz Dejmek, który swoim nazwiskiem i wysokim autorytetem, jakoś ją uwiarygodnił. Znakomity artysta teatru, ale jednocześnie bardzo kontrowersyjny w swoich opiniach, szorstki i czasami nawet ordynarny w obęjściu z ludźmi. Można by mu to jeszcze wybaczyć, jako wielkiemu artyście. Ale kiedy mianowany w roku 1993, ministrem kultury i sztuki, Kazimierz Dejmek określił bojkot radia i telewizji przez aktorów w okresie stanu wojennego, jako gest „kabotyński”, wystąpienie to oburzyło głęboko środowisko teatralne, czemu wcale się nie dziwię. W opinii nie tylko samego środowiska, ale i większości społeczeństwa, bojkot aktorski pozostanie na zawsze piękną kartą historii tych czasów.

Anatol KOBYLIŃSKI

Fragment książki „Wędrowki Pana Anatola”, Oficyna Wydawnicza Agawa.

RECENZJE

Piotr WANDYCZ

NOWE KSIĄŻKI

Chroniczny brak czasu powoduje, iż moje krótkie przeglądy nowych publikacji historycznych stają się coraz rzadsze. Od momentu napisania ostatniej recenzji w 1993 roku ukazało się tyle ważnych pozycji, że nie sposób ich ogarnąć. Z tego powodu poniższy wybór będzie jeszcze bardziej wyrywkowy i arbitralny niż dotąd, a nie-uwzględnienie jakiejś pracy nie będzie oznaczało pomniejszania jej wagi i znaczenia.

Zacznijmy od wielkich syntez. Pod redakcją Janusza Tazbira ukazała się w 1995 r. nakładem PWN praca zbiorowa pt. „Polska na przestrzeni wieków”. W ponad 700 stron liczącym tomie okres od 1506 roku opracował Henryk Samsonowicz, od 1506-1586 Andrzej Wyczański, lata 1586-1696 Tazbir, epokę 1696-1795 Jacek Staszewski, okres 1795-1904 Tomasz Kizwalter, 1904-1939 Tomasz Nałęcz a wreszcie ostatnie półwiecze 1939-1989 Andrzej Paczkowski. Chciałbym zwrócić szczególną uwagę na tego ostatniego autora, historyka średniego pokolenia (ur. 1938), który znajduje się obecnie w czołówce badaczy najnowszych dziejów Polski. Czytelnik pragnący się bliżej zapoznać z jego twórczością winien przestudiować jego dzieło, które ukazało się nakładem PWN pod tytułem „Pół wieku dziejów Polski”

1939-1989". Liczy ono prawie sześćset stron i stanowi najciekawszą do tej pory syntezę tego okresu. Jak autor podkreśla we wstępie, książka nie jest zamierzona jako podręcznik, traktuje raczej o szerszych zagadnieniach. W tym sensie stanowi dobre uzupełnienie podręcznikowego tomu Wojciecha Roszkowskiego, którego ostatnia wersja wyszła jako „Historia Polski 1914-91” w 1992 r. Piszę ostatnia wersja, ponieważ dzieło to znamy, wydane początkowo pod pseudonimem Andrzej Albrecht, jako bardzo ważną pozycję drugiego obiegu, a później w rozszerzonych wydaniach. Tom wydany przez Polonię liczył na przykład ok. tysiąca stron. Roszkowski i Paczkowski kierują obecnie Instytutem Studiów Politycznych – jedną z najważniejszych i najbardziej produkcyjnych placówek PAN-u, jakie powstały po 1989 r.

Związany z powyższym Instytutem i prowadzący od kilkunastu lat dział historyczny w *Więzi*, Andrzej Friszke, zalicza się również do czołówki młodszych historyków XX wieku. Jego „Opozycja polityczna w PRL 1945-1980” wydana w 1994 r. w Londynie przez Aneks zasługuje na szczególną uwagę, tak ze względu na bogatą treść, jak i na ciekawe sformułowania i oryginalne ujęcia. Do innych książek Andrzeja Friszke wrócimy poniżej.

Wśród wielkich syntez wyróżniają się m.in. także dobrą formą graficzną, znacznie zmieniona „Historia ustroju i prawa polskiego” (PWN, 1994) Juliusza Bardacha, Bogusława Leśnodorskiego i Michała Pietrzaka; zbiorowe „Dzieje sejmiku polskiego” (nakładem Wydawnictwa Sejmowego, 1993) pod ogólną redakcją Juliusza Bardacha i wreszcie opóźniony przez wiele lat czwarty tom „Historii dyplomacji polskiej” (okres międzywojenny) pod redakcją Piotra Łossowskiego – wycofany przez PWN w 1995 r. Bardzo to cenna publikacja, obejmująca, jako całość dziesięć wieków polskiej dyplomacji. Przy tej okazji można wyrazić żal, że dużo skromniejsze wydawnictwo (i wielkością, i ceną kosztów produkcji) a mianowicie drugi tom „Dokumentów z dziejów polskiej polityki zagranicznej 1918-1939” wciąż jeszcze nie ujrzał światła dziennego. A od wielu lat jest już gotów do druku.

Wśród licznych publikacji o tematyce dyplomatycznej na uwagę zasługują: dwie księgi pamiątkowe ku czci Ambasadora Edwarda Raczyńskiego i z okazji siedemdziesiątej rocznicy urodzin Piotra Łossowskiego. Pierwsza nosi tytuł „Z dziejów dyplomacji polskiej” (Wydawnictwo Sejmowe, Warszawa

1994) i składa się z dwudziestu ośmiu artykułów czołowych historyków z kraju i emigracji, traktujących o zagadnieniach od XVI w. do 1939 r. Druga zatytułowana „Międzymorze” (Instytut Historii PAN, 1995) zawiera trzydzieści pięć przyczynków dotyczących głównie Polski i jej sąsiadów w XIX i XX w. Interesujący jest nieduży tom obejmujący materiały z sesji naukowej pt. „Rola i miejsce Polski w Europie 1914-1957” pod redakcją Andrzeja Kortna (Warszawa, 1994). Na szczególną uwagę zasługuje nowa książka nestora polskich historyków dyplomacji Henryka Batowskiego pt. „Zachód wobec granic Polski 1920-1940. Niektóre fakty mniej znane.” (Łódź, 1995).

„Oryginalną i udaną próbę przedstawienia całokształtu polityki wschodniej Polski” – by użyć lapidarnego sformułowania Łossowskiego, stanowi tom Wojciecha Materskiego, „Tarcza Europy. Stosunki polsko-sowieckie 1918-1939”, nakład „Książki i Wiedzy”, 1995 r. Tematyki polsko-rosyjskiej dotyczą dwie cenne i stymulujące prace Andrzeja Nowaka, wybitnego historyka młodszej generacji (ur. 1960), czynnego również jako redaktor krakowskiego pisma „Arcana”. Pierwsza chronologicznie, to „Między carem a rewolucją. Studium politycznej wyobraźni i postaw Wielkiej Emigracji wobec Rosji 1831-1849” (Warszawa, 1994). Drugie dzieło zatytułowane „Jak rozbić rosyjskie imperium? Idee polskiej polityki wschodniej 1733-1921” (Warszawa, 1995) wnosi wiele dobrych sformułowań i materiałów do rozważań, jak też i nowych źródeł. Rozdział V o wschodniej polityce Piłsudskiego jest szczególnie ciekawy.

Tematyki ukraińskiej dotyczy kilka ważnych książek. Treściwy i dobry zarys dziejów dał Tadeusz Andrzej Olszański w tomie pt. „Historia Ukrainy XX w.” wydanym w Warszawie w ubiegłym roku. Autor nie jest zawodowym historykiem i praca ma charakter popularny, zawiera jednak bardzo pożyteczną bibliografię, a sposób pisania autora jest nie tylko przejrzysty i interesujący, ale wskazujący na próbę maksymalnego obiektywizmu. Ze wszech miar pożyteczna to książka. Inny charakter nosi dzieło wydane po angielsku w USA pióra emerytowanego kustosa działu słowiańskiego na Uniwersytecie Kansas, Michaela Palija, „The Ukrainian-Polish Defensive Alliance 1919-1921. An Aspect of the Ukrainian Revolution”. (Canadian Institute of Ukrainian Studies Press, Edmonton, Toronto, 1995). Pomimo imponu-

jącej bibliografii, zwłaszcza publikacji ukraińskich (nie jest jasne z jakich archiwaliów polskich autor korzystał), praca ta nie wnosi tak wiele jak by się można spodziewać. Interpretacje są raczej tradycyjne a jeśli chodzi o stronę polską miejscami dość powierzchowne. Autor przyjmuje postawę defensywną, starając się wszędzie usprawiedliwiać swoją stronę a krytykować drugą – skąd my to znamy? Jako przyczynek do dziejów Ukrainy jest to zapewne wartościowa pozycja – jako dogłębne studium paktu z 1920 r. stanowi pewne rozczarowanie.

Praca habilitacyjna Janusza M. Kupczaka, „Polacy na Ukrainie w latach 1921-1939” (Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, 1994) jest pracą pionierską, opartą na bogatym materiale źródłowym. Tragiczna to lektura, choć autor stara się uniknąć martyrologicznego tonu. W zakończeniu postuluje on potrzebę dalszych badań we współpracy z ukraińskimi historykami, od których jak pisze doznał „wiele życzliwości i pomocy” podczas swego pobytu w Kijowie.

Wysiłki środowisk naukowych w kierunku pogłębiania współpracy polsko-ukraińsko-białorusko-litewskiej znajdują odbicie w dwóch niedawnych publikacjach. Jedną z nich jest nieduża książka zawierająca materiały z sesji naukowej pt. „Naród i religia”, sponzorowanej przez Instytut Historii Uniwersytetu Gdańskiego, Towarzystwo Polsko-Ukraińskie w Gdańsku, Związek Ukraińców w Polsce i Koło Naukowe Historyków Uniwersytetu Gdańskiego, wydana w 1994 r. Druga, pomimo angielskiego tytułu – „Belarus, Lithuania, Poland, Ukraine. The Foundations of Historical and Cultural Traditions in East Central Europe” – zawiera większość artykułów w językach: polskim, ukraińskim i białoruskim. Są to materiały z konferencji rzymskiej z 1990 r. otwierającej cykl spotkań, które odbyły się w następnych latach w Trokach, Grodnie, Kamieńcu Podolskim, Lublinie i znów w Rzymie (w 1995 r.). Obszerny tom z fotografią z audyencji u Ojca Świętego, wydany został nakładem Instytutu Europy Środkowo-Wschodniej w Lublinie (dyrektor prof. Jerzy Kłoczowski) i Fundacji Jana Pawła II w 1994 r.

Wracając do książek z dziejów stosunków międzynarodowych, specjaliści tej dziedziny muszą wyrazić szczególną radość z ukazania się od dawna wyczekiwanego dzieła Henryka Bułhaka, „Polska-Francja. Z dziejów sojuszu 1922-1939”. cz. I, 1922-1932, nakładem Fundacji „Historia pro Futuro”,

Warszawa, 1993. Autor, idący śladami pionierskiej pracy płk. Jana Ciałowicza o sojuszu polsko-francuskim, znakomicie przedstawił dzieje tego aliansu, kładąc główny nacisk na stronę wojskową, w oparciu o wszystkie możliwe zespoły archiwalne w Polsce, Francji, Anglii i USA. Książka jest wynikiem benedyktyńskiej iście pracy trwającej od lat. Daje nam najpełniejszy wgląd w stosunki sojusznicze polsko-francuskie i najbardziej wyważony osąd tego ważnego okresu w ich dziejach. Henryk Bułhak, historyk wojskowości i autor szeregu cennych artykułów z tej dziedziny, nie zawiodł naszych oczekiwań. Mam nadzieję, że możemy teraz liczyć na rychłe ukazanie się dalszego tomu, do którego, o ile wiem, zebrał już wszystkie materiały.

Dwie książki dotyczące polityki Stanów Zjednoczonych winny wzbudzić duże zainteresowanie ze strony polskiego czytelnika tak w kraju, jak i na Zachodzie. Są to: Bohdan Grzełoński, „Dyplomacja Stanów Zjednoczonych wobec zagrożenia Czechosłowacji i Polski. 12 marca 1938 – 1 września 1939”, wydana przez Szkołę Główną Handlową w Warszawie w 1995 r. oraz Andrzej Mania, „The National Security Council i amerykańska polityka wobec Europy Wschodniej 1945-1960” nakładem UJ (Kraków, 1994). Grzełoński, znany już z uprzednich publikacji na tematy amerykańskie, podjął temat mało znany a istotny dla zrozumienia dyplomacji Waszyngtonu w następnych latach – narrację chronologiczną poprzedzającą rozdziały tematyczne analizujące strukturę Departamentu Stanu i placówek dyplomatycznych a także rolę prezydenta. Mania skupił swą uwagę na *National Security Council* w okresie lat Zimnej Wojny, omawiając jego powstanie, organizację i rolę w amerykańskim systemie politycznym, a następnie przedstawiając obraz polityki zagranicznej poprzez pryzmat NSC. To nowe podejście jak i skrupulatne wykorzystanie nowych źródeł, znacznie wzbogaca naszą znajomość okresu prezydentury Eisenhowera i jej wymiaru w poczynaniach dyplomatycznych.

Skoro mowa o Ameryce warto zasygnalizować zupełnie innego typu pracę a mianowicie interesujący wybór listów emigrantów polskich do redakcji czasopism ludowych w latach 1899-1938. Książkę zatytułowaną „Listy emigrantów” (Rzeszów, 1994) opracował publikujący dużo, zwłaszcza bardzo pożyteczne materiały źródłowe, Andrzej Pasternak z Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Rzeszowie.

Wracając do stosunków międzynarodowych z akcentem położonym na Europę środkowo-wschodnią tak jak wyłoniła się ona po pierwszej wojnie światowej i jak ją widzimy dzisiaj, należy zwrócić uwagę na „Wilsonian East Central Europe: Current Perspectives” (New York, 1995) pod redakcją Johna S. Micgiela. Są to materiały z konferencji naukowej zorganizowanej przez Instytut Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku i Instytut Środkowo-Wschodnioeuropejski Uniwersytetu Columbia. Wydawcą jest Instytut Piłsudskiego, a wśród autorów mamy zarówno historyków krajowych, jak Henryk Bułhak, Adolf Juzwenko, Włodzimierz Suleja i Zbigniew Wójcik, jak i ze Stanów (Mieczysław Biskupski, Anna M. Cieniela, Janusz Cisek, T. Gromada, P. Wandycz, oraz nie związani z Polską Peter Pastor i Claire Nolte). Interesujące komentarze wnieśli Kay Lundgreen-Nielsen, S. Blejwas i zastępujący ambasadora R.P. w Waszyngtonie, Maciej Kozłowski.

Myśląc o ówczesnym ambasadorze w Waszyngtonie Kazimierzu Dziewanowskim nie sposób nie powiedzieć choćby paru słów o jego nowej książce, jakkolwiek nie jest to dzieło historyczne. „Polityka w sercu Europy” (Warszawa, 1995) to logiczne, przejrzyste i przekonująco skonstruowana analiza kontekstu i problematyki polskiej polityki zagranicznej. Znany jako wybitny pisarz i publicysta, autor potrafił uniknąć suchego i „zawodowego” wykładu, który mógłby zainteresować jedynie specjalistów. Dał nam natomiast niedużą, ale jakże treściwą książkę, którą czyta się świetnie i która wnosi dużo materiału do refleksji.

Tematyka emigracyjna jest coraz częściej opracowywana w kraju, lub wspólnie przez historyków polskich na Zachodzie wraz z „krajowcami”. Przykładem jest olbrzymi, około 1000 stron liczący tom pod redakcją Zbigniewa Błazyńskiego, „Władze RP na obczyźnie podczas II wojny światowej” nakładem Polskiego Towarzystwa Naukowego na Obczyźnie, Londyn, 1994. Okres francuski opracował znany czytelnikom *Zeszytów Historycznych* Tadeusz Wyrwa, a brytyjski, jeśli chodzi o stronę polityczną, Michał J. Zacharias, Henryk Batowski, Magdalena Hułas, Antoni Józef Bogdanowicz, Andrzej Suchcitz i Romuald Turkowski. Część zatytułowana „Polityka wojskowa” jest pióra Zbigniewa Wawera i Marka Ney-Krwawicza; „Polityka krajowa” zawiera rozdziały Andrzeja Friszke i Andrzeja Leśniewskiego; „Polity-

ka zagraniczna” składa się z opracowań Marka Kazimierza Kamińskiego i Edwarda Kołodzieja i drobniejszych przyczynków Kamińskiego, Józefa M. Zarańskiego i P. Wandycza. Kalendarium, noty biograficzne, wybór bibliografii i indeks opracowała Barbara Janicka. Trudno przecenić wartość i użyteczność tego podstawowego dzieła tak dla zawodowych historyków, jak i dla szerszego grona czytelników.

W wyniku wspólnej inicjatywy londyńsko-krakowskiej – Instytutu Polskiego i Polskiej Akademii Umiejętności – ukazał się w 1994 r. pierwszy tom „Protokołów z posiedzeń Rady Ministrów Rzeczypospolitej Polskiej – październik 1939-czerwiec 1940”. Tom opracował Wojciech Rojek przy współpracy Andrzeja Suchcitza. Tom drugi obejmujący okres od czerwca 1940 do czerwca 1941 r. już się ukazał, ale nie miałem go jeszcze w ręce. Inny, ciekawy zbiór dokumentów wydało Wydawnictwo Sejmowe w Warszawie w 1995 r. w opracowaniu Andrzeja Garlickiego i Andrzeja Paczkowskiego pt. „Zaciskanie pętli: tajne dokumenty dotyczące Czechosłowacji 1968 r.”. Wreszcie chciałbym wspomnieć o trzeciej kolekcji dokumentów wydanych w Pradze a odnoszących się do rokowań polsko-czechosłowackich w Londynie w latach 1940-43. Tom ten omawiam oddzielnie.

Dwie prace zbiorowe pod redakcją Andrzeja Friszke niewątpliwie zainteresują czytelników polskich w kraju i na emigracji, bo dotyczą tematyki, która wciąż jeszcze nie jest w pełni opracowana. Są to: „Warszawa nad Tamizą: z dziejów polskiej emigracji politycznej po drugiej wojnie światowej” (Warszawa, 1994) i „Myśl polityczna na wygnaniu: publicyści polscy i politycy polskiej emigracji powojennej” (Warszawa, 1995). Podczas gdy w pierwszym tomie mamy opracowania na temat życia i partii politycznych; drugi tom przedstawia takie sylwetki jak Adam Pragier, Tadeusz Bielecki, Wojciech Wasiutyński, Adam Ciołkosz, Zygmunt Zaremba, Rowmund Piłsudski, Juliusz Mieroszewski, (jego pisarstwo omawia Rafał Habielski), Zdzisław Stahl i Józef Mackiewicz. Publicystyka londyńskich *Kontynentów* jest zreferowana osobno. Obie pozycje stanowią niewątpliwie *novum*.

Na zakończenie chciałbym zasygnalizować ukazanie się kilku dzieł, których wspólny mianownik stanowi problematyka narodowo-narodowościowa i historiografia. Do tej drugiej kategorii należy „Powrót do historii: Europa Środkowo-Wschodnia w historiografii” pod redakcją Wiesława

Balceraka – Wydawnictwo Instytutu Historii PAN w 1994 r. Do pierwszej kategorii zaliczyłbym dzieło francuskiego historyka z Sorbony, specjalisty dziejów naszego regionu Bernarda Michela pt. „Nations et nationalismes en Europe centrale XIX^e et XX^e s.” (Paris, 1995); tom zatytułowany „Polska i małe ojczyzny Polaków” (Wrocław, 1994) pióra znanego historyka gdańskiego Romana Wapińskiego – bardzo to wartościowe pozycje – a wreszcie zbiór materiałów z konferencji międzynarodowej pod redakcją André Gerritsa i Nanci Adler, „Vampires unstaked: national images, stereotypes and myths in East Central Europe” (Amsterdam, 1995). W tym ostatnim tomie znajdujemy przyczynki historyków polskich: Jerzego Jedlickiego, Krystyny Kersten i Piotra Wandycza. Znaczenie stereotypów i mitów narodowych jest teraz szczególnie podkreślane przez historiografię. Przykładowo tom 2-1995 *Dziejów Najnowszych* zawiera czternaście artykułów na ten temat.

Last but not least, wymieniany już uprzednio w tym przeglądzie Włodzimierz Suleja ogłosił nową biografię Józefa Piłsudskiego. Jest to ewenement, który zasługuje na oddzielne omówienie. Recenzja (entuzjastyczna) pióra niżej podpisanego ukaże się w najbliższym tomie *Niepodległości* – nie wątpię, iż książka ta będzie obszernie recenzowana w *Zeszytach Historycznych*.

Piotr WANDYCZ

Tadeusz WYRWA

HISTORYCY O AGRESJI 17 WRZEŚNIA 1939

Wśród różnych symbolicznych dat, data sowieckiej agresji na Polskę ma szczególną wymowę nie tylko w dziejach naszego Kraju, ale również w historii Europy, zwłaszcza

środkowo-wschodniej. Chodziło bowiem o zapoczątkowaną wówczas przez Moskwę politykę podporządkowania sobie tej części Europy i w oparciu o nią o odegranie decydującej roli w tworzonej układzie polityki światowej, który – na tym etapie – ukoronowano ustanowieniem systemu jałtańskiego. Na ten temat, w szeroko ujętym kontekście międzynarodowym, została opublikowana, nakładem Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie, praca zbiorowa pod redakcją prof. Henryka Batowskiego, zawierająca kilkanaście referatów oraz głosy w dyskusji z ogólnopolskiej konferencji historyków¹.

Inicjatorem i organizatorem tej konferencji był Henryk Batowski, emerytowany profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego. Pomysł konferencji powstał w dość osobliwych okolicznościach, którym warto poświęcić kilka słów. Otóż we wrześniu 1992 roku, staraniem historyków fińskich odbyła się, w ramach Międzynarodowego Komitetu Nauk Historycznych, konferencja poświęcona problemom neutralności w najnowszej historii. Prof. Batowski był tam jedynym wtedy przedstawicielem historyków polskich. Zgodnie z programem, na konferencji wystąpił prof. A. Czubarian, historyk rosyjski, wygłaszając referat pt. „Neutralność ZSSR w pierwszym okresie II wojny światowej”, w którym nie było żadnej nawet wzmianki o 17 września 1939. Prof. Batowski zabrał na ten temat głos i następnie przekazał pisemną replikę, której jednak nie zamieszczono w opublikowanym tomie referatów. To też było powodem, że prof. Batowski powziął zamiar zorganizowania zbiorowej reakcji historyków polskich na ciągłe sprzeniewierzanie się prawdzie w historiografii rosyjskiej. W wyniku jego starań przystąpiono do przygotowania konferencji, która odbyła się w Krakowie w 1993 roku.

W pierwotnym założeniu miała to być konferencja o międzynarodowym charakterze, ale – jak pisze profesor we wprowadzeniu do omawianego tutaj tomu – „nie udało się niestety uzyskać środków pozwalających na zaproszenie również historyków z krajów Europy Środkowej i Zachodniej”. Wyjątek stanowiło, o czym z kolei mowa jest w zakończeniu, wysłanie zaproszenia do „kolegów rosyjskich” z Instytutu

1. „17 września 1939”. Materiały z ogólnopolskiej konferencji historyków, pod redakcją Henryka Batowskiego. Kraków, 25-26 października 1993. Polska Akademia Umiejętności, Kraków 1994, str. 252.

Historii Powszechnej Rosyjskiej Akademii Nauk. Na dwa listy polecane nie otrzymano jednak żadnej odpowiedzi i nikt też nie przyjechał. Wracając jeszcze do nieprzyznania funduszy na zaproszenie uczonych z Zachodu, to trudno powstrzymać się od uwagi, że jednocześnie szasta się pieniędzmi na różne przyjęcia w ambasadach, oraz na wysyłanie za granicę kosztownych delegacji i licznych świt, jakie zwykle towarzyszą nie tylko naczelnym władzom państwa, ale również rozmaitym funkcjonariuszom, dobrze uplasowanym w urzędniczej hierarchii.

Wspomniany wyżej tom materiałów z odbytej w Krakowie konferencji zawiera 14 referatów profesorów z różnych uniwersytetów i instytutów. Tom ten otwiera szkic historyczny H. Batowskiego (Kraków) pt. „Antecedencje 17 września 1939 r.”, po którym zamieszczone są referaty w następującej kolejności: Eugeniusz Duraczyński (Warszawa): „Polska w polityce Moskwy latem 1939 r.”. Andrzej Drawicz (Warszawa): „Literatura rosyjska a 17 września 1939”. Andrzej Korzon (Warszawa): „Wybrane tematy z historiografii sowieckiej i rosyjskiej o 17 września 1939 r. i jego konsekwencjach”. Roman Wapiński (Gdańsk): „Rezultat kalkulacji czy chciejstwa? Kwestia współdziałania Niemiec i ZSSR przed 17 września 1939 roku w wyobrażeniach polskich środowisk przywódczych (Zarys problematyki)”. Józef Buszko (Kraków): „17 września w opiniach polskiej historiografii emigracyjnej (Wybrane pozycje)”. Stanisław Sierpowski (Poznań): „Ewolucja sytuacji międzynarodowej u schyłku okresu międzywojennego”. Marian Zagórniak (Kraków): „Współpraca wojskowa Niemiec i ZSSR przed agresją 17 września 1939 r. i działania Armii Czerwonej na terytorium II Rzeczypospolitej”. Antoni Czubiński (Poznań): „Miejsce Polski w hitlerowskich planach ekspansji i podbojów”. Piotr Łossowski (Warszawa): „Agresja 17 września 1939 r. a państwa bałtyckie”. Mieczysław Nurek (Gdańsk): „Dyplomacja brytyjska wobec militarnej i politycznej agresji ZSSR (wrzesień-październik 1939)”. Władysław A. Serczyk (Białystok): „Ukraińskie kłopoty z 17 września 1939 roku”. Stanisław Stępień (Przemyśl): „Echo 17 września 1939 r. na Ukrainie – współczesne rozumienie pojęcia nacjonalizmu w ukraińskim życiu politycznym”. Mikołaj Iwanow (Wrocław): „Białorusini Zachodniej Białorusi wobec agresji sowieckiej 17 września 1939 roku”.

Szeroki wachlarz problemów i nowatorskie niejednokrotnie ich ujęcie, oraz międzynarodowy kontekst, w jakim wydarzenia zostały przedstawione, stanowią cenny wkład do najnowszej historii Polski. O tym zasięgu i wykorzystanych źródłach, jest to właściwie pierwsza tego rodzaju publikacja. Nie oznacza to oczywiście, że temat został wyczerpany. Wiele jest jeszcze do zrobienia i to też głównie zależeć będzie od możliwości wykorzystania archiwów rosyjskich. Do dzisiaj np. nie są dokładnie znane przygotowania sowieckie do agresji na Polskę. Nie zostało też ustalone czy Stalin znał decyzję, powziętą 12 września 1939 roku w Abbeville przez francusko-brytyjską Najwyższą Radę Wojenną, z udziałem premierów Daladiera i Chamberlaina, o niepodjęciu ofensywy celem wsparcia Polski, którą już wtedy odpisano na straty. Do wyjaśnienia tego, jak i innych problemów, mogliby zapewne przyczynić się historycy z Zachodu, nieobecni niestety na sesji w Krakowie z powodów, o których była już mowa.

Pierwszorzędne znaczenie konferencji i opublikowanych w jej wyniku materiałów, co jest główną zasługą prof. Batowskiego, polega na ukazaniu agresji sowieckiej jako jednego z podstawowych ogniw rozpętanej drugiej wojny światowej, a więc agresji, której zasięg nie ograniczał się do inwazji na Polskę, ale na wcieleniu do ZSSR państw bałtyckich, które były następłą tego wszystkiego ofiarą. W znajdującym się tekście omawianego tomu, prof. Gerard Labuda, prezes Polskiej Akademii Umiejętności, pisze, że ludzie tworzą dzieje, ale „głównymi twórcami obrazu dziejów są jednak historycy”, stąd i przeświadczenie, że odbyta ogólnopolska konferencja historyków o wydarzeniach związanych z 17 września jest „ważnym etapem w odgruzowywaniu prawdy historycznej spod nasypu historiograficznych przeinaczeń” – nagromadzonych, przeważnie świadomie, tak w Polsce, jak i w innych krajach.

Tadeusz WYRWA

ZACHÓD A GRANICE POLSKI 1920-1940*

W dorobku naukowym profesora Batowskiego mieści się wiele prac traktujących o dyplomacji europejskiej ze szczególnym uwzględnieniem sprawy polskiej w okresie międzywojennym i w latach drugiej wojny światowej. W miarę tego jak możliwy staje się dostęp do archiwów zagranicznych, profesor Batowski przystępuje do powtórnego opracowania tematu i prace jego wzbogacone o nowe dokumenty ukazują się w nowej, rozszerzonej wersji. Tak było i tym razem. Udostępnienie dokumentów przechowywanych w archiwach francuskich i możliwość wyciągnięcia dodatkowych wniosków z materiałów znajdujących się w archiwach angielskich i niemieckich w Bonn spowodowało, że Autor przystąpił na nowo do opracowania poświęconego stosunkom Polski z Zachodem w okresie międzywojennym i w czasie drugiej wojny światowej do momentu kapitulacji Francji w 1940 roku*.

Interesował go głównie stosunek rządów Francji i Anglii do sprawy granic Polski, ale ujmuje ten problem szeroko w powiązaniu z polityką zagraniczną Anglii i Francji w latach 1920-1940. Okres międzywojenny traktuje on jako swoiste wprowadzenie dla lepszego zrozumienia polityki Paryża i Londynu wobec Polski tuż przed wybuchem wojny i w czasie jej trwania do klęski Francji.

W sposób zwięzły naszkicowany został stosunek obu mocarstw do Polski. Wyjaśnia Autor jak bardzo różne względy kierowały Francją bliższą Polsce i Anglią nieufną Polsce przez wiele lat, aż do silnego zwrotu w sensie pozytywnym od marca 1939 r. Wydaje mi się jedynie, że punktem wyjściowym tych rozważań powinno być zachowanie się Francji i Anglii wobec Polski w 1919 r. na Konferencji Paryskiej, bo już wtedy ujawniły się dwa odmienne stanowiska, u podstaw których leżał stosunek

* Henryk Batowski, „Zachód wobec granic Polski 1920-1940”. Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1995, ss. 235.

Paryża i Londynu wobec pokonanych Niemiec, a nie rok 1920. Akceptując rozwiązania przyjęte w Locarno nie tylko Wielka Brytania, ale i Francja milcząco godziła się na to, że sprawa granicy polsko-niemieckiej może stać się przedmiotem dyskusji (s. 17). Rewizjonistyczne hasła propagandy niemieckiej i fala ataków na polską granicę zachodnią, zwłaszcza na dostęp Polski do Bałtyku, wzmagająca się w latach 1925-34, zyskiwała zrozumienie coraz szerszych kół brytyjskiej opinii publicznej, a także w mniejszym stopniu i francuskiej. A we francuskim MSZ stwierdzono, że układ polsko-francuski nie nakładał na Francję obowiązku gwarantowania integralności terytorialnej Polski.

O słuszności swego sprzeciwu wobec niemieckich dążeń w sprawie Gdańska, Polska nie potrafiła przez cały okres powersalski przekonać swojej sojuszniczki Francji, a tylko z trudem i nie w pełni znalazła w tej sprawie zrozumienie w roku 1939.

W tym kontekście można zrozumieć, dlaczego Polska zdecydowała się przyjąć propozycję niemiecką zawarcia porozumienia, wykluczającego użycie siły w stosunkach polsko-niemieckich i minister J. Beck podpisał deklarację o nieagresji z 26 stycznia 1934 r. W pracy nie wyjaśniono jaki był strategiczny aspekt zysków Niemiec z układu z Polską, na co zwrócono uwagę nie tylko w Londynie ale i w Paryżu, a ograniczono się do wskazania, że przygotowywany w ścisłej tajemnicy przed sprzymierzoną Francją krok ten po jego ujawnieniu wywołał w Paryżu zaskoczenie i urazę do Polski.

Rozdział pracy „Ostatnie miesiące pokoju” jest krótkim podsumowaniem naszej wiedzy o tym okresie. Bezsprzeczne pozostaje fakt, że dyplomacja polska nie rozpoznała skutków porozumienia sowiecko-niemieckiego z sierpnia 1939 r.

Zarówno minister Beck jak i wiceminister Szembek nie mieli złych przeczuć, gdy chodziło o zachowanie ZSSR – stwierdza Autor (s. 50). A rząd polski nie zdawał sobie sprawy z tego, że w przededniu II wojny światowej Francja i Wielka Brytania były zdecydowane bronić niepodległości Polski, ale nie istniejących wtedy granic polskich (s. 53).

Ani Anglia ani Francja nie pośpieszyły nazajutrz po najeździe niemieckim na Polskę z wojskową pomocą. Były one w istocie rzeczy nie przygotowane do rozpoczęcia działań zaczepnych. Co więcej, łudziły się jeszcze, że uda się porozumieć z Hitlerem, za cenę ustępstw, kosztem Polski (s. 60).

Jak sam autor dowodzi w przedmowie, „W strategii politycznej nikt nie kieruje się sentymentami i dba najpierw o własne interesy, a o sprawy inne tylko wtedy, gdy one nie kolidują z tymi interesami”.

A w innym miejscu pisze, że zarówno w społeczeństwie francuskim jak i angielskim istniały nadal pewne tradycje niekorzystne dla interesów polskich, co łączy się z prowadzoną w okresie międzywojennym antypolską propagandą, idącą na spotkanie rewizjonistycznym tendencjom niemieckim. Szkodziły sprawie polskiej – o czym też czytamy w pracy – wewnętrzne polskie spory i akty niechęci wobec przebywających na emigracji polityków sanacyjnych”.

W tym kontekście widzi Autor ingerencję rządu francuskiego w sprawy polskie i ingerowanie w suwerenne prawo władz polskich nawet w tak zasadniczej sprawie jak odrzucenie desygnowanego przez prezydenta I. Mościckiego, jako następcę – generała Wieniawę-Długoszowskiego, czy też mianowanie generała Władysława Sikorskiego premierem rządu na emigracji zgodnie z życzeniem rządu francuskiego.

Bardzo charakterystyczna dla stanowiska zajmowanego wobec Polski była postawa rządów sojuszniczych wobec wydarzeń z 17 września. Faktycznie aprobowwały one aneksję ziem polskich na wschód od Bugu i Sanu, co dawało dyplomacji sowieckiej korzystny argument powoływania się na Linie Curzona, która była przecież proponowana w 1920 roku jako linia graniczna między Polską a ZSSR m.in. dlatego, że ziemie te były zamieszkiwane głównie przez ludność ukraińską i białoruską.

Jak stwierdza Autor w trzeciej części swej pracy zatytułowanej „Droga do połowicznej równorzędności”, sojusznicy od jesieni 1939 do wiosny 1940 r. uznawali w pełni potrzebę wyzwolenia ziem polskich spod okupacji niemieckiej i przywrócenia tam władzy suwerennego państwa polskiego bez wysuwania warunku, że Polska musi odzyskać w całości swe przedwojenne granice. Nie zajmowali oni identycznego stanowiska w odniesieniu do ziem zajętych po 17 września przez ZSSR.

Szczególnie interesująca jest opinia w sprawie granic opracowana przez byłego sekretarza ambasady w Berlinie a potem zatrudnionego w Departamencie Centralnym londyńskiego MSZ-u Ivone Augustine Kirpatricka. Na dokumencie widnieje data 1 X 1939. W tym dokumencie przedstawił on

stanowisko wobec możliwej oferty pokojowej z Berlina. Czytamy tam, że nie ma już mowy o granicach Czecho-słowacji sprzed Monachium. Mowa jest o tym, że należałoby uznać żądania niemieckie wobec Śląska i Pomorza tak jak rosyjskie wobec ziem zagarniętych we wrześniu 1939. Tych ziem przynajmniej na razie Wielka Brytania nie będzie rewindykować dla Polski. Na dokumencie tym następnego dnia znalazła się paraфа podsekretarza stanu A.G. Cadogana, bez żadnych uwag, co można – jak pisze Autor – interpretować jako aprobatę. I w Londynie, i w Paryżu zastanawiano się wtedy do kwietnia 1940 r. nad możliwością nawiązania kontaktu z niemiecką prawicową opozycją, o czym nie informowano rządu polskiego, głównie chyba dlatego, że w tych kontaktach rządy sojusznicze skłonne były czynić Niemcom ustępstwa terytorialne kosztem ziem polskich. Ten rozdział pracy dotyczący pertraktacji z różnymi grupami opozycji antyhitlerowskiej i próby podejmowane także przez różne czynniki postronne, amatorskich pośredników z różnych krajów, zasługuje na specjalną uwagę. Sposób nawiązywania kontaktów świadczy o tym, jak mało było wiadomo co się naprawdę w Niemczech działo i jak błędnie odczytywano nastroje tam panujące. Spodziewano się nawet, że można nakłonić Göringa do wystąpienia przeciw Hitlerowi i można będzie z nim porozumieć się i zawrzeć pokój. Tak zwany „pokój kompromisowy” musiałby niewątpliwie wypaść na niekorzyść Polski.

Reasumując stwierdzam, że recenzowana praca ułatwia zrozumienie skomplikowanych problemów związanych z polityką rządów zachodnich do spraw polskich w przededniu wybuchu wojny i w czasie jej trwania, do klęski Francji w 1940 r.

Podjęcie dalszych studiów nad tematem Zachód wobec granic Polski, obejmujących okres od 1940 do zakończenia wojny światowej, byłoby wielce pożądane. Ale zadanie nie jest łatwe. Zbyt wiele bowiem dokumentów z tych lat kryją archiwa nie tylko w Moskwie. Kiedy będą one udostępnione, nie sposób odpowiedzieć. Tym bardziej, że każde prawie archiwum podaje inne motywy swego postępowania.

Emanuel HALICZ

UCHODŹCY POLSCY W RUMUNII

Ukazała się kolejna¹ książka autorstwa Tadeusza Dubickiego, mówiąca o wojennych losach uchodźstwa polskiego w Rumunii. Tym razem koncentruje on swoją uwagę na uchodźcach „cywilnych”, których około 26 tysięcy znalazło schronienie w Rumunii w 1939 r. We wstępie autor zastrzega się, że nie poruszył wszystkich możliwych wątków (nie informuje czy ze względu na braki materiałowe, ewentualnie ograniczenia wydawnicze), w tym: działalność ugrupowań prolubelskich po sierpniu 1944 r., prasa i inne publikacje, duszpasterstwo, mienie polskie w Rumunii². Tadeusz Dubicki zapowiada jednocześnie dalszą kontynuację tematu w pozycji poświęconej polskiej konspiracji w Rumunii w latach wojny. Brzmi to nadzwyczaj intrygująco, bowiem rzeczywiście niewiele wiemy na ten temat.

Omawiana praca oparta została na bogatej bazie źródłowej, widać z niej jak głęboko spenetrował autor zasoby krajowych i zagranicznych archiwów, w tym rumuńskich, do których dostęp nie jest łatwy. Cenne uzupełnienie stanowią relacje i prasa uchodźcza, ale także rumuńska. Całość zawiera się w 9 rozdziałach oraz epilogu, w którym, co rzadkie, autor będący w 1994 r. uczestnikiem polskiej delegacji na obchody 55 rocznicy uchodźstwa w Rumunii, ma możliwość dokonania rekapitulacji tematu z perspektywy historycznej i dnia dzisiejszego.

Ze wspomnianych rozdziałów trzy pierwsze mają charakter wprowadzający w temat, a zarazem stanowią już

1. T. Dubicki, „Polscy uchodźcy w Rumunii 1939-1945. Studia i materiały”, Warszawska Oficyna Wydawnicza „Gryf”, Warszawa 1995, s. 332; poprzednie publikacje: „Żołnierze polscy internowani w Rumunii w latach 1939-1941”, Warszawa 1994, ss. 360; „Sanatorzy kontra Sikorszczycy czyli walka o władzę na uchodźstwie w Rumunii 1939-1940”, Warszawa 1993, ss. 156 (współautor S.J. Rostworowski).

2. W sprawie mienia polskiego pozostawionego w Rumunii kompetentną publikacją jest: A. Sowińska-Krupka, „Stosunki polsko-rumuńskie 1945-1949”, Warszawa 1985.

pewną syntezę, opartą na wcześniejszych licznych publikacjach autora. Są to: „Uchodźstwo polskie w Rumunii w latach 1939-1945”, „Przyjęcie przez władze i społeczeństwo rumuńskie uchodźców z Polski”, „Organizacje opiekuńcze: Amerykańska Komisja Pomocy Polakom i Komitet Obywatelski”. Podobny charakter ma również rozdział VII „Polskie szkolnictwo uchodźcze w Rumunii w latach 1939-1945”. Do ogromu faktów, nazwisk i zdarzeń, które autor wprowadził do naszej wiedzy o losach Polaków na uchodźstwie, należy odnieść się z uznaniem na to zasługującym. Szereg faktów jest rzeczywiście nie znana polskiemu czytelnikowi, przy czym dotyczy to tak zasadniczych, jak nadzwyczaj życzliwe przyjęcie przez Rumunów uciekinierów z Polski. Z niepamięci wydobyte zostały takie postacie jak prof. Nicolae Iorga – „wielki przyjaciel Polaków” czy księżna Ecaterian Caragea.

Z lektury książki wynikają też inne interesujące konstatacje: oto po raz kolejny okazało się, że w warunkach ekstremalnych Polacy potrafią się zmobilizować i rozsądnie zorganizować. Na gruncie rumuńskim świadczyła o tym działalność „Amerykańskiej Komisji Pomocy Polakom” (AKPP), która nawet w okresie politycznie niesprzyjającym – po wejściu Rumunii do „Osi”, potrafiła ochronić swój byt. W tym miejscu należy odnotować przynajmniej dwa nazwiska: Paula Supera i Kazimierza Świdorskiego. Pierwszy dał pomysł i początki organizacyjne AKPP, opierając ją w dużym stopniu na strukturze organizacji YMCA, której przed wojną ten Amerykanin z pochodzenia był wieloletnim prezesem w Polsce. Z kolei Kazimierz Świdorski (dodajmy – przed wojną kierujący wydziałem w Ministerstwie Rolnictwa) objął organizację po wyjeździe Supera na Zachód wiosną 1940 r. i pozostał jej dyrektorem praktycznie do końca, czyli przełomu lat 1944/1945. Godnym odnotowania szczególnego jest fakt, że Tadeusz Dubicki uzyskał jeszcze informacje z pierwszej ręki – od Kazimierza Świdorskiego, zmarłego w końcu lat 80-tych w Londynie.

Z działalnością AKPP związane były ściśle losy polskiego szkolnictwa w Rumunii, swoistego fenomenu wówczas w skali świata, z którym porównywalny był tylko ośrodek węgierski. Świadczy o tym liczba 10 szkół stałych, w tym 4 gimnazjów i liceów z pełnymi prawami szkół państwowych (przyznanych przez władze w Angers w maju 1940 r.) włącznie z przeprowadzaniem matur (co najmniej 162

absolwentów). Jeśli dodamy do tego znacznie ponad 100 osób studiujących na rumuńskich uczelniach, którym również AKPP zabezpieczała w dużym stopniu warunki bytowe (bursy, stypendia), to okaże się, że był to czy nie najsilniejszy ośrodek uchodźczy pod tym względem. Z liczego grona osób pracujących na rzecz młodzieży wymienimy choćby, tak niegdyś prominentne, jak płk Tadeusz Schaetzel, Eugeniusz Kwiatkowski, Bolesław Nakoniecznikoff-Klukowski.

Osobny dział stanowią w książce „Dokumenty”, w którym zamieszczone materiały dobrane zostały pod względem tematycznym i merytorycznie dotyczą zagadnień nie omówionych w książce. Znajdują się tam informacje nt. składu zawodowo-socjalnego uchodźców, stanu zdrowia i funkcjonowania uchodźczej służby zdrowia – utrzymywanej przez AKPP. Jednak szczególną uwagę przyciągają dokumenty z okresu po wkroczeniu wojsk sowieckich do Rumunii i przewrocie 23 sierpnia 1944 r. Wynika z nich, iż polskie władze na uchodźstwie poważnie planowały przeprowadzenie akcji ewakuacji uchodźców (przynajmniej w odniesieniu do młodzieży męskiej), o czym informuje m.in. korespondencja gen. Andersa i płk. Gano. Inne, nieznanne dotychczas kwestie odśłania wyciąg z raportu Kazimierza Świdorskiego, który ukazuje obraz zróżnicowania politycznego w 1944 r. W nowej koniunkturze powstały początkowo dwa ugrupowania „stojące na gruncie PKWN”: „Polski Związek Patriotyczny” i „Komitet Patriotów Polskich”, które po wielu perturbacjach utworzyły „Związek Patriotów Polskich”. Charakter tej organizacji i posunięcia czołowych działaczy: Michała Kobieli (właściwie Braun), Tadeusza Czygi-Karpińskiego i Zygmunta Młynarskiego, nosiły znamiona delatorskie. Jak wynika z dokumentu wystawionego przez rumuńskie służby specjalne, w środowisku polskim podejrzewano ich o spowodowanie uwięzienia ok. 50 „przeciwników politycznych”, których w większości przetransportowano do obozu w Caracal. Było to miejsce odosobnienia, z którego po 5 miesiącach zwolniono większość, jednak niektórzy jak np. płk Kostek-Biernacki czy mjr Bolesław Ziemiański (w Rumunii jako „Mościbrodzki”, pracujący na rzecz wywiadu polskiego i brytyjskiego) zostali przewiezieni do więzienia mokotowskiego. Ogółem takich osób miało być około 20³. W tym czasie

3. M. Browiński, Wspomnienia z Rumunii 1939-1945, Biblioteka Zakładu Naukowego im. Ossolińskich we Wrocławiu, Dział Rękopisów, sygn. 13341/2.

zaginał też w Bukareszcie rtm. Bogusław Horodyński, który „odnalazł” się na Kołymie, z której już nigdy nie wrócił. Jego winą było to, że w latach 1940-1943 kierował placówką łączności ZWZ AK ulokowaną w rejonie Bukaresztu i że działalność tę zamierzał kontynuować⁴. Z wątkiem tych aresztowań miała też być powiązana misja przybyłego w charakterze delegata władz w Warszawie Józefa Olszewskiego, pełniącego wówczas funkcję sekretarza ambasady w Moskwie, czemu on na spotkaniu z uchodźcami zaprzeczał.

Jest w tej książce wiele innych interesujących wątków. Np. o łączności ośrodka rumuńskiego z Węgry, sytuacji Żydów – obywateli polskich, których to obywatelstwo uratowało od Holocaustu, wreszcie wątek harcerski, zawierający relację niedawno zmarłego w Londynie Zygmunta Szadkowskiego.

Reasumując – należy polecić tę książkę czytelnikowi, podkreślając, że jej wydanie przez Oficynę „Gryf” możliwe było dzięki dotacji uzyskanej przez autora z londyńskiej „Polonia Aid Foundation Trust”. Staranne wydanie, zdjęcia i indeks nazwisk stanowią również o jej walorach. Dobrze więc, że znalazł się kompetentny autor, który, jak można mniemać, na stałe związał się z tematem „rumuńskim”, potencjalnie bardzo nam bliskim, ale jak dotąd jakby zapomnianym. Dedykowanie tej książki pamięci stryja autora, komendanta ZHP w Rumunii w latach 1925-1930, przynajmniej częściowo wyjaśnia związek autora z tą tematyką.

Krzysztof A. KUCZYŃSKI

4. T. Dubicki, „Baza wojskowej łączności z krajem w Bukareszcie w latach 1939-1945”, [w:] „Kultura-Oświata-Nauka”, Nr 7-8/109-110, 1989, s. 105-116.

DYPLOMACJA PRUS, AUSTRII I ROSJI WOBEC KONSTYTUCJI 3-GO MAJA 1791

Nowa książka Henryka Kocója* powstała w wyniku jego wieloletnich badań archiwalnych w Merseburgu (znajdująca się tam pruska korespondencja dyplomatyczna związana z drugim rozbiorem Polski była niedostępna dla polskich historyków), Dreźnie, Wiedniu i w Paryżu. Autor dotarł więc do źródeł pruskich, nie znanych Szymonowi Askenazemu, Bronisławowi Dembińskiemu czy Stanisławowi Smolce. Z tego przeto względu można powiedzieć, iż strona dokumentacyjna książki jest nad wyraz bogata i solidna, ale niewątpliwym mankamentem i to dokuczliwym, jest ciągła niedostępność i nieobecność rosyjskich źródeł dyplomatycznych. W tym wypadku H. Kocój założenia i cele polityczne Katarzyny II relacjonował w oparciu o raporty dyplomatów saskich, austriackich i pruskich.

H. Kocój jest w tej chwili niewątpliwie jednym z najlepszych w Polsce znawców polityki zagranicznej mocarstw sąsiadujących z Polską w dobie rozbiorów. Osią jego badań jest polityka tychże mocarstw wobec Sejmu Czteroletniego, Konstytucji 3 maja oraz przyczyn drugiego rozbioru.

Całe wydarzenie, a mianowicie uchwalenie Konstytucji 3 maja oraz innych reform Sejmu Wielkiego, oglądamy nie z punktu widzenia Warszawy, lecz przede wszystkim z Berlina, na podstawie ocen i opinii zawartych w relacjach dyplomatów pruskich nie tylko wszakże na linii Berlin-Warszawa, lecz również Berlin-Wiedeń i Berlin-Petersburg oraz Berlin-Drezno. Pierwsza część książki relacjonuje stosunek Prus do Konstytucji 3 maja (s. 1-87), tutaj autor dołączył nieznane dotąd historykom memoriały ministra pruskiego Hertzberga z 18 V 1791 oraz Ludwiga Bucholtza. Druga część książki omawia stosunek Austrii do konstytucji majowej (s. 119-153), natomiast część

* Henryk Kocój, „Prusy, Austria i Rosja wobec Konstytucji 3 maja. Zagadnienia wybrane”. Katowice 1996, ss. 186.

trzecia nakreśla stosunek Rosji do Konstytucji 3 maja (s. 154-186).

Książka H. Kocója to również interesujące, jeśli nie fascynujące studium o metodach myślenia i działania dyplomacji schyłku XVIII wieku. Tworzyli ją w Prusach ludzie różnej narodowości, doskonale znający swoje rzemiosło, o świetnym darze obserwacji, umiejętnie pozyskujący sobie zwolenników i stronników w Polsce i jednocześnie ludzie bez żadnych zasad i skrupułów moralnych. Jedynym punktem odniesienia ich lojalności był monarcha. Służalczy wobec silniejszego i bezwzględni wobec pokonanego, niejednokrotnie chciwi i przekupni. H. Kocój, który tak doskonale zapoznał się z całą korespondencją dyplomatyczną króla Fryderyka Wilhelma II z lat 1791-1792 kreuje go (ale chyba przesadnie moim zdaniem) na Machiavellego pruskiej dyplomacji. Nie zapominajmy, że jednak ten monarcha odziedziczył cały prawie aparat dyplomatyczny po zmarłym Fryderyku II. To ta właśnie szkoła Fryderyka II, prowadzona przez ministra Hertzberga uznawała, że Austria jest głównym wrogiem Prus, zaś Polska najłatwiejszą zdobyczą¹. Moim zdaniem po lekturze książki Kocója nie wiemy do końca w jakiej mierze król pruski poddał się tej antypolskiej tradycji swego poprzednika, a w jakiej zaś starał się ją zmienić, czy skorygować w duchu życzliwym dla Polski.

W przeciwieństwie do Szymona Askenazego, H. Kocój całkiem inaczej rozkłada akcenty odpowiedzialności za upadek przymierza z 29 marca 1790 roku. Jego bowiem zdaniem, całe to przymierze było od samego początku fikcją. Prusy podpisały je w nadziei uzyskania nabytków terytorialnych od Rzeczypospolitej. Uchwala Sejm Wielki o 6 IX 1790 o niepodzielności ziem Rzeczypospolitej, uchwalona wprowadzie z inicjatywy przeciwników projektowanej konstytucji, kładła kres nadziejom Prus na cesję Gdańska i Torunia przez Polskę. Na tej podstawie Sz. Askenazy konkludował: „Z winy polskiej, bez realnego równoważnika, bez ostrej cesji terytorialnej, bez waluty, było (przymierze – uwaga Wł.Z.) od samego początku bez waloru, od samego początku było niczem”². H. Kocój odmiennie, utrzymuje, że

1. Szymon Askenazy, „Przymierze polsko-pruskie”, wyd. III, Warszawa 1919, s. 26.

2. Tamże, s. 212.

gratulacje monarchy pruskiego pod adresem twórców Konstytucji 3 maja, zawarte w depeszach Augusta Friedricha Goltza z 16 i 19 maja 1791, były uprzejmościami dyplomatycznymi, bez realnej treści. Bowiem tak naprawdę, to monarcha pruski od początku „nie wierzył w trwałość polskich reform”, co więcej przewidywał nawet możliwość „wojny domowej, która może się skończyć przywróceniem jarzma rosyjskiego” (s. 11). Dyplomaci pruscy alarmowali Berlin, iż Konstytucja 3 maja uderza w cele polityki pruskiej w tej części Europy i służy li tylko wzmocnieniu Polski i Austrii. Ludwиг Buchholtz w memoriale poufnym z 1791 pisał „Potoccy, Czartoryscy, Lubomirscy, Małachowscy etc. etc. posesjonaci majątków w Galicji i główni twórcy rewolucji (3 maja – uwaga Wł.Z.) są dawnymi kreaturami Dworu Austriackiego i nigdy nie zgodzą się, aby Infantka na tronie Polski poślubiła kogo innego, niż księcia z Domu Austriackiego” (s. 101). Tak więc wzmocnienie, odrodzenie państwa polskiego w wyniku „rewolucji 3 maja”, to widmo ciężkich kłopotów dla Prus. Konkluzja memoriału Buchholtza była następująca: „Prusy zatem stracą nieskończenie dużo na skutek wydarzeń w Polsce”. H. Kocój przyznaje wszakże, iż monarcha pruski nie był entuzjastą zbrojnej akcji Rosji przeciw zwolennikom Konstytucji 3 maja w Polsce, ale nie miał też powodów rzeczywistych, aby jej się przeciwstawiać. Stąd też systematycznie, krok po kroku, wycofywał się z pozycji protektora i rzekomego obrońcy konstytucji majowej w Polsce. W depeszy do gen. Karla-Alexandra Goltza w Petersburgu z dnia 13 marca 1792 monarcha pruski pisał:

„Jakkolwiek ja nie gwarantowałem ani nowej konstytucji, którą wprowadzono w Polsce drogą rewolucji 3 maja 1791, ani dziedziczności tronu, co wyniknie w następstwie konstytucji i generalnie rzecz biorąc te wielkie zmiany przeprowadzono bez mojego współuczestnictwa, a nawet bez mojej wiedzy; należy wszakże zważyć, iż mój uprzedni alians zawarty został z Rzeczypospolitą w okolicznościach zupełnie różniących się od obecnych, które narzucają mi oczywiście przeszkody w jego wykonaniu” (s. 65-66).

Tak więc chociaż monarcha pruski nie był entuzjastą ponownego rozbioru Polski, to jednak uznał, że Prusom za poniesione straty w wojnie z Francją rewolucyjną, należna jest

rekompensata w postaci nowych nabytków terytorialnych w Polsce. Ostateczna konkluzja H. Kocója brzmi następująco: „Polacy zostali oszukani” (s. 32). Wynikło to z faktu, iż dyplomacja pruska bezsprzecznie górowała nad niedoświadczoną i mało skuteczną dyplomacją Sejmu Wielkiego. Jeżeli chodzi o Austrię, to zdaniem H. Kocója nie wykazywała ona wrogości wobec Konstytucji 3 maja. Poseł austriacki w Warszawie de Caché na polecenie cesarza Leopolda II przekazał z tej okazji gratulacje dla Polski. Stary kanclerz Kaunitz w nocy skierowanej 23 V 1791 do Petersburga twierdził, że reformy dokonane w Polsce nie zagrażają ani Rosji, ani Austrii i proponował wspólne uznanie konstytucji majowej przez oba dwory cesarskie. Ale pozostawała ta propozycja bez odpowiedzi. Jednakże mimo początkowych gratulacji, kanclerz Kaunitz podejrzewał, iż konstytucja majowa „jest w dużej mierze dziełem Prus” (s. 123). H. Kocój podziela wcześniej wyrażoną opinię badacza Bronisława Dembińskiego, że dla Austrii kluczową wówczas sprawą była nie Polska, lecz poparcie Rosji dla jej wojny z rewolucją francuską (s. 119). Śmierć cesarza Leopolda II (1 III 1792) zmieniła klimat polityczny w Wiedniu. Nowy monarcha Franciszek II był nieżyczliwy wobec Polski. W Wiedniu już 28 II 1792 wiadano, iż Rosja „nie będzie dłużej tolerowała Konstytucji 3 maja”. W marcu 1792 Wiedeń postanowił, iż nie będzie czynnie sprzeciwiał się zbrojnej interwencji Rosji w Polsce.

Wykład H. Kocója co do Rosji opiera się na fragmentach opublikowanych dotąd dokumentów rosyjskich, a więc znanych poprzednikom H. Kocója oraz jak wspominałem na relacjach dyplomatów pruskich i saskich. Według Kocója, gdy do Petersburga 9 maja 1791 dotarła wieść o uchwaleniu konstytucji, Katarzyna II i jej najbliższe otoczenie było w szoku. Przecież cały czas dyplomacja rosyjska – jak pisał ambasador austriacki w Petersburgu Cobenzl – pracowała nad tym, „aby Polska nigdy nie wyszła ze stanu swej nicości” (s. 156). Katarzyna II natychmiast zaproponowała Austriakom współdziałanie przeciw zwolennikom konstytucji w Polsce. W polityce rosyjskiej ścierały się dwa nurty. Aleksander Bezborodko, wpływowy członek Kolegium Spraw Zagranicznych, był przeciwny zbrojnej interwencji w Polsce, natomiast dwaj dyplomaci Arkady Morkow i faworyt Katarzyny II Płaton Zubow byli jej gorącymi orędownikami. Po pewnych

wahaniach, Katarzyna II wsparła tych ostatnich. Zwyciężyła koncepcja bezpośredniego włączenia w obręb imperium polskich nabytków terytorialnych, nad zasadą protektoratu popieraną w początkowym etapie panowania Stanisława Augusta Poniatowskiego.

Zdaniem H. Kocój decyzja zbrojnej interwencji w Polsce zapadła w Petersburgu w marcu 1792 roku³.

Henryk Kocój krytycznie ocenia postawę polityczną i moralną polskiego monarchy w tygodniach wojny polsko-rosyjskiej 1792 r. Cytuje nawet wymowne zdanie Bronisława Dembińskiego, iż „Stanisław August burzył własne dzieło, własnemu przekonaniu zadawał kłam, hańbił się i upadał moralnie”, przystępując dobrowolnie do Targowicy (s. 170). Z drugiej wszakże strony autor powtarza opinię historyka H. Mościckiego, iż reformy Sejmu Wielkiego „w sposób płytki przeniknęły do społeczeństwa polskiego, nie sięgały do jego głębi” (s. 169).

Chociaż wykład o stosunku Rosji do Konstytucji 3 maja 1791 wymaga jeszcze głębszych i solidniejszych badań naukowych, to moim zdaniem nawet w tym wypadku H. Kocój wniósł sporo świeżego spojrzenia i wykorzystał nieznane dotąd relacje.

Władysław ZAJEWSKI

3. Natomiast A. Kijas, „Stosunek Rosji do Konstytucji 3 maja”, *Niepodległość* 1991, nr 3-4, utrzymuje, że decyzja o zbrojnej interwencji zapadła w Petersburgu w lutym 1792.

NADEŚLANE NOWOŚCI WYDAWNICZE

- CHACHAJ (Marian). *Zagraniczna edukacja Radziwiłłów od początku XVI do połowy XVII wieku*. Str. 171. Wyd. Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 1995.
- TUSIEWICZ (Roman). *Historia 4. Polska współczesna 1944-1989*. Podręcznik dla klasy IV liceum ogólnokształcącego. Str. 379. Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne, Warszawa 1994.
- HABIELSKA (Rafał). *Emigracja Dzieje PRL*. Str. 66. Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne, Warszawa 1995.
- STUDNICKI (Władysław). *Tragiczne manowce. Próby przeciwdziałania katastrofom narodowym 1939-1945*. Pomorska Oficyna Wydawniczo-Reklamowa „Mariol”, Gdańsk 1995.
- MAU (Vladimir). *The political History of Economic Reform in Russia, 1985-1994*, Str. 132. The Centre of Research into Communist Economies, 1996.
- DWORAK (Jan, S.). *Karol Gódula. Pionier przemysłu cynkowego na Górnym Śląsku*. Str. 171, il. Państwowe Instytut Naukowy Instytut Śląski w Opolu, Związek Górnośląski, Opole-Ruda Śląska. 1995.
- WARDENGA (Thomas). *Häuserbuch des Stadt Ratibor (18. und 19. Jahrhundert)*. Str. 483. Gebr. Man Verlag, Berlin, 1995.
- GRAF VON KOCKOW (Christian). *Krokowa oder Die Wiederkehr der Geschichte*. Str. 51. Vontobel Holding, Zürich, 1992.
- Tadeusz Jan Łopuszański i dzieło jego życia. Szkoła Doświadczalna Gimnazjum i Liceum im. Sułkowskich w Rydzynie. Str. 101. Nakł. Fundacji im. T. Łopuszańskiego, Warszawa 1995.
- Programy partii i ugrupowań parlamentarnych 1989-1991*. Cz. 2. Opr. Inka Słodkowska. Str. 318. ISP PAN, Warszawa 1995.
- ŻMICHROWSKA (Maria Jolanta). *Hanna Póhoska 1895-1953*. Str. 368. Wyższa Szkoła Pedagogiczna, Olsztyn 1995.
- ŻELENSKI (Władysław). *Zabójstwo ministra Pierackiego*. Str. 176. Iskry, Warszawa 1955.
- Tajne dokumenty Państwo-Kościół, 1960-1980*. Str. 461. Wyd. ANEKS, Londyn 1996.
- Pod cedrami Libanu*. Wspomnienia polskich studentów z Bejrutu, 1942-1952. Str. 227, il. Wyd. Koło „Bejrutczyków”, Londyn 1994.
- KUCHARSKI (Władysław Stanisław). *Polacy i Polonia w rdzennej Austrii w XIX i XX wieku*. Str. 441. Wyd. Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 1994.
- Polacy i Niemcy*. 100 kluczowych pojęć. Oprac. E. Kobylińska, A. Ławaty, R. Stephan.

- Str. 491. Wyd. Biblioteka WIEZI, Warszawa 1996.
- BATURA (James Michael). *The land of Wilno and the land of Krosno or my first journey to Poland, Lithuania and Byelorussia*. Str. XIV, 217. Wyd. Szwede Slavic Books, Palo Alto, CA, 1995.
- Bibliografia historii polskiej za rok 1991*. Oprac. W. Frazik i in. Str. VIII, 397, Wyd. Ossolineum, Wrocław 1994.
- Bibliografia historii polskiej za rok 1992*. Oprac. W. Frazik i in. Str. VIII, 400, Wyd. Profesjonalnej Szkoły Biznesu, Kraków 1994.
- Bibliografia historii polskiej za rok 1993*. Oprac. W. Frazik i in. Str. X, 487, Wyd. Profesjonalnej Szkoły Biznesu, Kraków 1995.
- Polonica zagranicze: bibliografia 1987*. Str. 277. Wyd. Biblioteka Narodowa, Warszawa 1996.
- ŁUKASIEWICZ (Juliusz). *Dyplomata w Paryżu, 1936-1939*. Wyd. rozszerzone, oprac. W. Jędrzejewicz, H. Bułhak, Str. 499, il. Wyd. Warszawska Oficyna GRYF, Instytut Historii PAN, Warszawa 1995.
- Słownik pseudonimów pisarzy polskich XV w. -1970*. Tom 2: J-Q. Oprac. zespół pod red. E. Jankowskiego. Str. 862. Wyd. Ossolineum, Wrocław 1995.
- PIRAINEN (Ilpo Tapani), WASSER (Winfried). *Der Sachsenspiegel aus Oppeln und Krakau*. Str. 518. Gerb. Mann Verlag, Berlin 1996.
- ANDRASCHKE (Peter). *Viktor Clariss Czajane*. Str. 132, il. Gebr. Mann Verlag, Berlin 1996.
- Siły zbrojne Trzeciej Rzeczypospolitej*. Myśli i rozważania. Str. 416. Wyd. Ministerstwo Obrony Narodowej, Warszawa 1996.
- KOCÓJ (Henryk). *Europa wobec Konstytucji 3 maja*. Str. 185. Wyd. nakł. autora, Katowice 1996.
- PRĘGOWSKI (Zenobiusz). *Dzieje narciarstwa polskiego do 1914 roku*. Str. 512, il. Wyd. PTTK KRAJ, Warszawa 1994.
- Złota księga narciarstwa polskiego: Karpaty Wschodnie*. Zebra. i oprac. Zenobiusz Pręgowski. Str. 454, il. Wyd. PTTK KRAJ, Warszawa 1992.
- Witos o demokracji*. Wybór przemówień, pism i rozmów Wincentego Witosa. Oprac. J. Borkowski. Str. 439, il. Wyd. Fundacja „Edukacja dla demokracji”, Warszawa 1995.
- Tułacze dzieci*. Oprac. Fundacja „Archiwum Fotograficzne Tułaczy”. Str. 328, il. Warszawa 1995.
- Bibliografia druków polskich i Polski dotyczących wydanych poza Polską po 1 września 1939 r.* Tom 5: 1968-1971 i uzupełnienia do t. 1-4 (1939-1967). Pod red. Z. Jagodzińskiego. Str. XII, 346. Wyd. Biblioteka Polska POSK, Londyn 1995.
- AFTANAZY (Roman). *Dzieje rezydencji na dawnych kresach Rzeczypospolitej*. Tom 7: Województwo ruskie, Ziemia Halicka i Lwowska. Str. 694, il. Wyd. Ossolineum, Wrocław 1995.

OKRUCHY HISTORII

Andrzej STACH

POLSKI „URZĄD GAUCKA”

Od kilku już lat w Niemczech raz po raz pojawia się pytanie, kiedy wreszcie także w Polsce dokonane zostanie otwarcie archiwów służby bezpieczeństwa, podobnie, jak stało się na terenie byłej NRD.

Odmienne traktowanie niedawnej przeszłości przez Niemców i Polaków jest symptomatyczne dla aktualnej sytuacji w obu krajach a możliwe do zrozumienia tylko przy uświadomieniu sobie fundamentalnych wręcz różnic rozwoju sytuacji w Polsce i NRD w okresie przemian politycznych. Różnice te istniały już na długo przedtem, a ich wyrazem był np. fakt nieporównanie większych swobód obywatelskich w PRL, mniejszej presji i wymiarów aparatu inwigilacji, mniejszego stopnia indoktrynacji i mniejszej gotowości współdziałania z reżimem komunistycznym ze strony obywateli polskich, czy to przez odmowę wstępowania do partii komunistycznej, czy odrzucanie propagowanych wzorców ideologicznych w życiu codziennym. Także polscy komuniści rzadko kiedy dorównywali gorliwością towarzyszom wschodnioniemieckim w wypełnianiu dyrektyw z Moskwy.

Świadomi tego przez cały czas istnienia NRD byli sami komuniści wschodniemieccy. Wystarczy wspomnieć, że już w roku 1957, kiedy na kary więzienia skazano tam kilku zwolenników reform ustrojowych, Sąd Najwyższy w NRD stwierdził m.in., iż: „Oskarżeni występowali przeciwko polityce rządu i popełnili przestępstwa przeciwko państwu. (...) W przypadku niespełnienia ich ultymatywnych żądań, chcieli wymusić ich przeforsowanie za pomocą rozgłośni zachodniobерlińskich lub z Polski”. Przy całej swej absurdalności, uzasadnienie wyroku jest jednym z najbardziej interesujących świadectw nieporównywalności rozwoju sytuacji w obu państwach, wystawionym bądź co bądź przez oficjalną instytucję NRD. Dogłębne różnice określały także kolejne dziesięciolecia a następnie proces transformacji politycznej w Polsce i Niemczech Wschodnich w roku 1989 i później. Dotyczyło to również podejścia do działalności aparatu służby bezpieczeństwa i rozliczeń z przeszłością.

Trwający pod koniec 1989 roku paraliż struktur władzy w NRD połączony z niedwuznacznymi wyrazami poparcia ze strony Moskwy pod rządami Gorbaczowa pod adresem sił reformatorskich, coraz bardziej ośmielał pasywnych dotychczas obywateli, a konstatacja olbrzymiej różnicy poziomów życia u rodaków z Niemiec Zachodnich, po otwarciu przejść na granicy wewnętrznemieckiej podziałała na nich bardziej mobilizująco niż bezskuteczne apele i hasła polityczne grup opozycyjnych. „Jeżeli marka zachodnia nie przyjdzie do nas, my pójdziemy do niej” głosi jedno z najbardziej popularnych haseł na transparentach uczestników licznych demonstracji. Podczas jednej z nich w Berlinie Wschodnim, ośmieleni pasywnością służb porządkowych, demonstranci w pewnym momencie siłą dostają się do pomieszczeń centrali Służby Bezpieczeństwa Państwowego. Wybuch tłumionej przez lata nienawiści zwycięża nad apelami o zachowanie rozsądku i ofiarą agresji tłumów pada część archiwum bezpieki. Bezmyślnie niszczone są dokumenty i taśmy filmowe, nagrania z przesłuchań i podsłuchiowanych rozmów. Pewna drobna część dokumentów zostaje też skradziona. Wkrótce jednak sytuacja w tym względzie zostaje opanowana.

Powstające jak grzyby po deszczu „komitety obywatelskie” przystępują do pracy i w asyście policji wkraczają i oplombowują pomieszczenia. Po kilku tygodniach rozbudowany do monstrualnych rozmiarów i perfekcyjnie działający aparat wschodnioniemieckiej bezpieki, liczący około 100 tysięcy samych tylko pracowników etatowych (w Polsce 24 tysiące), 110 tysięcy tzw. aktywnych współ-pracowników nieoficjalnych i niemal pół miliona zarejestrowanych szpiclów (na 16,7 milionów obywateli NRD), którego akta zebrane w centralnym komputerze Stasi zawierały informacje o około 6 milionach osób, przestał praktycznie istnieć.

Okazało się jednak, o czym zapomina się już w Polsce, że także w Niemczech Wschodnich akcja ta była mocno spóźniona: wprawdzie w ręce członków „komitetów obywatelskich” dostało się 20 tysięcy dużych papierowych worów z aktami osobowymi, protokołami przesłuchań i aktami osobowymi, lecz znaleźli oni także kilka tysięcy innych worów z dokumentami pociętymi w drobne paseczki przez specjalne maszyny. W efekcie nadzwyczajnego zaangażowania i ogromnego nakładu środków duża część z tych ścinków o szerokości około 2 milimetrów została później posklejana i odtworzono część dokumentów. Nie ulegało jednak wątpliwości, że najważniejsze materiały zostały zniszczone i spalone w pierwszej kolejności, o czym świadczyły zwęglone i spopielone pozostałości.

Tym samym archiwa Urzędu Gaucka, nazwanego tak od nazwiska jego kierownika, pastora Joachima Gaucka, stanowią obecnie tylko mniej znaczącą część archiwów Stasi i obejmują przeważnie drugo- i trzecioplanowe postacie. Można się tylko domyślać, że i polska służba bezpieczeństwa, mając więcej czasu, nie pozostawiła w całości najważniejszych dokumentów. Dzięki temu, podobnie jak w byłej NRD, materiałów obciążających nie muszą obecnie obawiać się główni decydenci byłego systemu, którzy naruszyli prawo. To zaś, co ocalało, może obciążać głównie osoby o drugo- i trzeciorzędnym znaczeniu, częstokroć ludzi zmuszonych do współpracy za pomocą szantażu, gróźb a niekiedy i brutalnych rękoczynów.

Obok kwestii satysfakcji moralnej i korzyści psychologicznych a niekiedy i finansowych, np. w przypadku odszkodowań dla ofiar reżimu SED, dla rządu RFN najważniejszą kwestią „rozprawy z przeszłością” była i jest próba niedopuszczenia byłych współpracowników Stasi, wywiadu i kontrwywiadu byłej NRD do objęcia wyższych stanowisk w urzędach państwowych, strukturach politycznych i obronnych. W tym celu od samego początku przenoszenia gorsetu zachodnioniemieckich struktur państwowych na teren byłej NRD osoby pretendujące do tych stanowisk miały być poddawane weryfikacji.

Trzeba w tym miejscu mocno podkreślić, iż w odróżnieniu od Polski, struktury państwowe byłej NRD nie przechodziły ewolucji, jak planowali to niektórzy nostalgicy enerdowscy, lecz w chwili zjednoczenia zostały bezceremonialnie rozwiązane i zastąpione stabilnymi strukturami RFN. Oznaczało to, że nawet potencjalnie największe turbulencje polityczne wywołane w efekcie lustracji na terenie Niemiec Wschodnich nie stanowiły nawet przez moment zagrożenia dla stabilności sytuacji ani całej Republiki Federalnej, ani też nowych landów. Można zaś sobie wyobrazić, co by się działo w Polsce, gdyby od samego początku tworzenia załączków nowej władzy sytuację dominowały podejrzenia, oskarżenia, nie kończące się zarzuty i procesy, i to w okresie, kiedy w kraju stacjonowały jeszcze oddziały wojsk rosyjskich.

W chwili oficjalnego zjednoczenia Niemiec władze zachodnioniemieckie posiadały szczegółowe plany postępowania w stosunku do pracowników resortu wojska, policji, służb specjalnych, wysokich urzędników administracji państwowej, prawników, nauczycieli i pracowników uczelni. Były one konsekwentnie wcielane w życie od samego początku.

Wojsko. W październiku 1990 r. pod rozkaz dowódców zachodnioniemieckiej Bundeswehry dostało się m.in. 300 generałów i admirałów armii enerdowskiej NVA. Początkowo przewidywano przejęcie 12 generałów uznanych za nie obciążonych przeszłością i zdolnych do „reedukacji światopoglądowej”. W efekcie nie tylko nie przejęto żadnego z nich bez przepracowania jakiegokolwiek dogłębszej

„lustracji”, ale także zwolniono niemal wszystkich oficerów powyżej stopnia majora. Oznaczało to np., że z 2110 pułkowników byłej armii NVA w czerwcu 1991 r. zostało już tylko 38. Z pierwotnych propozycji pozostania w Bundeswehrze chciało skorzystać 12 400 oficerów i 13 400 podoficerów, którzy złożyli odpowiednie wnioski. Do dziś dnia w służbie Bundeswehry po weryfikacjach i testach przydatnościowych pozostało tylko 3000 żołnierzy zawodowych NVA od stopnia majora w dół. Nawet dla największego laika w sprawach wojskowych jest oczywiste, że kadra dowódcza byłej NVA nie została wcielona do Bundeswehry, lecz niemal całkowicie wyeliminowana, a tym samym armia wschodnioniemiecka faktycznie rozwiązana. Dowództwo nad żołnierzami przejęli oficerowie zachodnioniemieccy.

Policja. Podobnie jak w innych krajach bloku także w NRD policja była jednym z głównych filarów systemu politycznego. Z ogółem 120 tysięcy członków Volkspolizei (VOPO) ponad 90% należało do SED, inni do partii „koalicyjnych”. Już w pierwszych dniach po oficjalnym akcie zjednoczenia, z pracy w policji dobrowolnie zrezygnowały setki przedstawicieli kadry dowodzącej, obawiając się postępowania weryfikacyjnego. Poddani mu mieli zostać wszyscy członkowie VOPO średniego i wyższego szczebla, którzy stanowili około jednej trzeciej ogólnego stanu osobowego. Konieczność zachowania ciągłości funkcjonowania struktur wykonawczych władzy i zagwarantowania bezpieczeństwa publicznego spowodowała, że w służbie pozostawiono *nolens volens* około 90% policjantów średniego i niższego szczebla. By mogli oni spełnić wymagania stawiane policji zachodnioniemieckiej, przewidziano dla nich wielotygodniowe kursy szkoleniowe prowadzone na terenie starych landów przez kadrę z terenu Niemiec Zachodnich. Większość eksponowanych stanowisk aparatu policji wschodnioniemieckiej i wszystkie najwyższe obsadzili natomiast importowani pracownicy z landów zachodnich.

Prawnicy. Jeszcze w trakcie trwania rokowań zjednoczeniowych ustalono, że pracy w aparacie sprawiedliwości nie

będą mogli wykonywać byli pracownicy i współpracownicy służby bezpieczeństwa oraz osoby, którym udowodnione zostanie pogwałcenie prawa. Spowodowało to samorzutne wycofanie się części osób. Wiele z nich zdążyło przekwalifikować się z sędziów i prokuratorów, i otworzyło prywatne kancelarie adwokackie. Było to tym łatwiejsze, że zgody na przekwalifikowanie udzielali wówczas byli pracownicy aparatu sprawiedliwości NRD. Prowadziło to niekiedy do sytuacji paradoksalnych, ponieważ łatwiej otrzymywali ją byli konformiści, niż prześladowani ze względów politycznych prawnicy z byłej NRD.

Trudniejsza okazała się weryfikacja pozostałych sędziów i prokuratorów enerdowskich. Bowiem według §3 Kodeksu Prawa Sądowego NRD „Orzeczenia sądowe oraz działalność sądów miały przyczyniać się do rozwiązywania zadań władzy socjalistycznej przy kształtowaniu rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego”. Innymi słowy sędziowie i prokuratorzy zobowiązani byli już z definicji do ideologicznej interpretacji przedmiotów procesów w interesie panującego reżimu. W związku z tym obecnie trudno jest niekiedy podtrzymać zarzuty pogwałcenia przez nich prawa np. w formie ferowania niewspółmiernie wysokich wyroków. W odwrotnym kierunku działało natomiast orzecznictwo sądów wojskowych. Przykładowo w celu zatuszowania wykroczeń i przestępstw popełnionych przez kadrę i żołnierzy NVA maksymalnie zmniejszano wyroki. Sytuacja w świetle prawa jest jednak jednoznaczna, i jeśli ma się ścigać za zawyżanie wyroków, trzeba też sądzić za ich niewspółmierne zaniżanie. W sumie z ogólnej liczby sędziów i prokuratorów z byłej NRD przejętych zostało niecałe 40%. Aby zapewnić funkcjonowanie orzecznictwa sądowego w Niemczech Wschodnich trzeba było oddelegować tam część pracowników wymiaru sprawiedliwości z terenu starych landów.

Inną nie mniej ważną sferą życia publicznego przejętego po NRD był stan oświaty i szkolnictwa wyższego. Nie wdając się w szczegóły dotyczące weryfikacji opartej głównie na kryterium nadmiernego zaangażowania politycznego i współdziałania ze Stasi, można stwierdzić, że z pracy w szkołach różnego typu zwolniona została co piąta osoba. W przypadku uczelni, instytutów naukowych i różnego rodzaju szkół

wyższych redukcja personelu wynosiła od 20% do 75%. I w tym przypadku część wakatów obsadzili importowani pracownicy naukowcy z Niemiec Zachodnich.

Politycy, szpiedzy, kontrwywiad i bezpieczeństwa. Trwające do dziś procesy przeciwko niektórym czołowym politykom i funkcjonariuszom enerdowskim, jak np. Egon Krenz (następca Honeckera), Markus Wolf (były szef wywiadu) czy Erich Mielke (szef enerdowskiej Stasi) wykazują, iż szanse na ich skazanie istnieją tylko w przypadku udowodnienia im popełnienia przestępstw pospolitych, pogwałcenia prawa enerdowskiego oraz aktów i zobowiązań międzynarodowych podpisanych przez NRD. W przypadku Krenza i kilku innych osób z byłego politbiura chodzi m.in. o rozkaz strzelania do uciekinierów; oskarżeni powołują się na dyspozycje Honeckera i przepisy w sprawie ochrony granic państwowych. Słynnego szefa aparatu szpiegowskiego Markusa Wolfa próbuje się skazać za stosowanie szantażu i używanie przemocy przez pracowników jego resortu w stosunku do osób werbowanych na terenie starych landów, po tym jak nie zdołano skazać go za szpiegostwo przeciwko RFN, ponieważ działał legalnie w rozumieniu interesów swego państwa. Natomiast Ericha Mielkego oskarża się o popełnienie przed 60 laty mordu na dwóch policjantach, pogwałcenie prawa i popełnienie przestępstw pospolitych na jego rozkaz lub przynajmniej za jego wiedzą przez aparat Stasi. Procesy trwają już od lat i szanse na ich zakończenie odsuwają się stale w przyszłość.

Mimo szeroko nagłaśnianej w mass mediach niemieckich działalności Urzędu Gaucka i zaangażowania nieprzejednanych wrogów porzucenia „rozprawy z przeszłością” także w Niemczech Wschodnich proces ten traci z wolna na dynamice i maleje na zainteresowaniu ze strony społeczeństwa. Chcąc je ożywić, Urząd Gaucka urządził w marcu br. „dzień otwartych drzwi”. Z okazji obejrzenia centrali Stasi od wewnątrz w ciągu dwóch dni skorzystało 20 tysięcy osób. Jest zrozumiałe, że organizatorzy uznali to za dowód aktualności tej problematyki w świadomości obywateli. Nie da się jednak zaprzeczyć, że pojawiające się niekiedy nowe wiadomości o wykryciu powiązań poszczególnych osób z byłą

bezpieką nie wywołują już zbytniego zainteresowania szerszej opinii publicznej w Niemczech Wschodnich i coraz częściej znajdują się w rubrykach wydarzeń lokalnych.

Kolej na Polskę? „Po trzech latach od chwili otwarcia akt (w nowych landach – przyp. A.S.) usunięto ze stanowisk ok. 7 tys. pracowników” napisał boński korespondent tygodnika *Wprost* (04.02.96 r.), Piotr Cywiński i jest to prawda. Podobnych doniesień prasowych jest więcej i najczęściej znajdują też one pokrycie w faktach. Jednak bez choćby skrótego ukazania zaprezentowanych powyżej faktów i liczb, tego rodzaju wycinkowe wiadomości nie są miarodajne dla zrozumienia całości sytuacji. Dla czytelnika nie znającego bliżej problematyki byłej NRD wiadomość taka jest po prostu dezinformująca. Przecież zanim zwolniono wspomnianych 7 tysięcy osób, pracę z opisanych powodów utraciły przedtem dziesiątki tysięcy osób. Nie wykluczone, że rozbrzmiewające coraz częściej żądania stworzenia w Polsce instytucji na wzór „Urzędu Gaucka” opierają się także na wyrywkowych doniesieniach, braku głębszej wiedzy i wynikających z tego próbach doszukiwania się rzekomych analogii między sytuacją w Polsce i Niemczech Wschodnich w celu uzasadnienia tych żądań.

Osobiście uważam, że takich analogii nie ma. Nie ma bowiem przykładowo „zachodniopolskich” oficerów i generałów, którzy mogliby „zastąpić” wschodniopolską generalicję i najwyższą kadrę dowódczą. Nie ma również „zachodniopolskich” adwokatów, policjantów, prokuratorów i naukowców, którzy, zachęteni dodatkami do i tak już wysokich pensji, jak to miało miejsce w Niemczech („*Buschzulage*” – „dodatek za pracę w buszu”, sic!), mogliby objąć wakaty po zwolnionych fachowcach „wschodniopolskich”. Nie ma ponadto dziesiątek miliardów marek na kursy szkoleniowe dla nowych pracowników. Nie było po prostu „Zachodniej Polski”, która najpierw rozwiązałaby stare i przeniosła swe własne sprawdzone struktury na teren „Wschodniej Polski”. Postępowanie na wzór niemiecki, które w Niemczech, co trzeba podkreślić, sprawdziło się bardzo dobrze i było najrozsądniejszym rozwiązaniem dla szybkiego opanowania sytuacji w byłej NRD, oznaczałoby przykładowo

w warunkach polskich faktyczny demontaż armii, paraliż policji i aparatu sprawiedliwości.

Efektem trudniejszych warunków startu nowej państwowości w Polsce jest i będzie zapewne przez dłuższy czas konieczność pogodzenia się z myślą, że nie wszyscy winni popełnienia wykroczeń, łamania prawa, różnych nadużyć czy też przestępstw pospolitych będą od razu postawieni przed sądem, że zostaną pozbawieni swych funkcji i przywilejów. Lecz przy całym poczuciu niesprawiedliwości, pozytywną stroną tego stanu rzeczy jest stabilizacja sytuacji wewnętrznej Polski, bez której niemożliwe byłoby uzyskanie wiarygodności u partnerów zachodnich, czy to w aspekcie planów przystąpienia do Unii Europejskiej czy NATO. Rozrywana wewnętrznymi konfliktami Polska, szarpana oskarżeniami, pomówieniami i walkami politycznymi, prowadzonymi niekiedy tylko w imię partykularnych interesów partyjnych i osobistych ambicji, stanowi najgorszą z możliwych wizji sytuacji kraju po przezwycięzeniu komunizmu.

Obecny rozwój sytuacji w Polsce mimo przejściowych turbulencji politycznych daje pewne powody do optymizmu. „*Polnische Wirtschaft*” zdobywa coraz większe uznanie i mimo braku setek miliardów marek transferu finansowego, nie ustępuje dynamiką rozwoju gospodarce wschodnioniemieckiej. Polska zaczyna przyciągać coraz więcej inwestorów i staje się wiarygodnym partnerem politycznym dla Zachodu. Polscy żołnierze ćwiczą obecnie na manewrach razem z Duńczykami i Niemcami, polscy oficerowie uczestniczą w kursach szkoleniowych Bundeswehry i innych krajów NATO. Jak widać, zachodni partnerzy akceptują dzisiejszą Polskę z jej specyficznymi uwarunkowaniami politycznymi i społecznymi. Każde gwałtowniejsze zachwianie sytuacji w Polsce może spowodować utratę zdobytej wiarygodności i zwolnienie tempa procesu integracji z Europą Zachodnią.

Dlatego sędzę, iż z dużą ostrożnością należy traktować propozycje i rady przeprowadzenia lustracji na wzór wschodnioniemiecki ze strony co niektórych publicystów prasowych, tak polskich jak i zagranicznych.

Andrzej STACH

KONFEDERACJA POLSKO- CZECHOSŁOWACKA: DOKUMENTY

Rokowania polsko-czechosłowackie z okresu II wojny światowej mające na celu utworzenie związku obu państw mają już swoją bogatą literaturę. Istnieje szereg opracowań; ogłoszono sporo dokumentów tak z polskiej jak czechosłowackiej strony; literatura pamiętnikarska dotycząca tej tematyki jest pokaźna. Do tej chwili jednak nie dysponowaliśmy zbiorem dokumentów obejmujących całokształt negocjacji za cały okres. Tę poważną lukę wypełnił w 1995 r. jeśli chodzi o materiały archiwalne proveniencji czechosłowackiej, pokaźny (blisko 450 stron liczący) i bardzo starannie wydany tom w opracowaniu dwóch historyków czeskich Ivana Št'ováčka i znanego dobrze polskim historykom Jaroslava Valentę. Wydawcą jest Karolinum i Instytut Historii Czeskiej Akademii Nauk.

Książka nosi tytuł angielski – „Czechoslovak-Polish Negotiations of the Establishment of Confederation and Alliance 1939-1944: Czechoslovak Diplomatic Documents”. Również w języku angielskim są wstępy Valenty i Št'ováčka, krótkie streszczenia poprzedzające każdy dokument i szczegółowy indeks osobowy. Jest oczywiste, iż wydawcom zależało, aby uczeni nie znający języka czeskiego (na 208 ogłoszonych dokumentów jedynie 35 jest po francusku i 8 po polsku) mogli korzystać z tej źródłowej publikacji. Niestety angielszczyzna we wstępie nie jest zawsze idealna a znaleźć można też parę literówek.

Zarys Valenty dający tło historyczne jest zwięzły i treściwy. Zawiera jednak trochę sformułowań, z którymi niżej podpisany nie mógłby się zgodzić. Jego krótki przegląd literatury przedmiotu słusznie wskazuje na to, że dotychczasowe prace były głównie oparte na polskich materiałach, z tym, że należy pamiętać, iż niektóre pamiętniki np. Ladislava

Feierabenda czy studia np. Vojtěcha Mastný'ego (nie wspomniane tutaj), odzwierciedlały lub stanowiły źródła czechosłowackie.

Ze wstępu Št'ovíčka otrzymujemy informacje odnośnie archiwów, z których dokumenty pochodzą, które były już publikowane (minimalny procent), a których nie udało się odnaleźć. Kryteria wyboru i technika edytorska są również wyczerpująco przedstawione. Št'ovíček wyjaśnia też przyczyny dla których zdecydowano się włączyć do tego zbioru rozdział z nie publikowanego dotąd tomu pamiętników prezydenta Beneša. Zaznacza przy tym, iż sekretarz prezydenta Edward Taborský, który ten manuskrypt przechował i zdeponował w archiwum Hoovera w Stanfordzie, był jedynym, który korzystał z niego w swej książce „President Edvard Beneš between East and West 1938-1942” (Hoover Inst., 1981). Pozwolę sobie tu dodać, że znając ten pamiętnik cytowałem z niego w referacie o roli prezydenta Beneša w konflikcie polsko-sowieckim, wygłoszonym na światowym kongresie Czechosłowackiego Towarzystwa Naukowego (SVU) w Pradze w czerwcu 1992 r. Jest to niewątpliwie ważne źródło do poznania nastawienia prezydenta do spraw polskich w okresie jego pobytu w Londynie. Chcąc otrzymać pełniejszy obraz, czytelnik winien jednak uzupełnić go lekturą uwag i wypowiedzi Beneša wobec swego szefa kancelarii Jaromira Smutnego, jak i w sprawozdaniach przesyłanych do kraju. Znajdują się one w: *Dokumenty z historie československé politiky 1939-1943* pod redakcją Libuši Otáhalovej i Milady Červinkovej – tom I, Praga, 1966. Przebija z nich niechęć jeśli nie wrogość do rządu polskiego w Londynie i w ogóle do Polaków.

Próba szczegółowego omówienia przeszło dwustu dokumentów w tomie Valenty i Št'ovíčka przekraczałaby ramy krótkiej recenzji i byłaby interesująca chyba tylko dla specjalistów. Dlatego też ograniczę się tutaj do pewnych ogólniejszych uwag, mogących dać pojęcie czytelnikowi o charakterze i przydatności tego zbioru. Układ jego jest chronologiczny a przypisy i wyjaśnienia opracowane wzorowo. Dokumenty figurują *in extenso*, bądź są to wyjątki (co jest wyraźnie zaznaczone), dotyczące polsko-czechosłowackiej

tematyki. Dla większej przejrzystości podzieliłbym te dokumenty na kilka kategorii. Do jednej należą deklaracje, protokoły, projekty umów, noty, które są lepiej może znane. Następną, stosunkowo niedużą grupę stanowią wybrane listy i instrukcje dla dyplomatów czechosłowackich. Dokument nr 1, który otwiera tom – list Beneša do posła w Warszawie Juraja Slávika z 26 czerwca 1939 r. – jest tego dobrym przykładem.

W dziale korespondencyjnym znajdujemy listy pomiędzy Benešem a Sikorskim, (najważniejsze z nich są znane), Benešem a Raczkiewiczem, ministrem Hubertem Ripką a Strońskim i Zaleskim, ministrem spraw zagranicznych Janem Masarykiem a Edwardem Raczyńskim itp. Ogromny i nie znany dotąd dział to sprawozdania z (lub notatki do) rozmów Beneša z politykami polskimi Sikorskim, Raczyńskim, prezydentem Raczkiewiczem, Strońskim, Tarnowskim, Mikołajczykiem, mgr Kaczyńskim, Stańczykiem itd. Następną grupą to raporty różnych polityków i dyplomatów czechosłowackich z rozmów z ich polskimi odpowiednikami. Jest to selekcja, ale i tak składająca się z kilkudziesięciu dokumentów. Wśród czechosłowackich rozmówców znajdujemy dyplomatów jak min. Masaryk, b. poseł w Warszawie Slávik, Josef Hejret, Jan Skalický, Prokop Maxa, Jan Papanek, jak i polityków, członków rządu w Londynie jak František Němec, Ladislav Feierbend, Jaromir Nečas i *last but not least* Hubert Ripka. Kontakty Ripki, polityka bliskiego Benešowi, z Polakami były szczególnie częste (15 sprawozdań z rozmów) i interesujące. Można tu dodać, iż Ripka, który znalazł się ponownie na emigracji po 1948 r. stał się gorącym orędownikiem koncepcji związku Europy środkowo-wschodniej i poświęcił jej pracę pt. „A Federation of Central Europe” odbitą na powielaczu z datą 1953, New York. Niżej podpisany jest zapewne jednym z nielicznych polskich posiadaczy egzemplarza z dedykacją Ripki.

Ilość opublikowanych tutaj sprawozdań z rozmów z politykami brytyjskimi jest stosunkowo nieliczna: dwie rozmowy Beneša z Churchillem, cztery z Anthony Edenem, trzy rozmowy Masaryk-Eden, kilka rozmów Beneša i Ripki z Philipem Nicholsem, przedstawicielem Wielkiej Brytanii przy

rządzie czechosłowackim w Londynie. Wzmianki dotyczące Polski w rozmowach Beneša z prezydentem Rooseveltem były już uprzednio ogłoszone.

Najciekawsze może dokumenty to sprawozdania z kilkunastu rozmów Beneša z dyplomatami sowieckimi w Londynie – Iwanem Majskim, Aleksandrem Bogomołowem i Wiktoorem Lebediewem; Ripki z Bogomołowem (kilkanaście zapisów) i z Majskim; oraz z rozmów Jana Masaryka, Jaroslava Stranskiego, Josefa Hejreta, Prokopa Maxy i gen. Rudolfa Viesta z Bogomołowem. Zapisy z rozmów przeprowadzonych przez prezydenta Beneša ze Stalinem i Mołotowem w Moskwie w grudniu 1943 r. (dok. 200-203) były już uprzednio ogłoszone w ich pełnym brzmieniu przez Vojtěcha Mastnego w kwartalniku *Svědectví*, rok XII, nr 47, 1974 r., s. 479-498. Tutaj zamieszczono jedynie części dotyczące Polski.

Obszerny tom dokumentów przygotowany i opracowany z wielkim nakładem pracy przez Valentę i Št'ovička stanowi istotny wkład do dalszych badań nad próbami stworzenia związku polsko-czechosłowackiego. Nie wahałbym się go określić jako milowy krok na tej drodze. Równocześnie należy wyrazić żal, iż nie dało się przygotować wspólnym wysiłkiem historyków czechosłowackich i polskich, publikacji zawierającej równolegle ułożone dokumenty czechosłowackie i polskie. Porównując dwa takie dokumenty: czechosłowackie sprawozdanie z rozmowy Sikorskiego z Benešem z 3 lutego 1942 r. ze sprawozdaniem sporządzonym przez Kajetana Morawskiego (kserograf w moim posiadaniu) widać jak różnie sprawozdawcy obu stron rozłożyli akcenty, pomijając milczeniem lub podkreślając inne aspekty. Wspólny tom byłby bardzo cenny i winna, do której niżej podpisany również się poczuwa, leży chyba głównie po stronie polskich historyków.

W swym historycznym wstępie Valenta wyraża opinię, iż nawet bez sowieckiego *veta* szanse stworzenia powojennego związku między Polską a Czechosłowacją były raczej nikłe. Wynikało to z odmiennego nastawienia i różnic odnośnie podstawowych zagadnień politycznych, gospodarczych, strategicznych, psychologicznych obu krajów. Z poglądem

tym muszę się w dużej mierze zgodzić. Nie jest przy tym tak ważne która strona miała rację i która była bardziej realistyczna i przewidująca. Polskie *wishful thinking* było niestety w różnych momentach faktem, choć sytuacja była wyjątkowo ciężka. Strona czechosłowacka kierowała się większym zdawałoby się realizmem a jednak po raz drugi podczas swego urzędowania Benešowi nie udało się zabezpieczyć swego kraju przed utratą niepodległości.

Studiując dokumenty sprzed pół wieku trudno nie myśleć o chwili obecnej. Próby zbliżenia między Warszawą a Pragą w okresie tworzenia tzw. grupy wyszehradzkiej skończyły się znów w dużej mierze niepowodzeniem. Mam tu na myśli sferę polityczną, bo jeśli chodzi o pogłębienie kontaktów gospodarczych to ostatnie miesiące zdają się budzić pewne nadzieje. Ufajmy, że z praktyki dnia codziennego może wyrosnąć rzetelna współpraca oparta na realnych przesłankach i wspólnych interesach. Do takiej współpracy winniśmy zmierzać.

Piotr WANDYCZ

Tadeusz WYRWA

AUDYCJE RADIOWE NADAWANE Z LONDYNU

Były trzy zespoły, które przygotowywały programy transmitowane po polsku z Anglii: Sekcja polska, z szefem brytyjskim w BBC (Brytyjska Korporacja Nadawcza – *British Broadcasting Corporation*), „Polskie Radio”, mające być organem naszego rządu, oraz radiostacja „Świt” pod Londy-

nem, oddana do dyspozycji Sikorskiego. Programy wszystkich tych zespołów podlegały cenzurze angielskiej o zmiennym nasileniu, co w dużym stopniu zależało od samych Polaków, ich postawy i sposobu organizowania pracy.

Rozgłośnia BBC zaczęła nadawać audycje w języku polskim w pierwszych dniach września 1939 r. Po kapitulacji Francji w czerwcu 1940 i ewakuacji naszego rządu do Anglii, programy radiowe z Londynu nabrały większego jeszcze znaczenia. Od samego jednak początku Polacy niezbyt zrećcznie podeszli do związanych z radiem problemów. Łącznikiem między polskim Ministerstwem Informacji i Dokumentacji, którego tekę piastował wówczas prof. Stanisław Stroński, a brytyjskim Ministerstwem Informacji i dyrekcją BBC był Jan Baliński-Jundziłł. Brak było zdecydowanego postawienia sprawy zaraz po przybyciu rządu polskiego do Londynu. Pierwsze miesiące zeszyły przeważnie na konferencjach i niewiele dających reklamacjach, głównie o przyznanie przez BBC audycjom polskim więcej czasu i o złagodzenie cenzury. W jednym ze swoich raportów do min. Strońskiego, Baliński-Jundziłł pisał, że stosunki z BBC są trudne, „krytyki nasze przyjmowane są niechętnie... Odnoszę wyraźne wrażenie, że w BBC panuje przekonanie, że nie umiemy oceniać pracy tej instytucji i że z naszej strony nie padło dla niej nigdy słowo uznania”¹.

Rzeczywistość była bardziej złożona o czym świadczy pismo z dnia 20 marca 1941, jakie skierował Adam Romer, dyrektor biura prezydialnego, do Strońskiego: „Materiał, którym rozporządza BBC – donosił Romer – jest bardzo bogaty i można by z niego stwarzać doskonałe audycje, gdyby polscy fachowcy mogli je redagować. Niestety o tym nie ma mowy, gdyż obaj obecni redaktorzy dbają o swoją posadę a zespół polskich speakerów (którzy nie tylko są tłumaczami) nigdy się nie przeciwstawi obecnemu stanowi pracy, bo woli najgorsze warunki pracy w BBC od pójścia do wojska. Holendrzy, Czesi, Francuzi walczą w BBC, bo się nie boją utracić posad i dlatego ich audycje są dobre. Ten stan rzeczy

1. Zob. Archiwum Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego (IPMS) w Londynie. Sygnatura: Kol.434/51.

pogłębia lekceważenie BBC do działu polskiego”. Jeśli chodzi o reorganizację Sekcji polskiej w BBC, o której była wtedy mowa, to – jak wyjaśnia Romer – „niektórzy z polskich speakerów informują BBC o zamierzeniach p. ministra Strońskiego w tym sensie, że dąży on do ‘opanowania’ całkowicie audycji polskich w BBC. Zarząd BBC broni się przeciwko temu w ten sposób, że przedstawia zabiegi ministra Inf. i Dok., jako dowodzące rzekomo, że ‘Polacy sami nie wiedzą czego chcą’. Ta informacja stale się powtarza”.

W dalszym ciągu Romer pisze: „Czesi, Holendrzy i inni pracują bardzo solidnie, szczególnie Francuzi, których praca jest wzorowa i niedościgniona, niestety z polskiej strony tej solidności nie ma. Przy każdej prawie audycji są jakieś nieporozumienia, pogarszające się na skutek braku właściwego kontaktu. Pan Baliński-Jundziłł mimo najlepszej woli nie ma żadnego prawie autorytetu w BBC, które sobie lekceważy obecnych łączników. Dział audycji polskich jest traktowany bez porównania gorzej od działów: francuskiego, niemieckiego, czeskiego, greckiego itp. (dowód: warunki pracy w *Bush House*). Poza tym audycje polskie są redagowane przez Anglika Wincha i jednego redaktora, Rosjanina (naturalizowanego w Anglii), którzy nie mają pojęcia o tym, w jaki sposób należy redagować audycje polskie. Odrabiają robotę nie wchodząc zupełnie w istotne potrzeby programu”². Skutek tego był m.in. ten, że na robione ze strony polskiej reklamacje do władz brytyjskich w związku z kontrolowaniem i cenzurowaniem wiadomości pochodzących z naszego Ministerstwa Informacji i Dokumentacji (Min. Inf. i Dok.) odpowiadano: „cenzor BBC uważa, że wie lepiej od Polaków jakie wiadomości Polakom w kraju podawać, jak do nich przemawiać”³.

Programy Sekcji polskiej w BBC miały wówczas tym większe znaczenie, że od 1942 roku nie było innych nadawanych po polsku z Londynu. Słuchacze, zwłaszcza w Kraju sądzili, iż były to audycje naszego rządu. Jeśli chodzi o czas audycji, to w marcu 1941 roku wynosił 45 minut dziennie i

2. IPMS. Sygnatura: A.XII.7/3.

3. IPMS. Sygnatura: Kol.434/51.

był mniejszy od przeznaczanego dla Czechosłowacji, Holandii, Norwegii i Portugalii⁴. Każda przeto minuta winna była być wykorzystana odpowiednią treścią. Najbardziej miarodajną oceną programów były opinie z Kraju. Oto kilka z nich: w oświadczeniu osoby z Warszawy ze stycznia 1941 r. jest mowa, że: „w stosunku do audycji polskich z Londynu podnoszone są bardzo ostre krytyki. Stwierdza się generalnie, że społeczeństwo łaknie konkretnych wiadomości i to podawanych szybko, a nie dopiero powtarzanych później za Anglikami. Słuchający radia są narażeni na śmierć i dlatego uważają za zbrodnie, żeby im wygłaszano nic nie mówiące pogadanki i nauki moralne. Krytykowane są szczególnie kazania niedzielne księdza, które są uważane jako wręcz niepotrzebne. Ludność chodzi do kościoła, ma wystarczającą ilość kazań czysto religijnych i nie chce, aby te okruszyny czasu przeznaczone w radiu angielskim na polskie audycje zabierano na tego rodzaju ‘gadania’”.

Dana osoba podkreślała, że słuchacze „w sprawach polskich chcą przede wszystkim słyszeć konkretne wiadomości o działalności rządu i o wojsku polskim. Jeśli chodzi o wojsko, to proszą o wiadomości dotyczące popularności żołnierza polskiego w Anglii, o dowodach uznania dla niego zarówno ze strony sfer oficjalnych, jak i „społeczeństwa”. Na końcu mowa jest o ogromnym głodzie wiadomości i że „głód ten może obecnie zaspokoić tylko radio i dlatego idą życzenia w tym kierunku, aby polskie audycje w Londynie były odpowiednio do tych potrzeb zorganizowane”⁵.

W innej wypowiedzi, z tego samego okresu, zatytułowanej „Uwagi z Kraju w sprawie audycji radiowych”, autor uwag zaznacza, że jest rzeczą niedopuszczalną, aby audycje polskie były wypełniane wiadomościami nie przedstawiającymi wartości dla Kraju. „Jeżeli rzeczywiście nie ma co podawać to po co starać się o rozszerzenie audycji... Kraj potrzebuje wiadomości ścisłych o ogólnej sytuacji politycznej... Trzeba przestać z wiadomościami takimi i z tym stałym podtrzymywaniem Kraju na duchu, bo spotkałem się z taką

4. *Supra*.

5. IPMS. Sygnatura: PRM-K-99.

opinią, że Kraj może podtrzymać na duchu emigrację a nie na odwrót. Skarżą się w Kraju, że te atuty w propagandzie, które daje Kraj przez swój upór w stosunku do okupanta przez swą postawę i te akty terroru niemieckiego nie są odpowiednio wykorzystywane. Zwracają uwagę, że powinno się stworzyć audycje polskie w języku angielskim dla zapoznania świata z tym, co naród polski przeżywa pod obydwiema okupacjami. Nie mówiąc już o okupacji sowieckiej, ale ludzie z okupacji niemieckiej zwracają uwagę, że nie można wciąż milczeć w odniesieniu do Sowietów, bo to sprzyja akcji komunistycznej po stronie niemieckiej... Kraj musi być przekonany, że wysiłki jego nie idą na marne”⁶.

W piśmie z dnia 17 czerwca 1941 r. skierowanym do min. Strońskiego (w archiwum znajduje się kopia bez podpisu), Baliński-Jundziłł, bo on jest zapewne jego autorem, donosił: „Już kilkakrotnie doszły mnie wiadomości, że w BBC panuje przekonanie, iż wszelkie wysiłki tej instytucji w sprawie ulepszenia audycji polskich nie napotkały dotąd (poza uroczystościami 3-Maja) na żadne uznanie i pozytywną ocenę ze strony polskiej. Przeciwnie, strona polska odnosi się prawie zawsze negatywnie do pracy BBC, co siłą rzeczy zniechęca tę instytucję do bliższej i chętniejszej z nami współpracy... Niewątpliwie mamy cały szereg zastrzeżeń w stosunku do BBC, z drugiej jednak strony w ostatnich czasach instytucja ta przedsięwzięła cały szereg starań, aby zadośćuczynić naszym dezyderatom. Przede wszystkim czas audycji polskich został już przedłużony do 60 minut dziennie... dział pogadank radiowych jest *de facto* całkowicie prowadzony przez sekcję radiową Ministerstwa (Polskiego)... Niedociągnięcia, które dotąd istnieją są raczej powodowane przez na ogół słaby polski personel BBC i trudne warunki pracy tego personelu”⁷.

Tydzień później, w raporcie z odbytego wtedy posiedzenia BBC, Baliński-Jundziłł pisał: „Dobór wiadomości w dzienniku radiowym nadal pozostawia wiele do życzenia. Bardzo często uwzględniane są sprawy drugo- a nawet czwartorzędne, przy jednoczesnym negliżowaniu serwisu

6. *Supra*.

7. IPMS. Sygnatura: Kol.434/51.

Ministerstwa Inf. i Dok”. Raport kończy się podkreśleniem, że „niedopuszczalne są skracania czasu w audycjach polskich, zwłaszcza jeśli nasz materiał informacyjny jest bardzo często ignorowany”. Baliński-Jundziłł powołuje się również tutaj na interwencje w Min. Inf. i Dok. Zofii Zaleskiej, członkini Rady Narodowej, która na podstawie otrzymywanych od szeregu miesięcy przez Radę zażaleń, oraz własnych obserwacji, zwracała uwagę na niepełne wykorzystywanie przyznanego czasu i zapytywała: „Czyżby polski speaker nie miał nic (więcej) do doniesienia?”⁸.

Sugestie reorganizacji serwisu radiowego nie znajdowały odpowiedniego oddźwięku. Taki też los spotkał już wcześniej uwagi zawarte w trzystronicowej „Notatce w sprawie polskiej radiofonii” (bez podpisu) z datą 14 stycznia 1941 roku, jaką przesłał Adam Romer Izydorowi Modelskiemu, ówczesnemu generałowi do zleceń Ministerstwa do Spraw Wojskowych. Na wstępie tej noty jest przypomnienie, że Kraj i rozproszona emigracja, internowani w Szwajcarii, żołnierze we Francji, oraz wojsko polskie na Bliskim Wschodzie „są nie tylko prawie całkowicie wyeliminowani spod bezpośredniego wpływu rządu polskiego, ale w większości wypadków dowiadują się o poczynaniach rządu z ogromnym opóźnieniem”. Prasa polska tam, gdzie dociera dochodzi z dużym opóźnieniem, a „większość audycji nadawanych dziś przez stacje angielskie, są właściwie dziennikami angielskimi mówionymi po polsku. Nie czuje się w nich polskiego ducha”. Słuchacz odnosi wrażenie, że „nikt się ze strony polskiej tymi audycjami nie zajmuje”. Następnie jest mowa o potrzebie utworzenia polskiej radiofonii i jej jednolitym kierownictwie, jako „organie koordynującym”, uzależnionym „wyłącznie od prezesa Rady Ministrów, który jest równocześnie Wodzem Naczelnym” (tak było za życia gen. Sikorskiego). W ten sposób, czytamy dalej, „radiofonia nie będzie ani obiektem sporów kompetencyjnych, ani terenem tarć ideologicznych i personalnych”. Ostatni paragraf noty brzmi: „Sprawnie działająca polska radiofonia będzie potężnym orężem w nowoczesnej walce o Sprawę Polską a równocześnie czynni-

8. *Supra*.

kiem podnoszącym na duchu i zespalałym ideologicznie liczne rzesze Polaków, pozbawionych dziś bezpośredniego kontaktu z Rządem i Wojskiem Polskim”⁹.

W nocie tej jest wzmianka o czynionych ze strony polskiej zabiegach mających na celu „uruchomienie własnej stacji nadawczej pod Londynem”. Otóż już w listopadzie 1940 roku, w „Notatce w sprawach radiowych” z dnia 20 tegoż miesiąca, Baliński-Jundziłł informował, że: „Uruchomienie w Anglii stacji nadawczo-radiowych w warunkach normalnych uzależnione było od zezwolenia (*licence*) od *Postmaster General*. Od chwili wybuchu wojny *Postmaster General* nie ma prawa wydawać zezwoleń. Wszystkie uprzednio przyznane przez BBC zostały odebrane. BBC i wszystkie sprawy radiowe podlegają *Defence of the Realm Act*. Mowy nie ma o uzyskaniu licencji dla jakiegokolwiek stacji nadawczej poza BBC”¹⁰. Nie mogąc mieć złudzeń co do posiadania własnej radiostacji tym bardziej nagła była potrzeba zacieśnienia współpracy z BBC, czego mógł dokonać jedynie fachowy i skoordynowany w swoich dążeniach zespół.

Dnia 6 lutego 1942 gen. Modelski został mianowany wiceministrem Spraw Wojskowych. Negatywna jego rola, jaką odegrał w rządzie najpierw we Francji a później w Londynie nie jest dzisiaj tajemnicą. Wraz z prof. Stanisławem Kotem był protagonistą w szukaniu winnych za klęskę kampanii wrześniowej, lecz nie wtedy i nie tam, gdzie należało ich szukać. Tak jednemu, jak i drugiemu chodziło po prostu o wyeliminowanie przeciwników politycznych, a robili to w sposób, który sprawie polskiej wyrządził duże szkody¹¹. Kilka dni po swojej nominacji, o której wyżej, Modelski przedłożył gen. Sikorskiemu ośmiostronicowy „Referat w sprawie radiofonii polskiej” opatrzony datą 11 lutego. Raport ten zawiera istotne na ogół obserwacje, wyrażone w bezpośredniej formie, głównie zapewne dlatego, że były skierowane przede wszystkim pod adresem prof. Strońskiego, ministra Inf. i Dok., którego Modelski systematycznie zwalczał.

9. IPMS. Sygnatura: A.XII.7/3.

10. IPMS. Sygnatura: Kol.434/50.

11. Zob. *Zeszyty Historyczne* nr 92, Paryż 1990, str. 111 i nast.

Zamierzeniem Modelskiego było podsumowanie dotychczasowej działalności radia, bardzo na czasie bo dnia 1 stycznia 1942 roku uruchomiono, na falach BBC, 15-minutową audycję autonomiczną, opracowywaną przez dział radiowy naszego Min. Inf. i Dok. Zostało to nazwane „Polskim Radiem” i miało być kontynuacją radia przedwojennego, w odróżnieniu od audycji, które redagował personel sekcji polskiej BBC. Kierownikiem „Polskiego Radia” został przedwojenny radiowiec, Karol Pieńkowski, występujący za granicą pod nazwiskiem Wagner.

Jedynym realnym osiągnięciem Min. Inf. i Dok. było – zdaniem Modelskiego – uruchomienie wyżej wspomnianej audycji autonomicznej, ale nawet i to miano zrobić bez żadnego przygotowania. Po półtorarocznym pobycie naszego rządu w Londynie „Polska jest na szarym końcu aliantów w dziedzinie radia”. Audycje z Londynu „straciły zaufanie słuchaczy”, którzy „są dziś nieufni prawie do wszystkiego co mówi Londyn po polsku... nie mogą zrozumieć dlaczego polskie audycje są gorsze od innych nadawanych przez BBC”. Szkodliwe w tym wszystkim było i to, że „miarodajne czynniki angielskie utraciły zaufanie do poczynąń radiowych Min. Inf. i Dok. i stoją na stanowisku, że Polacy powinni – zanim wysuną jakiegokolwiek żądania – najpierw u siebie uporządkować sprawy radiowe”. Pilnym i najważniejszym zadaniem „jest unormowanie stosunków z BBC, z której stacji korzystamy”. Jak dotychczas stosunki te były raczej złe. „Min. Inf. i Dok. nie potrafiło wytworzyć w BBC zrozumienia, że przy istniejącym sojuszu polsko-angielskim, nie można lekceważyć potrzeb radiowych polskich słuchaczy krajowych, wojska i emigracji. Sekcja polska w BBC jest kopciuszkiem... Sprawy BBC są zabagnione”¹². Do zabagnienia tych spraw przyczynił się również i sam Modelski, co wymagałoby osobnego omówienia. Faktem jest jednak, że zawarte w jego referacie obserwacje były zgodne z rzeczywistością, z tym że odpowiedzialność za ten stan rzeczy spadała nie tylko na Min. Inf. i Dok., ale na cały rząd polski w Londynie i wytworzoną tam atmosferę, której „sprawa radiowa” była wiernym odbiciem.

12. IPMS. Sygnatura: A.XII.7/10.

Pomimo różnych zastrzeżeń i uwag nic się w dziedzinie radiowej nie zmieniło. W czerwcu 1942 roku Kamil Dżiewanowski wygłosił odczyt pt. „Dział radiowy polskiego Ministerstwa Inf. i Dok.”, po którym, w toczonej dyskusji ppor. Nagórski (brak imienia) powiedział: „Pierwszym zarzutem w stosunku do polskiego radia jest brak właściwych informacji, programy zawierają wodę, same przemówienia, rzeczy nieistotne... W dzień bezpośrednio po nalocie na Kolonię (a więc dość ważnym wydarzeniu), samodzielny kwadrans wypełniony był po brzegi tekstem Ślubowania Jasnogórskiego. Miało się wrażenie, że ktoś naumyślnie to Ślubowanie chciał słuchaczom obrzydzić... Dalszym zarzutem jest to, że radio stale opowiada o tym, jak Niemcy strasznie nas się boją. Dlaczego opowiada takie bajeczki?” Co do słuchowisk, to „Kraj czeka na informacje, a nie przedstawienia radiowe”¹³.

Obszerny następnie „Referat w sprawie objęcia kierownictwa Działu Radiowego Ministerstwa Inf. i Dok.”, liczący 10 stron, z datą 29 września 1942, opracował pisarz, kpt. pil. Janusz Meissner. W dziedzinie przygotowania i wykonania programu, pisze Meissner, „nie ma organizacji jednolitej i uporządkowanej”. Cenzura brytyjska skryptów jest załatwiana w przeddzień audycji i „jeśli cenzor odrzuci jakiś skrypt, powstaje w programie luka, którą zapełnia się w ostatniej chwili”, ale „można załatwić cenzurę na kilka dni wcześniej”. Nie istnieje program całokształtu polskich audycji z Londynu. W rzeczywistości „jest to tylko szereg oderwanych audycji, nadawanych codziennie o stałych porach, lecz nie związanych ze sobą żadną myślą przewodnią i żadnym hasłem. Brak więc polityki programowej. Powodem tego stanu rzeczy jest zupełny brak wytycznych, które powinien otrzymywać kierownik działu radiowego od p. Ministra Inf. i Dok. w tej sprawie”. Program audycji „opiera się głównie na autorach, którzy są stałymi pracownikami (urzędnikami) działu radiowego. Autorzy ci nie pobierają honorariów za swoje utwory, które są emitowane na antenę w audycjach działu radiowego Min. Inf. i Dok., natomiast otrzymują honoraria

13. IPMS. Sygnatura:PRM-K-9.

za te emitowane na antenę w ramach audycji BBC. Taka zasada w odniesieniu do audycji działu radiowego oczywiście wpływa pośrednio na obniżenie poziomu tych ostatnich na korzyść audycji BBC”. W dziale audycji w językach obcych „daje się odczuwać brak materiałów do tworzenia programu polskiego”. Dotychczas, a więc w ciągu dwóch lat, „nic nie zrobiono, aby uzyskać jakikolwiek wpływ na program polski nadawany przez obce rozgłośnie”.

Jeśli chodzi o stosunki z BBC – pisze dalej kpt. Meissner – to „opinia osobistości decydujących w BBC o całokształcie spraw radiowych u Polaków jest ujemna. Przyczyn należy szukać w błędach popełnionych przez nas dawniej i popełnianych obecnie, przede wszystkim zaś – w obsadzie prawie wszystkich stanowisk w dziale radiowym Min. Inf. i Dok. przez ludzi, którzy pracy radiowej nie znali”. W konsekwencji tego wszystkiego „istnieje ogromna różnica w traktowaniu przez BBC sekcji niemieckiej, francuskiej, czeskiej w porównaniu z polską. Ograniczenia swobody programowej sekcji polskiej są nieporównanie większe niż jakiegokolwiek innej sekcji alianckiej i nawet niż w sekcjach narodowości związanych z Niemcami. Można wpłynąć na zmianę tego stanu rzeczy tylko po dłuższym okresie systematycznej, solidnej, fachowo prowadzonej pracy”¹⁴.

Kilka miesięcy później, jesienią 1942 roku, bez podania dokładniejszej daty, został przygotowany, na czterech stronach maszynopisu: „Materiał do uchwały Rady Ministrów w sprawie audycji polskich w BBC”. Problemy proponowane do uchwały były te same o których mówiono i pisano od dwu lat. Tak więc przypomniano raz jeszcze, że komunikaty w audycjach polskich BBC „redagowane są bez najmniejszej znajomości psychiki polskiej skutkiem czego wywołują u słuchaczy rozdrażnienie... układane są w sposób mający rozbudzać sztuczny optymizm... często mijający się z prawdą... W audycjach podkreślany jest z przesadą wyłącznie tylko angielski punkt widzenia na przebieg wojny z równoczesnym pomijaniem oświecenia punktu widzenia sojuszniczej Polski”.

14. IPMS. Sygnatura: A.XII.7/8.

W związku z tym, celem ulepszenia audycji polskich w BBC, uchwała Rady Ministrów – według przygotowywanego dla niej materiału, o którym wyżej jest mowa – miała zawierać prośbę do ministra Inf. i Dok. o podjęcie odpowiednich w tym kierunku kroków. Wśród wymienionych tam spraw do załatwienia była potrzeba zmian: a) kierownika Sekcji polskiej w BBC w osobie Michaela Wincha; b) systemu przygotowywania audycji; c) łącznika pomiędzy polskim Min. Inf. i Dok. a BBC, którym jak wiadomo był J. Baliński-Jundziłł, a który „za miękko i za nieśmiało stawia nasze słuszne żądania. Nie podaje w autentycznym brzmieniu krytyki audycji londyńskich, przychodzących z kraju... Na stanowisko łącznika powinien przyjść człowiek, który by nie lękał się mocniejszego stawiania postulatów polskich, czego zresztą ustawicznie domagają się Anglicy, nie mogąc zrozumieć polskiego niezdecydowania w tak ważnej sprawie i w tak przełomowym czasie”¹⁵.

Trudności zrozumienia Polaków miały też i inny powód. Pisał o tym Baliński-Jundziłł w sprawozdaniu z 2 października 1942, jakie złożył z posiedzenia BBC, na którym N. Newsome, dyrektor zagranicznej służby BBC, „w urzędowym wystąpieniu poruszył sprawę wydajności pracy personelu polskiego w BBC i z żalem stwierdził, że ustosunkowanie się tegoż personelu jest niewspółmierne z wagą i doniosłością chwili obecnej i zadaniami BBC. Tymczasem polski personel często traktuje swoje obowiązki, jak się wyraził z punktu widzenia *trade-union*’ów, tzn. dbały jest o swoje interesy w większej mierze, aniżeli o dobro pracy”¹⁶. W raporcie z następnego dnia, bez podpisu – kórego autorem jest prawdopodobnie Dębiński, urzędnik działu radiowego Min. Inf. i Dok., łącznik w BBC w sprawach bieżących mniejszej wagi – znajduje się potwierdzenie wypowiedzi Newsome z dodaniem, że: „Proszeni jesteśmy wobec tego o wywarcie wpływu na polskich pracowników w BBC, aby zechcieli swoje obowiązki traktować w sposób bardziej ofiarny”¹⁷, oraz

15. IPMS. Sygnatura:PRM-K-9.

16. IPMS. Sygnatura: Kol.434/52.

17. *Supra*.

– można tutaj jeszcze dodać – bardziej bezinteresowny, gdyż zdarzały się wypadki, że polscy radiowcy w Londynie żądali i otrzymywali zapłatę za nadliczbowe godziny¹⁸.



O audycjach z tego okresu pisał do Londynu, jesienią 1942 roku, w swoim listownym omówieniu stosunków we Francji, Czesław Bitner, bliski współpracownik Aleksandra Kawałkowskiego, szefa polskiego ruchu oporu we Francji („Polskiej Organizacji Walki o Niepodległość” – POWN), zwracając uwagę, że przydałoby się zmodyfikowanie „audycji radiowych zarówno BBC jak Min. Inf. i Dok. („Polskiego Radia”). Może trochę mniej zachwyty nad bohaterstwem bolszewików i nad genialnością ich sztabów, a trochę więcej o nas, o naszych walkach, o naszych dążeniach, o naszych postulatach i planach, o naszym wojsku... Tam (w Londynie) macie ciągle w każdej chwili dostęp do wszelkich wiadomości, do wszelkich oświeśleń, tam zdajecie sobie sprawę (???!!! – T.W.) z racji celu różnych posunięć, my tu – a cóż dopiero Kraj – wisimy przy radiu jak przy źródle odrobiny prawdy i otuchy, w zakłamanym morzu propagandy obcej i raptem przez minut dziesięć na 15 słyszymy wychwalanie armii sowieckiej...”¹⁹.

Nie jest zgodne z rzeczywistością tłumaczenie, które słyszy się w podobnych wypadkach, że nie można było inaczej, bo taką orientację narzucali Anglicy. Za przykład może posłużyć fakt – o czym pisał już Jan Wszelaki w nocy z 20 sierpnia 1940 roku – że „Audycje radiowe w Londynie kontrolowane przez generała de Gaulle’a, są nieporównanie częstsze, bardziej wyczerpujące i przekonujące od naszych. Technika ich jest zupełnie wzorowa...”²⁰. A nie trzeba zapominać, że gen. de Gaulle znajdował się wtedy w Londynie od kilku zaledwie tygodni bez zaplecza wojskowo-rządowego, jakie posiadał nasz rząd. W BBC, oprócz sekcji

18. Zob. IPMS. Sygnatura: PRM-K-76.

19. IPMS. Sygnatura: PRM-65.

20. IPMS. Sygnatura: A.9.VI.9/16.

francuskiej, złożonej z podlegających Anglikom dziennikarzy francuskich, „gen. de Gaulle osiągnął to, że regularnie dawano mikrofon do dyspozycji ‘Wolnej Francji’, której rzecznikiem był Maurice Schumann”²¹.

W Londynie „każda perypetia w stosunkach ‘Wolnej Francji’ z aliantami anglosaskimi odbijała się w BBC. Ale w każdym wypadku, dzięki bezkompromisowości gaullistowskiej i dzięki angielskiemu liberalizmowi, który szybko wziął górę, rzecznicy ‘Wolnej Francji’ zawsze osiągalni powodzenie, pod warunkiem zmodyfikowania formy, tego co chcieli powiedzieć, żeby wiedzieli słuchacze francuscy”²². Jest to wypowiedź ze wstępu do pierwszego tomu, a wszystkich jest pięć, zbioru wybranych tekstów audycji radiowych w języku francuskim, nadawanych podczas wojny z Londynu. Ciekawy byłby podobny zbiór audycji w języku polskim, o który nikt się dotychczas nie pokusił, a szkoda!



W marcu 1943 roku ministrem Inf. i Dok., po prof. Strońskim, został prof. Stanisław Kot, co na dobre audycjom radiowym również nie wyszło. Łącznikiem z BBC pozostał Baliński-Jundziłł. Zmiana natomiast nastąpiła na stanowisku kierownika sekcji polskiej BBC, które po Winchu objął Gregory Macdonald, sympatycznie nastawiony do Polski. Inny to już jednak był klimat polityczny: wkrótce wybuchła sprawa Katynia i zerwanie przez Moskwę stosunków dyplomatycznych z rządem polskim w Londynie, z którym coraz mniej liczono się na Zachodzie, a umiejętnie prowadzona propaganda sowiecka coraz większe odnosiła sukcesy. Wszystko to miało swój wpływ na brytyjską cenzurę sekcji polskiej BBC i „Polskiego Radia”. Okres dość dużych możliwości odpowiedniego wykorzystania audycji radiowych minął bezpowrotnie. To co jednak zostało i przetrwało do końca wojny, to nie najlepsza atmosfera w środowisku

21. Henri Michel. „La guerre de l’Ombre. La Résistance en Europe”. Ed. Bernard Grasset, Paryż 1970, str. 98.

22. „Ici Londres 1940-1944”. La Documentation Française, tom I, Paryż 1975, str. XXIV.

polskich radiowców z jej negatywnym w konsekwencji skutkiem na współpracę z Anglikami.

W sprawozdaniu z maja 1943 roku na temat warunków słuchania radia w Polsce, które sporządzono dla BBC na podstawie raportu z Kraju, zaznaczono że „stałą potrzebą Kraju jest dostawianie jak największej ilości materiału o działalności Rządu i Rady Narodowej oraz pełnych tekstów przemówień oficjalnych. Ten sam raport podkreśla potrzebę trzeźwych komentarzy i ocen sytuacji, a także wyraźnych (w miarę możliwości) wskazówek co do linii propagandowej, jaką Rząd życzyłby sobie przeprowadzić w Polsce²³.

Z uwagi na rozpoczętą ofensywę sowiecką, rok 1943 stanowił punkt zwrotny w historii drugiej wojny światowej. W nowej sytuacji podstawowym zadaniem rządu polskiego było informowanie naszego społeczeństwa, w Kraju i za granicą, o jego linii politycznej i postawie, jaką należało przyjąć wobec wydarzeń, od których zależny był los Polski. Celowi temu powinny być służyć przede wszystkim audycje radiowe z Londynu, siedzibie naszego rządu. Programy sekcji polskiej BBC oraz audycje Min. Inf. i Dok., czyli „Polskiego Radia” podlegały coraz bardziej zaostrzającej się cenzurze angielskiej, stosowanej bez większych skrupułów. Ale, oprócz tych dwóch rodzajów audycji, istniał jeszcze trzeci: programów nadawanych przez rozgłośnię „Świt”, o której była już wzmianka na wstępie.

Radiostacja „Świt”, umieszczona w okolicy miasteczka Bletchley niedaleko Londynu, powstała w ramach nasilającej się w 1941 roku wojny propagandowej, kiedy oprócz audycji jawnych, Anglicy zaczęli powoływać do życia radiostacje „tajne”, robiące wrażenie, że znajdowały się w krajach okupowanych przez Niemców, skąd rzekomo nadawane były audycje²⁴. Na ogół panowało przekonanie, że „Świt” był osobistym podarunkiem Churchilla dla Sikorskiego do dowolnego jego rozporządzenia. Nie wchodząc tutaj w intencje Churchilla, faktem jest otrzymanie przez Sikorskiego tej rozgłośni, którą po jego śmierci przejął Stanisław Miko-

23. IPMS. Sygnatura: Kol.307.

24. Zob. Tadeusz Kochanowicz, „Na wojennej emigracji. Wspomnienia z lat 1942-1944”. Książka i Wiedza, Warszawa 1975, str. 56.

łajczyk, na okres pełnienia funkcji premiera.

Działalność „Świtu” rozpoczęła się jesienią 1942 roku. Zakończyła się wkrótce po dymisji Mikołajczyka w listopadzie 1944 i po objęciu rządu przez Tomasza Arciszewskiego. Nadawane były dwie audycje dziennie, każda po 15 minut, jedna rano a druga wieczorem. Podszrywając się pod radiostację podziemną, bardzo ważne dla „Świtu” było szybkie otrzymywanie wiadomości z Kraju. Zadaniem tym został obarczony, w bardzo ścisłej tajemnicy, Stefan Korboński, mający już od sierpnia 1941 zorganizowaną łączność radiową z Londynem, którą wykorzystał do zaopatrywania „Świtu” w wiadomości krajowe. Tajemnica miejsca „Świtu” utrzymywała się dość długo. W środowisku polskim w Londynie nastąpiła dekonspiracja po śmierci Sikorskiego, stamtąd dotarła do Komendy Głównej AK w Warszawie, ale ludność do końca była przekonana, że „Świt” jest radiostacją krajową, nie wierząc Niemcom, którzy zdaje się dopiero wiosną 1944 roku odkryli tajemnicę i zaczęli głosić, że radiostacja znajduje się w Anglii²⁵.

Sikorski w „Świcie” nigdy nie był i jego audycjami się nie interesował. Pieczę nad nim powierzył Mikołajczykowi, od września 1941 ministrowi spraw wewnętrznych, a po objęciu przez niego stanowiska premiera, „Świt” podlegał Władysławowi Banacykowi, kolejnemu tego resortu ministrowi. Bezpośrednie zajęcie się „Świtem” Mikołajczyk przekazał Mieczysławowi Thuguttowi, synowi znanego działacza ludowego Stanisława Thugutta. Niezupełnie jednak jest ściśle twierdzenie, że „nadzór polityczny nad ‘Świtem’ pozostawał całkowicie w rękach ludowców” jak twierdził jeden z jego współpracowników²⁶. Odmiennego zdania był Czesław Straszewicz, tkwiący w „Świcie”, jak sam mówił, „niemal od zarania, aż do jego zgonu”. Straszewicz pisał, że

25. Zob. Stefan Korboński „‘Świt’ – tajemnica Naczelnego Wodza” w *Kulturze* nr 9, Paryż 1953, str. 84-106 i tegoż autora: „Polskie Państwo Podziemne. Przewodnik po Podziemiu z lat 1939-1945”. Instytut Literacki, Paryż 1975, str. 82-84.

26. Tadeusz Kochanowicz, op.cit. str. 81. Zob. również: Janusz Laskowski, „Radiostacja ‘Świt’” w *Zeszytach Historycznych* nr 9, str. 101-130 i nr 10, str. 203-223, Paryż 1966.

„otrzymywane depesze z kraju nie zdradzały partyjnego klucza”, a jeśli chodzi o współpracowników, to byli o różnych orientacjach.

Według Straszewicza rola „Świtu” – w pierwotnym założeniu Anglików – miała się ograniczać do podsycania polskiego ruchu oporu, ale „dzięki presji, powstałej wewnątrz zespołu, stał się rozgłosnią *par excellence* polityczną. Nieomal z miejsca wszedł na tor polemik, krytyk i politycznych perspektyw”. Nie są dzisiaj znane teksty audycji, żeby móc coś bliżej o nich powiedzieć. Nie omijano również problemów polsko-sowieckich, a „w okresie Powstania, na temat Sowietów – pisze dalej Straszewicz – mówiło się wszystko, co gorzka ślina na język przyniosła, przy smętnym potakiwaniu Anglików”.

Anthony Eden miał podobno wątpliwości „czy ‘Świt’, walcząc z Niemcami, nie walczy także z Rosją?”. Z tego jednak co sobie Straszewicz przypominał, „żaden najbardziej antysowiecki tekst nie był nigdy przez ‘bossów’ (angielskich) skastrowany, ani pokrojony, nigdy oni nie stawiali żadnych kategoriycznych żądań...”. Ale, „mieliśmy tylko wrażenie, może mylne, że owe mordercze teksty, nadawane z Anglii przez angielską aparaturę – przez inną angielską aparaturę były zagłuszane”²⁷. Rząd polski winien był się tym zainteresować, no i przede wszystkim lepiej wykorzystać „Świt” do uświadamiania Kraju o problemach, o których społeczeństwo pod okupacją wiedzieć nie mogło. Nie trzeba przecież zapominać, iż była to radiostacja oddana do dyspozycji naszego premiera i mogła być, w dużo większym stopniu niż „Polskie Radio” autentycznym organem rządu polskiego i wyrazicielką polskiej a nie obcej racji stanu.



W pierwszych dniach stycznia 1944 roku armia sowiecka przekroczyła granicę polską sprzed wojny. Między Komendą Główną AK w Warszawie a rządem polskim w Londynie

27. Czesław Straszewicz, „O ‘Świcie’” w *Kulturze* nr 10, Paryż 1953, str. 55 i 61.

ciągle zmieniano i uzgadniano stanowisko, jakie należało zająć wobec wkraczających Sowieców. Kraj był zdeorientowany i ogromne z tego powodu poniósł później ofiary. Doniosłe w tym względzie zadanie spadało na audycje radiowe z Londynu, pod warunkiem jednak, żeby reprezentowały polski punkt widzenia. Oto jeden z wielu przykładów, że tak niestety nie było: w notatce służbowej z 13 stycznia 1944, wystosowanej przez Karola Wagnera, kierownika „Polskiego Radia”, do prof. Kota, ministra Inf. i Dok., Wagner pisał: „Polityka informacyjna BBC w sprawach polskich podporządkowana jest teraz całkowicie instrukcjom brytyjskiego czynnika politycznego”²⁸.

Instrukcje te różnej były natury. O jednej z nich mowa jest w piśmie z września 1944 (na autoryzowanej w archiwum kopii brak jest dokładnej daty), jakie skierował gen. Sosnkowski, wówczas jeszcze Naczelnny Wódz, do premiera Mikołajczyka (ich wzajemne stosunki w Londynie były takie, że – aby się nie widzieć – woleli do siebie pisywać). W piśmie tym Sosnkowski podawał wyciągi z audycji BBC nadanej dla robotników polskich w Niemczech dnia 29 sierpnia 1944 r. Na wstępie tej audycji speaker zaznaczył, że wojna wkracza w przełomowy okres i Polacy w Niemczech winni się znajdować w jednym szeregu z walczącymi jednostkami wojska polskiego na Zachodzie, w Rosji i Armią Krajową, bo jedność „jest najlepszą gwarancją przyszłej Polski”.

W dalszym ciągu audycji speaker wyjaśniał: „Dziś podajemy instrukcje, które stosują się nie tylko do polskich robotników w Niemczech, ale także do wszystkich waszych współtowarzyszy niedoli, zmuszonych do pracy na rzecz Niemiec”. Instrukcje te były następujące: „... Jeżeli znajdziecie się blisko kraju ojczystego, starajcie się dostać z powrotem do Polski i wstąpić do Armii Krajowej. Jeżeli jesteście w pobliżu Austrii, Włoch lub Jugosławii próbujcie przedostać się do tych krajów i wesprzeć akcję wyzwolenczą tych krajów. Wszyscy czynni członkowie organizacji winni pozostać na miejscu. Organizacja musi być gotowa do ostatecznej akcji”²⁹.

28. IPMS. Sygnatura: PRM-128.

29. IPMS. Sygnatura: PRM-L-26.

Zapytany w tej sprawie Wagner oświadczył: „iż wbrew istniejącej umowie BBC nie uzgodniło tej instrukcji z odpowiednim biurem naszego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, ani nie przedstawiło tekstu przed nadaniem redaktorowi dyżurnemu ‘Polskiego Radia’. Sosnkowski pisze następnie, że instrukcje te „są sprzeczne z interesem sprawy polskiej”, m.in. dlatego, gdyż ujawniają „że na terenie Niemiec robotnicy polscy są czynnymi członkami organizacji, przygotowującej się do ostatecznej akcji”, co jest „świadomym wydawaniem bezbronnych robotników mas polskich na rzeź niemiecką, zanim cokolwiek mogłyby zrobić”. Konieczne jest przeto „aby rząd polski odciął się wyraźnie od powyższej prowokacji” i „przedsięwziął jak najenergiczniejsze kroki dla zabezpieczenia interesów Polski i życia milionów Polaków, które mogą być narażone na szwank przez tego rodzaju wysoki BBC jak audycja z dnia 29 VIII br.”³⁰. Nie wiem jakie i czy w ogóle rząd polski podjął kroki w tej sprawie, a w innych interwencje rzadko odnosiły pożądaný skutek.

Jak daleko sięgała cenzura angielska w kształtowanie profilu audycji „Polskiego radia” świadczy również drobny na pozór epizod, o którym donosił Wagner, w notatce służbowej z 4 grudnia 1944 r., Adamowi Pragierowi, ówczesnemu ministrowi Inf. i Dok. Wagner pisał tam, że „cenzura polityczna BBC skreśliła nam całą audycję dla Wojska poświęconą brytyjskiemu i polskiemu wysiłkowi wojennemu. Motywem skreślenia było rzekomo deprymujące wrażenie, jakie wywołuje zestawienie cyfr polskich i brytyjskich strat wojennych. Intencją naszą było podkreślenie solidarności wysiłku polskiego i brytyjskiego”. Podane straty Polskich Sił Zbrojnych (na Zachodzie), wyjaśnia dalej Wagner, są ilościowo bardzo zbliżone do brytyjskich, ale „fakt ten nie może wystarczyć jako uzasadnienie skreślenia cenzury”. Nadto jest jeszcze tam mowa, że „cenzura polityczna BBC skreśliła nam również w całości kazanie, przeznaczone na niedzielę 3.12. jako ‘zbyt pesymistyczne’”³¹.

30. *Supra*.

31. IPMS. Sygnatura: Kol.434/308.

W tym samym czasie, kiedy wiele rzeczy było ciągle pilnych do zrobienia, żeby audycje polskie nadawane z Londynu podnieść na poziom, który odpowiadałby potrzebom chwili, czynniki rządowe medytowały nad odbudową po wojnie polskiej radiofonii w Kraju. W dyskusji nad wspomnianym już referatem K. Dziewanowskiego pt. „Dział radiowy polskiego Ministerstwa Inf. i Dok.”, gdzie prelegent poinformował audytorium, że część prac „Polskiego Radia” idzie w kierunku „opracowania planu przyszłej radiofonii w Polsce”, jeden ze słuchaczy, pchr. Sulikowski, zabierając głos powiedział: „Większość z nas, na podstawie opinii obecnie istniejącej, musi się do tego ustosunkować zdecydowanie negatywnie. W jaki sposób dział radiowy chce budować przyszłe radio w Polsce, jest dla nas rzeczą trudną do pojęcia (oklaski na całej sali)”³².

A jednak „budowano” – papierowe projekty na posiedzeniach. Dnia 5 czerwca 1943 Rada Ministrów powołała do życia Międzyministerialny Komitet dla Spraw Radiofonii, którego zadaniem miało być przygotowanie radiofonii polskiej. Organem wykonawczym było Biuro Odbudowy Radiofonii przy Min. Inf. i Dok. uruchomione 1 stycznia 1944. Kierownikiem tego Biura został Krzysztof Eydziatowicz, który opracował siedmiostronicowy referat zawierający materiał na zebranie komitetu radiowego w dniu 22 czerwca 1944. Referat zawierał wiele uwag i sugestii trafnych na temat tego, jaka powinna być przyszła radiofonia³³, ale co w żadnym wypadku nie rozwiązywało bieżących jej problemów. Z dyskusji tego zebrania sporządzono sześciostronicowy protokół, gdzie można m.in. dowiedzieć się, iż prof. Kot podkreślał „że w Kraju rozwijają się również poważne dyskusje na temat przyszłości radiofonii”. W rzeczywistości, Kraj, pochłonięty bezkompromisową walką z okupantem nie miał ani czasu, ani warunków na gabinetowe dyskusje. Eydziatowicz z kolei wyjaśniał, że „Polskie Radio” S.A., stanowiące własność Skarbu państwa i będące w dyspozycji Rządu, „choć nie działa od przeszło czterech lat... istnieje

32. IPMS. Sygnatura:PRM-K-9.

33. IPMS. Sygnatura:Kol.434/308.

prawnie nadal i posiada wszystkie uprawnienia do działania". Należy się jednak śpieszyć, gdyż „możemy już nie zdążyć przygotować na czas nowej organizacji w szczególności przetworzenia Spółki Akcyjnej 'Polskie Radio' w instytucję publiczną”³⁴.

Przeszło sześć miesięcy później, w piśmie z 5 stycznia 1945, załączonym do projektu uchwały Rady Ministrów, mającej na celu utworzenie Rady Radiofonii stwierdzono: „Po pięciu latach błędzenia po manowcach organizacyjnych nie posiadamy dziś ani sprzętu, ani ludzi wyszkolonych w pracy radiofonicznej ani nawet załączka normalnej organizacji potrzebnej w przyszłości”³⁵. Dnia 8 marca 1945 roku (Polska była już wówczas „oswobodzona” przez Sowietów), Rada Ministrów utworzyła Radę Radiofonii, która z kolei, na posiedzeniu z 19 kwietnia, uchwaliła swój regulamin³⁶, którego nie można było wcielić w życie z prostego powodu, ponieważ rząd polski w Londynie nie miał i nie mógł już wtedy mieć własnej radiostacji. Dzisiaj wszystko to stanowi archiwalny materiał z dziejów uchodźstwa wojennego, które czekają na obiektywne opracowanie, dziejów w których audycje radiowe w języku polskim różną czasem odgrywały rolę, może też dlatego mało są ciągle znane.

Tadeusz WYRWA

34. *Supra*.

35. IPMS. Sygnatura: PRM-K-76.

36. *Supra*.

ŚWIADKOWIE HISTORII: WIESŁAW DOMANIEWSKI

W październiku 1992 roku zmarł w Polsce, w wieku lat 96, Wiesław Domaniewski, jeden z budowniczych II Rzeczypospolitej.

Tak się złożyło, że dziesięć lat temu, na urlopie w willi Polskiej Bratniej Pomocy „Nela” w Ocean Grove, New Jersey, przeprowadziłem z Nim krótki wywiad, na podstawie którego, ta oto relacja:

„Początkiem moich poczynań społecznych i jak gdyby drogowskazem całego życia, było ślubowanie, które złożyłem w latach studenckich na Uniwersytecie Warszawskim przystępując do konspiracyjnego związku „ZET-owców”. Było to w czasie I Wojny Światowej, pod okupacją niemiecką. „ZET” miał już wtedy długą i piękną tradycję tajnej działalności na rzecz odzyskania niepodległości Polski oraz program społeczny, oparty na zasadach spółdzielczości. Związek ten powstał w roku 1886 w Szwajcarii, założony przez wybitnego działacza po-powstaniowej emigracji Teodora Miłkowskiego – Tomasza Jeża.

W okresie lat 1916-1918 studiów uniwersyteckich, byłem równocześnie w nieco późniejszym okresie członkiem innej tajnej organizacji polskiej, o charakterze paramilitarnym i niepodległościowym, a mianowicie należałem do P.O.W. (Polskiej Organizacji Wojskowej).

W roku 1918 nastąpiła przerwa w mych studiach gdyż zgłosiłem się na ochotnika do Wojska Polskiego, w którym służyłem do grudnia 1920 roku. Zostałem przydzielony do 35-go Pułku Piechoty, do kompanii karabinów maszynowych. W roku 1919 brałem udział w zajęciu Kowla i Łucka na Wołyniu, później na wschód od Lwowa szliśmy na Brody, następnie walki pod Radziwiłłowem nad rzeką Ikłą; we

wrześniu 1919 roku byliśmy w okolicy Sarn, wzięliśmy udział w ofensywie do rzeki Uborcza. W chwili przełamania frontu pod Olewskiem, dowodziłem, z braku oficerów, moją kompanią karabinów maszynowych w stopniu plutonowego. Po wycofaniu nas z frontu wschodniego w roku 1920 zostałem przerzucony do służb kadrowych W.P. w okolicy Bielsko-Białej, zabezpieczając tereny przygraniczne z Czechami. Po rozejmie jesienią 1920 r. ukończyłem z pierwszą lokatą Szkołę Podchorążych Oficerów Gospodarczych.

Po ukończeniu studiów Wydziału Prawa i Nauk Ekonomicznych Uniwersytetu Warszawskiego w roku 1921 pracowałem krótko w przemyśle włókienniczym Bielsko-Białej w reprezentacji warszawskiej.

W roku 1922 przystąpiliśmy do utworzenia oficjalnej już organizacji pod nazwą „Związek Naprawy R.P.” (tzw. „Naprawiacze”). W styczniu 1923 roku zostałem przez tę właśnie grupę osób wysłany na Uniwersytet Berliński na studia ekonomiczne, celem podparcia *Dziennika Berlińskiego*, pisma w języku polskim wydawanego w zaborze pruskim od lat 1880-tych. Objąłem administrację tego pisma, a później po ustąpieniu Tadeusza Katelbacha również redakcję, którą prowadziłem aż do połowy 1924 roku. Sytuacja *Dziennika Berlińskiego* wyglądała krytycznie, gdyż w roku 1919 prawie cały zespół redakcyjny powrócił do Polski i tylko poszczególni członkowie organizacji „ZET” prowadzili nadal pismo z ramienia „Związku Obrońców Kresów Zachodnich”. Gdy w styczniu 1924 polskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych wstrzymało wszelkie subsydia na wydawanie pisma z poleceniem jego zamknięcia, Związek nie zastosował się do tej decyzji, uzyskując dalsze fundusze od osób prywatnych. Przyczyniłem się znacznie do tego wysiłku, a gdy w kwietniu 1924 nastąpiło tzw. „uzdrowienie waluty polskiej” – *Dziennik Berliński* był uratowany i istniał do wojny 1939 roku.

W czerwcu 1927 roku zostałem referentem Komisji Programowo-Ankietowej dla badania produkcji i wymiany handlowej. Komisja ta podlegała Prezydentowi Rady Ministrów Rządu R.P. Po skończeniu tej pracy zostałem szefem biura ekonomicznego Państwowego Banku Rolnego i zastępcą

sekretarza generalnego tegoż banku. W styczniu 1930 roku przeszedłem do Ministerstwa Skarbu w Departamencie Obrotu Pieniężnego jako radca ministerialny. Następnie zostałem radcą finansowym Ambasady Polskiej w Paryżu, później naczelnikiem wydziału kredytu zagranicznego i wreszcie w styczniu 1937 roku zostałem dyrektorem Departamentu Obrotu w Ministerstwie Skarbu. Stało się to na skutek mego udziału we wrześniu 1936 roku w rokowaniach marszałka Rydza-Śmigłego z rządem francuskim o pomoc finansową w dozbrojeniu Polski (patrz *Zeszyty Historyczne*). Kiedy nastąpił kryzys w rokowaniach, przedstawiłem korzystną dla Polski sugestię, aby rząd Francji podjął koncesję ukończenia budowy linii kolejowej Śląsk-Gdynia.

W maju 1939 roku byłem zastępcą przewodniczącego Delegacji Polskiej do Wielkiej Brytanii, gdzie przy udziale ministra spraw zagranicznych Józefa Becka i ambasadora R.P. w Londynie Edwarda Raczyńskiego, wynegocjowaliśmy dla Polski pożyczkę dozbrojeniową w wysokości osiem milionów funtów szterlingów, co na owe czasy stanowiło potężny zastrzyk finansowy dla naszego potencjału obronnego. Niestety pomoc ta nie zdążyła już wpłynąć na dalsze losy Polski gdyż w cztery miesiące później apokalipsa II wojny światowej zawisła nad całą Europą (patrz wydawnictwo „*Aneks II*”, „O pożyczce angielskiej dla Polski”).

Po wybuchu wojny we wrześniu 1939 nastąpiła ewakuacja Banku i jego depozytów do Rumunii. Gdy dotarliśmy do Kołomyi, gen. Górecki nakazał ewakuację na granicę rumuńską do Kut, gdzie 16 września min. Eugeniusz Kwiatkowski wysłał mnie razem z Kajetanem Morawskim do Francji w delegacji. Wobec wkroczenia bolszewików do Polski w dniu 17 września, w południe tego dnia meldowaliśmy się po drugiej stronie granicy w Czerniowcach. Przewieźliśmy ze sobą bezcenne depozyty Banku, z których najważniejszymi były: 1) Rękopisy Fryderyka Chopina, 2) Psalterz Florjański, 3) Biblia Gutenberga. Dowieźliśmy je szczęśliwie po wielu tarapatach do Paryża, gdzie zostały złożone w Bibliotece Polskiej, z którą dalsze losy życia wiązały mnie na wiele lat.

Zaraz po przybyciu do Paryża z końcem września 1939

roku, rozpocząłem pracę w Polskim Biurze Przemysłu Wojennego, jako łącznik do Ministerstwa Uzbrojenia Francji, aż do czerwca 1940 roku, kiedy nastąpiła ewakuacja do Anglii. W Londynie pracowałem w *Polish Research Center* przy Ambasadzie Polskiej u ambasadora R.P. Edwarda Raczyńskiego, aż do stycznia 1943 roku. W lutym tego roku zostałem mianowany głównym radcą ekonomicznym rządu polskiego na wychodźstwie, z siedzibą w Ambasadzie Polskiej w Waszyngtonie i wtedy wyjechałem do Stanów Zjednoczonych. Na tym stanowisku pracowałem do lipca 1945 roku, tj. do chwili cofnięcia uznania przez rząd U.S.A. W tym czasie byłem też jednym z 30 Polaków wysłanych na specjalny Kurs Techników i Inżynierów Maszyn Rolniczych u Ford Fergusson, w Detroit, Michigan. W maju 1943 roku byłem też delegatem Polski na konferencję światową w Hot Springs, Arkansas, tzw. „*Food-Agricultural Organization*”, która była prekursorem działań przyszłej Organizacji Narodów Zjednoczonych.

W styczniu 1949 roku rozpocząłem pracę zawodową w firmie „Roehr Products” w Waterbury, Connecticut jako *oficer manager*, a od 1961 jako *secretary treasurer*. Roehr był polskim przemysłowcem ze Śląska, wynalazcą igieł do zastrzyków medycznych jednorazowego użycia, zatrudniając w swojej fabryce sporą ilość uchodźców wojennych z Polski. Równocześnie pracowałem społecznie, będąc w roku 1951 współzałożycielem Koła Stowarzyszenia Polskich Kombatanów #10 w Waterbury, Conn. i jego członkiem zarządu, zaś od roku 1956 przewodniczącym Komisji Rewizyjnej S.P.K. na Stany Zjednoczone.

Od roku 1961 byłem delegatem na U.S.A. Biblioteki Polskiej w Paryżu i przez pięć lat zbierałem pieniądze na jej ratunek przed upadkiem i zagarnięciem tej historycznie ważnej placówki polskiej przez rząd PRL. W tym krytycznym dla tej instytucji okresie zebrałem na terenie całej Ameryki \$114.000 co stanowiło ok. 50% budżetu ratunkowego Biblioteki Polskiej w Paryżu, która została uratowana.

Sfinansowałem też wydawnictwo „Diariusz i Teki SZEMBEKA” w Londynie (patrz 5-6 tom *Zeszytów Historycznych*).

W Instytucie Badania Najnowszej Historii Polski imienia Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku pracowałem nieprzerwanie od roku 1947, piastując w nim różne funkcje w Zarządzie, między innymi przez wiele lat byłem skarbnikiem Instytutu, zapewniając mu podstawę istnienia finansowego. Nadano mi w nim zaszczytną godność dożywotniego Członka Honorowego. Ale najwyżej ze wszystkich odznaczeń w moim życiu cenię sobie i to w tej kolejności: 1) Krzyż Orłów Lwowskich, 2) Komandorię Krzyża Polonia Restituta, 3) Komandorię Francuskiej Legii Honorowej.”

Kończąc relację jednego ze świadków i uczestników najnowszej historii Polski, pragnę przekazać Polakom piękną postać człowieka, który może służyć za przykład poświęcenia i patriotyzmu, w swej czystej bezinteresownej formie, tak nam w dzisiejszej Polsce potrzebnych.

Ocean Grove, New Jersey
wrzesień, 1993

Józef KLESZCZYŃSKI

MORD KATYŃSKI W DOKUMENTACH SOE

Opracowanie autorstwa Iana Soutara z Departamentu Bibliotek i Archiwów, ogłoszone przez Foreign Office w związku z przeglądem materiałów SOE [przechowywanych w FO] dotyczących Europy wschodniej i przekazanych w marcu 1995 do Public Records Office (streszczenie).

Utworzone w lipcu 1940 z zadaniem – jak to określił Churchill – „podpalenia Europy”, Special Operations Executive (Kierownictwo Specjalnych Operacji) było tajną organizacją prowadzącą propagandę i sabotaż w okupowanej

Europie i poza nią. Jego archiwum rzuca światło na różne epizody drugiej wojny światowej: „należy widzieć materiały SOE w ich właściwym kontekście. Udostępnienie jakiegokolwiek zespołu teczek umożliwia znalezienie materiału znaczącego dla historii, a zatrzymanie materiału daje mu fałszywą aurę tajemnicy i, gdy go się udostępni, to wykoślawia się jego znaczenie. Powody zatrzymania często wynikają z metod jego gromadzenia czy zasięgu informacji raczej niż z jego zawartości. Dlatego należy uważać teki SOE jako materiał ukazujący obraz historyczny pod nowym kątem widzenia raczej niż zmieniający jego naturę. Celem niniejszej notatki historycznej jest wskazanie co materiały SOE wnoszą do zrozumienia jednego historycznego wypadku – masakry katyńskiej”.

„Ostatecznego dowodu odpowiedzialności za tę masakrę brakowało aż do r. 1990, gdy rząd sowiecki przyznał, że egzekucja polskich oficerów była zarządzona przez Stalina i przeprowadzona przez NKWD”.

Z reakcją rządu brytyjskiego na rewelację katyńską można było zapoznać się od r. 1972, gdy materiały FO przekazano do PRO. „Dokumenty SOE niewiele dodają faktycznych szczegółów, ale ich charakter, cel i perspektywa rzuca trochę nowego światła na stosunek rządu brytyjskiego do tej tragedii i jej możliwego wpływu na stosunki między aliantami i skuteczne prowadzenie wojny z Niemcami”.

SOE nigdy systematycznie nie gromadziło dokumentacji swych działań i nie miało centralnego archiwum. Pod koniec 1945 r. pożar zniszczył część tych zbiorów i w następnym roku SOE zostało rozwiązane i jego pozostałe materiały ze względu na ich utrzymanie i magazynowanie, ostro „przesiano”. Szacuje się, że tylko ok. 13% materiału przetrwało. Jego układ jest zupełnie przypadkowy. Udostępniano go w PRO stopniowo, od czerwca 1993, a kolej na teki dotyczące Czechosłowacji, Węgier, Polski i ZSSR nadeszła dopiero w marcu 1995. Obecnie znajduje się w PRO pod sygnaturą HS 4/1-381. Niektóre dalsze wewnętrzne materiały SOE zjawiają się w PRO „we właściwym czasie”.

„Wśród reakcji na udostępnienie dokumentów SOE dotyczących Wschodniej Europy znalazły się sugestie, że te

teki ujawniają jakoby Rząd JKM zawsze wiedział, że winę za tę masakrę ponosi ZSSR, ale zgodził się to zataić. Dokładny przegląd tych dokumentów nie wnosi jednak nic nowego do zagadnienia sowieckiej winy, a nawet dokumenty SOE mają tu o wiele mniej do powiedzenia niż teki FO od dawna dostępne publiczności, które przyznają, że waga poszlak wskazuje na ZSSR jako winowajcę. Obiektywne zbadanie sprawy podczas wojny było niemożliwe i z nawzajem sprzecznych wersji niemieckiej i sowieckiej dotyczącej masakry wynikało, że fakty były na tyle niejasne [sic], by radca prawny FO, Sir William Malkin, orzekł w r. 1944, że „fakty uzasadniają zawieszenie osądu z naszej strony”.

Zadania SOE były inne i w tym wypadku nie chodziło mu o zebranie dowodów winy, ale wykorzystanie okazji dla dobra wysiłku wojennego i przeszkodzenia Niemcom w wygrywaniu sprawy dla ich własnych celów. Nic nie wskazuje, że raporty SOE miały jakikolwiek wpływ na stanowisko rządu w sprawie katyńskiej w okresie 1943-1990. Materiały SOE miały wpływ na politykę zagraniczną tylko w sprawach dotyczących działalności podziemnej i sabotażu, a FO otrzymywało o wiele więcej materiału o Katyniu ze źródeł dyplomatycznych i od Kierownictwa Walki Politycznej (Political Warfare Executive) niż od SOE.

Wtedy właśnie „druga wojna światowa osiągnęła szczyt okrucieństwa, podczas wojny dzieją się straszne rzeczy. Materiały FO i SOE jasno wykazują, że rząd brytyjski i amerykański – a w pewnym stopniu i polskie władze [sic] – podzielały ten pogląd. O reakcjach na Katyń zdecydowało znaczenie tej zbrodni i jej wpływ na cel nadrzędny – brytyjski, niemiecki, sowiecki i polski”. Pierwsza reakcja Anglików na niemieckie rewelacje była, że to kłamstwo, następna – niepokój, że jeśli są prawdziwe, to nie wolno dopuścić do zakłócenia solidarności aliantów w wojnie z Niemcami. Dokumenty FO z okresu 1943-44 wykazują niepokój jak sprawa odbija się na stosunkach sowiecko-polskich i nie próbują dociekać dlaczego Niemcy i ZSSR wzajemnie się oskarżają – „Rząd JKM myślał o zwycięstwie i w związku z tym o potrzebie dobrych stosunków sowiecko-polskich”. SOE interesowało się przede wszystkim propagandą

antyniemiecką i w sprawie katyńskiej uważało, że „wszystko co dyskredytuje Niemcy jest użyteczne, a wszystko co obniża morale walczących z faszyzmem, Brytyjczyków czy Polaków [sic] jest niepożądane. Cały materiał SOE należy rozpatrywać w tym kontekście. A więc, z punktu widzenia SOE, wina niemiecka dawała lepsze możliwości... niż wina sowiecka, jak to wyjaśnia niedatowany memoriał SOE „Katyń i później”, który jednak stwierdza, że wersja niemiecka jest „zasadniczo słuszną”. Memoriał SOE z 20 VIII 1943 „Katyń i niemiecka propaganda” podkreśla ważność tej sprawy dla niemieckiej propagandy, z czego Niemcy nie robią tajemnicy wobec przedstawicieli polskich i twierdzą, że Reich prowadzi zacieklą walkę z bolszewizmem w obronie całej Europy, w czym zbrodnia katyńska musi odegrać odpowiednią rolę.

Prośba rządu polskiego, żeby Międzynarodowy Czerwony Krzyż zbadał sprawę przerażała Anglików i w FO przeważał pogląd, że ZSSR szukał właśnie okazji do rozpętania kampanii przeciw Polsce. Zwraca uwagę, że teki FO dotyczące stosunków sowiecko-polskich w tym czasie zawierają pomieszczone dokumenty o Katyniu i przyszłej granicy polsko-sowieckiej. Wspomniany memoriał „Katyń i później” podkreśla dylemat rządu polskiego: „jeśli zignoruje tę sprawę, to słuszenie będzie uważany za rząd marionetek i jako taki w ogóle mógłby nie istnieć, bo straci poparcie w Polsce. A z drugiej strony jeśli potępi rząd sowiecki, to oskarży się go o zerwanie jedności Sprzymierzonych i również stanie się niewygodny”. W rozmowie z Churchilllem Mikołajczyk przyznał, że „zerwanie stosunków z ZSSR zaszkodzi sprawie Sprzymierzonych i ze względów politycznych przyznał brak rozważań w złożeniu polskiej prośby do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Niepokoi się, podobnie jak rząd sowiecki [sic] do czego to może doprowadzić po wojnie: co ta zbrodnia wróży sowieckiemu stosunkowi do Polski po wojnie”.

„Mimo tego politycznego pragmatyzmu Katyń pozostał sprawą drażliwą. Dla wielu Polaków, którzy przeżyli drugą wojnę światową, oraz dla badających historię Polski, zaniechanie przez rząd brytyjski zareagowania na katyńskie rewelacje i jego niechęć do wdawania się w dyskusje dowo-

dowe i prawne jest jednym z objawów większego zaniedbania ze strony rządu brytyjskiego i amerykańskiego: uratowania Polski od sowieckiej dominacji po wojnie. Poświęcenie Polski ważniejszej sprawie – harmonijnych stosunków Wielkich Mocarstw w roku 1945 – nie zostało zapomniane”.

Dokumenty FO i SOE wykazują linię postępowania Rządu JKM oraz jej polityczne i prawne podłoże. Są one dostępne publiczności i nic ze świeżo otwartych materiałów nie zaprzecza oświadczeniom rządu brytyjskiego w sprawie katyńskiej w r. 1943 i później. Nie było żadnego *cover up*. Do r. 1990 Rząd JKM przyjmował, że ostateczny dowód [sic] sowieckiej winy da się uzyskać tylko przy pełnej współpracy rządu sowieckiego. Gdy w r. 1987 wydało się, że nadeszła możliwość takiej współpracy dzięki powstaniu polsko-sowieckiej komisji dla wyjaśnienia sowieckich białych plam, rząd brytyjski ogłosił, że „rzeczywiście istnieją poważne dowody pośrednie wskazujące na sowiecką odpowiedzialność za morderstwa. Oczekujemy od sowiecko-polskiej komisji wyjaśnienia tej sprawy raz na zawsze” – jak oświadczył 11 VII 1988 Lord Glenarthur w Izbie Lordów.

PAMIĄTKI POLSKIE W ZBIORACH MANUSKRYPTÓW NARODOWEGO MUZEUM HISTORII NATURALNEJ W PARYŻU

Ludwik XIII zdecydował i ogłosił specjalnym edyktem z 1626 roku powstanie Królewskiego ogrodu roślin leczniczych w Paryżu. Zamiarem króla było złamanie monopolu i ograniczenie przywilejów fakultetu medycznego i stworzenie instytucji, która poprzez swoją otwartość gwarantowałaby swobodny rozwój nauk przyrodniczych we Francji. Guy de Brosse przyrodnik i królewski lekarz stał się faktycznym twórcą i pierwszym zarządcą nowo powstałego ogrodu. Gromadzeniu kolekcji roślin towarzyszyło stworzenie darmowej i dostępnej dla wszystkich szkoły nauczania przyrodznawstwa, a także powstanie gabinetu osobliwości. Już w czasach królewskich zdefiniowane zostały najważniejsze zadania instytucji, które decyzją Konwentu przekształcono w 1793 roku w Narodowe Muzeum Historii Naturalnej. Zadania te, prowadzenie badań naukowych, gromadzenie kolekcji oraz edukacja przyrodnicza, pozostały zresztą nie zmienione po dzień dzisiejszy. Dodać do nich należy także pierwszoplanowy udział w definiowaniu polityki państwa francuskiego wobec zasobów naturalnych. Międzynarodowa wymiana, ekspedycje naukowe, konfiskaty prywatnych kolekcji w okresie Rewolucji jak i zdobycze wojenne armii francuskiej przyczyniły się do powstania jednej z trzech największych kolekcji przyrodniczych na świecie. Niekiedy muzealne eksponaty są jedynym świadectwem istnienia wymarłych gatunków, np. przywieziony na przełomie osiemnastego i dziewiętnastego wieku czarny emu z Australii, nigdy więcej nie był widziany przez człowieka lub wieloryb Cuviera, którego w historii ludzkości złowiono tylko jeden egzemplarz.

Od samego początku istnienia królewskiego ogrodu i muzeum, przyrodnicy z nim związani zapisywali się chlubnymi kartami w historii nauki. Buffon, Lamarck, Jussieu, Brongniart, Cuvier, Dumeril, Latreille, Thouin, Gay Lussac to przecież nazwiska znane każdemu, kto choć trochę interesował się historią nauk przyrodniczych. Muzealne zbiory przetrwały kolejne burze historyczne, w 1812 roku podczas okupacji Paryża uratowane zostały dzięki interwencji Humbolda. W 1871 choć zabito większą część zwierząt z menażerii dla wyżywienia głodującego miasta, same zbiory nie ucierpiały. Kolekcja nie ucierpiała także w pierwszej wojnie światowej pomimo kilku pocisków, które spadły na ogród.

Niekiedy muzeum trafiało na pierwsze strony gazet, wzbudzając zainteresowanie i sympatię publiczności. Tak było zwłaszcza w okresach ekspozycji zbiorów przywożonych przez kolejne wyprawy badawcze. Dotarcie do Paryża pierwszej żyrafy jest uznawane za jedno z najbardziej „mediatycznych” zdarzeń dziewiętnastego wieku. Podarowana przez paszę Egiptu żyrafa przyłynęła do Marsylii i pieszo, w asyście oddziału żandarmów oraz kóz i krów zapewniających jej mleko, dotarła do Paryża przed oblicze samego króla. Po drodze wszędzie witana była przez miejscowe władze, a wzdłuż całej trasy wędrówki powstawały ulice, place i oboże „Pod żyrafą”.

Jardin des Plantes zachował swój unikalny charakter, ogromną kolekcję, ogród z kilkusetletnimi drzewami sadzonymi m.in. przez Lamarcka, Buffona, Jussieu, zabytkami architektury m.in. labiryntem, amfiteatrami, menażerią i oranżerią. Z przykrością należy zauważyć, że przewodniki po Paryżu przeznaczone dla polskich turystów w najlepszym razie poświęcają mu kilkanaście słów.

W zbiorach rękopisów zgromadzonych przez muzeum znajduje się szereg dokumentów związanych z historią polskiej nauki. Odszukanie ich i zbadanie wymagałoby wielomiesięcznych studiów, zbadania zasobów archiwalnych nie tylko Biblioteki Centralnej, ale także wielu laboratoriów posiadających swoje własne, nieraz bardzo bogate zbiory biblioteczne. W niniejszym szkicu ograniczę się więc jedynie do zasygnalizowania niektórych rękopisów ze zbiorów Biblioteki Centralnej.

Warto podkreślić, że manuskrypty dotyczące historii polskiej nauki nie są jedynymi „polonikami” w zbiorach muzeum. Biblioteka posiada wiele rzadkich już dzisiaj druków, często wzbogaconych notatkami znanych przyrodników, np. znaczna część prac Jeana Emmanuela Giliberta posiada pieczęć Georga Couviera. Można przypuszczać, że niektóre z zapisków dokonanych na marginesach owych książek są autorstwa Couviera, choć oczywiście wymagałoby to analizy porównawczo-grafologicznej. W kolekcji muzealnej biblioteki znajdują się także druki związane z działalnością naukową Polaków we Francji m.in. „Pamiętnik” wydawany w Paryżu w latach 1871-1882 nakładem Towarzystwa Nauk Ścisłych, założonego z inicjatywy Agatona Gilera czy trzys tomowa *Ornithologie du Pérou* (w owym czasie muzeum warszawskie posiadało jedną z najbogatszych, liczącą przeszło tysiąc gatunków kolekcję fauny Peru) Władysława Taczanowskiego wydaną w Rennes w 1884 roku dzięki hojności Konstantego Branickiego. Zooteka Muzeum do dzisiaj przechowuje okazy fauny i flory przesłane przez polskich przyrodników z Syberii, Ameryki Południowej, Azji i Afryki. Wśród licznych ilustracji przyrodniczych znajdują się m.in. akwarele Grabowskiego. W zbiorach antropologicznych odnaleźć można wiele preparatów i odlewów gipsowych sporządzonych przez Teofila Chudzińskiego, który po powstaniu styczniowym został internowany w Austrii, a następnie przedostał się do Paryża, gdzie spędził przeszło trzydzieści lat swojego życia. Odlewy, preparaty i ich opisy czynią z Chudzińskiego jednego z pionierów antropologii części miękkich. Wielu z polskich przyrodników-emigrantów zachowało we wdzięcznej pamięci współpracę z Muzeum. Jan Danysz, jeden z czołowych działaczy emigracji, twórca Polskiego Komitetu Obywatelskiego i Klubu Spójnia, a zarazem światowej sławy mikrobiolog i serolog, w początkach swojej kariery był asystentem w muzealnym Laboratorium Anatomii, dzięki wstawiennictwu wybitnego rosyjskiego biologa, noblisty Miecznikowa, później związał się z Instytutem Pasteura. W próbie pobranej z sadzawki w Jardin des Plantes Danysz opisał nowy gatunek i na cześć muzeum nazwał go *Gymnodinum musei*.

W poszukiwaniu rękopisów związanych z historią polskiej nauki natrafiłem na wiele trudności. Jedną z nich jest wadliwa numeracja części katalogu muzealnych manuskryptów. Z tego powodu nie udało mi się jak dotychczas odnaleźć listu adresowanego do Buffona z opisem przedmiotów dotyczących historii naturalnej Polski, znajdujących się w kolekcji Stanisława Augusta Poniatowskiego. Innego rodzaju problemem jest ustalenie związków z Polską niektórych przyrodników. Wobec braku biogramu trudno jest powiedzieć czy np. podróżnik Obalski wysłany w latach 1902-1903 przez paryskie muzeum z misją eksploracji nieznanych terenów Kanady, Alaski i Jukonu był Polakiem. Muzealna biblioteka przechowuje podarowany przez niego rękopis „*Memoires de Colombie*” zawierający opis przyrody, gospodarki, analizę sytuacji ekologicznej i politycznej tego kraju.

Odrębną kategorię stanowią dokumenty związane z francuskimi przyrodnikami, pracującymi na terenie Rzeczypospolitej. Niektóre z nich, choć nie dotyczą bezpośrednio Polski, warto wspomnieć ze względu na znaczenie ich autora dla polskiej nauki jak choćby listy Jeana Emannuela Giliberta pochodzące z „lyońskiego” okresu jego życia, a związane z organizacją ogrodu botanicznego, czy też katalog roślin przywiezionych z mórz południowych przez Forstera lub dokumenty dotyczące Maison Verreaux.

Do najciekawszych opracowań, dotyczących Rzeczypospolitej, należą bez wątpienia prace Jeana Etienne’a Guettarda, lekarza i znanego przyrodnika, odkrywcy wulkanów Owernii, autora kilkudziesięciu prac z zakresu botaniki, geologii, produkcji papieru i porcelany. Przechowywane w muzeum rękopisy pochodzą z podróży do Rzeczypospolitej i do północnej Europy w latach 1760-1762. Niektóre z nich były podstawą rozpraw ogłoszonych drukiem w *Mémoires de l'Academie Royale des Sciences de Paris*, jak „*Observations météorologiques faites à Varsovie pendant les années 1760, 1761, 1762*”, „*Mémoires sur les mines de sel de Wieliczka en Pologne 1762*” czy „*Mémoires sur la nature du terrain de la Pologne et des minéraux qu'il renferme*”, większa część nie została jednak nigdy opubliko-

wana ani wykorzystana. Dotyczy to zarówno wszystkich rękopisów, opisujących przygotowania do podróży (manuskrypty 1-38), polskie obyczaje „*Moeurs et coutumes*” (manuskrypty 146-160), polskie kościoły „*Monuments de Pologne (Eglises)*” (manuskrypty 272-291), życie polityczne „*Grands dignitaires de Pologne*” (manuskrypty 257-271), „*Stations thermales*” (manuskrypty 305-309), „*Salines de Pologne*” (manuskrypty 334-365), „*Terre bleu*” (manuskrypty 310-320), „*Mines de Pologne*” (manuskrypty 321-365), „*Fossiles*” (manuskrypty 292-304), jak i tekstów botanicznych (manuskrypty numer 224-256). Jeden z botanicznych opisów „*Flora Ingrica Continens Plantas Inter Petropolin, Novogrodium et Narvam urbem sponte credescens*”, obejmująca częściowo ziemie Rzeczypospolitej, jest jednym z najstarszych, jeśli nie najstarszym dokumentem stosowania systematyki Linneusza na ziemiach polskich i choćby z tego względu warto ją odnotować. Okoliczności pobytu Guettarda w Rzeczypospolitej są słabo zbadane, a jego obszerne studium na temat naszego kraju jest niestety źródłem praktycznie nie zauważonym i nie wykorzystanym przez historyków zarówno polskich jak i francuskich. W archiwum Guettarda znajduje się ponadto list księcia Adama Czartoryskiego wysłany 17 grudnia 1772 roku z Londynu, zawierający przypomnienie paryskiego spotkania i prośbę o konsultację medyczną choroby żony księcia.

Wśród dokumentów nadesłanych do Muzeum z Rzeczypospolitej przez przyrodników związanych z Francją, warto wymienić korespondencję Alzattyka Bojanusa i pochodzącego z Bretanii Hacqueta. Ludwik Bojanus, profesor Uniwersytetu Wileńskiego, zoolog, anatom, twórca podstaw nauk weterynaryjnych w Polsce, był jednym z najwybitniejszych przyrodników i teoretyków biologii europejskiej pierwszej połowy dziewiętnastego wieku. W korespondencji Georga Cuviera zachował się jego list wysłany z Wilna 25 grudnia 1821 roku. Zawiera on informacje dotyczące dedykacji poświęconej Cuvierowi, jaką Bojanus pragnął umieścić w monografii *Anatomia testudinis Europaeae*, a także opis kilku okazów paleontologicznej kolekcji, m.in. zęba mastodonta i rogu renifera znad brzegu Buga i prośba

aby korespondencję przesyłać za pośrednictwem francuskiej ambasady. Baltazar Hacquet, lekarz armii austriackiej, przyrodnik znany z opisów Karpat, geologiczny doradca cesarza, w liście z 1 lutego 1802 roku do Cuviera wyraża uznanie dla *Anatomia comparata*. Informuje ponadto francuskiego uczonego, że jest w posiadaniu dobrze zachowanej kości „dzikiego byka” (tura) i choć nie zna jej pochodzenia podobne znajdował w Szczepreszynie koło Krakowa. Hacquet jest przekonany, iż nie ma najmniejszych wątpliwości, że opisywany dziki byk (do listu dołączony został rysunek) jest przodkiem bydła domowego.

Znaczna część dokumentów związanych z historią polskiej nauki, a przechowywanych w Muzeum Historii Naturalnej, odnosi się do wymiany nasion, roślin bądź preparowanych zwierząt. Wilibald Besser, Austriak, dyrektor ogrodu botanicznego Liceum Krzemienieckiego znany z opisów florystycznych Ukrainy i Litwy, wymieniał nasiona i informacje botaniczne z Thouinem kierującym kolekcją roślin w Jardin des Plantes. W korespondencji z 6 stycznia 1811 roku informuje, iż dzięki uprzejmości pana Schuttes otrzymał nasiona wysłane z Paryża dla krakowskiego ogrodu botanicznego w lutym 1810 roku, Besser uznaje je za prawdziwy skarb dla nowo powstałego ogrodu w Krzemieńcu i zapewnia Thouina o chęci kontynuowania współpracy. W liście z 27 grudnia 1811 roku prosi o nasiona *Agathomeria* i wyraża nadzieję, że w katalogu kolekcji Liceum Krzemienieckiego znajdują się okazy interesujące dla paryskiego ogrodu. W liście wysłanym 3 maja 1816 roku z Krzemieńca, który dotarł do Paryża wraz z nasionami dziewięćdziesięciu gatunków roślin 28 maja, Besser dziękuje za przesyłkę 225 nasion otrzymanych za pośrednictwem cesarzowej i ministra oświecenia publicznego, księcia Razumowskiego, do listu dołącza trzy nowe ostatnio wydane suplementy katalogu roślin z krzemienieckiego ogrodu, zawierające wiele nowych gatunków roślin z Wołynia i Podola, których nasiona obiecuje wkrótce przesłać Thouinowi. Obiecuje także przesłać kompletny katalog krzemienieckiej kolekcji, gdy tylko zimą zostanie on wydrukowany (wysłał go w lutym 1817 roku). Besser wyraża ubolewanie z powodu utraty części nasion

wysłanych pocztą w poprzednim roku i prosi (prośba ta pojawia się nieomal we wszystkich listach, gdyż nawet przesyłki wysyłane przez rosyjską pocztę dyplomatyczną docierały z opóźnieniem i nie zawsze w komplecie) aby korespondencję wysyłać do pobliskich miejscowości należących do Austrii.

Korespondencja Bessera do Thouina, łącznie sześć listów, wystawia bardzo chlubne świadectwo ogrodowi botanicznemu Liceum Krzemienieckiego. Jeden z suplementów do katalogu z 1816 roku zawiera nieomal tysiąc trzysta gatunków, wśród nich rośliny rzadkie, a niekiedy unikalne w europejskich kolekcjach, wzbudzające zainteresowanie paryskich przyrodników.

Również wileński ośrodek przyrodniczy utrzymywał kontakty z muzeum i jego kolekcją. Znosko, wileński przyrodnik i uczeń Thouina w liście z 28 listopada 1809 roku informuje swojego paryskiego nauczyciela, że otrzymał list wysłany z Wilna przez Jundziłłę, potwierdzający odbiór korzeni i publikacji wysłanych z Jardin des Plantes. Jednocześnie prosi o przygotowanie kolejnej partii nasion, którą będzie mógł zabrać nazajutrz zaraz po wykładzie Thouina i osobiście zawieźć do Wilna. Znosko ubolewa, iż jedna z przesyłek z powodu wojny zatrzymana została w Warszawie.

W korespondencji Brongniarta, wybitnego geologa, autora *Traité de Mineralogie*, jednego z twórców botaniki paleontologicznej, znajdują się listy Ignacego Horodeckiego. W pierwszym liście Horodecki dziękuje za zaszczyt związany z otrzymaniem tytułu korespondenta paryskiego muzeum w uznaniu jego prac nad stratygrafią Litwy, jednocześnie informuje, że jak dotychczas swoje badania ograniczał do najbliższych okolic Wilna. Do listu dołącza kamień o dużej zawartości żelaza, znaleziony w posiadłości ziemianina Rokickiego w Guberni Mińskiej. Horodecki przypuszcza, że ma do czynienia z meteorytem („kamień ów spadł z atmosfery”) i porównuje go do podobnych opisywanych przez Pallasa na Syberii. Kolejne listy zawierają opisy geologiczne okolic Wilna i próbki przesyłane do Paryża w celu dokonania analizy. Rezultaty analiz sporządzone przez Brongniarta dołączone są do listów.

W zbiorach muzeum znajdują się także korespondencje polskich zoologów, wśród nich szereg listów adresowanych do Emila Oustaleta, profesora zoologii, entomologa i ornitologa, autora opisów wielu nowych gatunków i monografii przyrodniczych, pioniera prac nad zwierzętami zagrożonymi i niedawno wymarłymi. Oustalet pozostawał w szczególnie bliskich stosunkach z Janem Sztolcmanem, ornitologiem i autorem interesujących prac o żubrze, badaczem fauny Ameryki Południowej i Afryki, po odzyskaniu niepodległości wicedyrektorem Polskiego Państwowego Muzeum w Warszawie. W archiwach Oustaleta znajduje się szesnaście listów Jana Sztolcmana. Dotyczą one głównie wymiany okazów fauny, warszawskie muzeum oferowało na wymianę ptaki Ekwadoru, Peru, Korei, Syberii i Kaukazu oraz rzadkie gatunki z Aschabadu, w zamian otrzymywano gatunki z Pacyfiku, Afryki, południowo-wschodniej Azji. Wśród wysłanych przez Sztolcmana okazów znajdował się upolowany przez niego na Litwie czterystukilowy łódź. Podobnie jak inni przyrodnicy z zaboru rosyjskiego, Sztolcman narzeka na rosyjską pocztę i utrudnienia administracyjne. Oustalet korespondował także z Władysławem Taczanowskim. W zbiorach muzealnych zachowały się jego dwa listy wysłane 17 marca z Monachium i 29 marca 1883 roku z Warszawy w sprawie wymiany okazów i z prośbą o pomoc w oznaczeniu niektórych gatunków. Oustalet współpracował również z Janem Dybowskim, eksploratorem francuskiej Afryki i jednym z najważniejszych pionierów agronomii tropikalnej. Listy (łącznie pięć) Dybowskiego pisane z wyprawy z Sahary, Konga i Afryki Równikowej zawierają informacje dotyczące afrykańskiej fauny. Najczęściej towarzyszyły im przesyłki okazów zoologicznych. Ptaki przesłane przez Dybowskiego wystawiano w odrębnej sali, m.in. 33 gatunki ptaków syberyjskich. Dzięki jego zbiorom opisano wiele nowych gatunków i wysunięto szereg nowych hipotez zoogeograficznych m.in. teorię o równoleżnikowym charakterze zasięgów gatunków afrykańskich. Z wdzięczności dla polskiego przyrodnika Oustalet niektóre z nowych gatunków nazwał jego imieniem np. *Dybowska keomensis*, *Lagnotica dybowskii*, *Francolinus dybowskii*.

Wśród listów polskich zoologów należy także wymienić korespondencje entomologiczne jednego z najznamienitszych polskich naturalistów, Antoniego Wagi, adresowane do Guerina, dotyczące opisów nowych gatunków jak i szczegółów dotyczących etologii owadów i listy oraz autografy napoleońskiego oficera i wybitnego przyrodnika, Konstantego Tyzenhauza, dotyczące chrząszczy.

Zbadanie zasobów archiwalnych Narodowego Muzeum Historii Naturalnej w Paryżu może z pewnością dostarczyć wielu informacji dotyczących historii polskiej nauki. Należy żałować, że ta bogata kolekcja nie znalazła jak dotychczas szerszego zainteresowania wśród polskich historyków.

Piotr DASZKIEWICZ

LISTY DO REDAKCJI

Canberra, 22 marca 1996

Szanowny Panie Redaktorze,

W nr 115 *Zeszytów Historycznych* z 1996 r. przeczytałem list prof. J.B. Deręgowskiego, w którym dwukrotnie została podana błędna data zamordowania profesorów lwowskich przez hitlerowców (czerwiec 1941).

Profesorowie lwowscy zginęli 4 lipca 1941 r.

Z szacunkiem

Jerzy DROBISZEWSKI



30.03.1996

Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze 114 z 1995 r. *Zeszytów Historycznych* z dużym zainteresowaniem przeczytałem artykuł p. A. Misiuka pt. „Sojusze wywiadowcze II Rzeczypospolitej w latach 1918-1939” (s. 110-130).

Ze swej strony pragnę zasygnalizować istnienie jeszcze jednego tajnego sojusznika na froncie wywiadowczym na kierunku wschodnim. Chodzi o współpracę wzmiankowaną tylko przez autora (s. 116) między Oddziałem II a emigracją ukraińską tzw. petlurowcami. Ponieważ od lat prowadzę badania nad problematyką emigracji ukraińskiej w II Rzeczypospolitej, pragnę przytoczyć kilka wątków ze współpracy wywiadowczej.

Otóż 4 sierpnia 1926 prezydent URL, A. Liwyckij, wyśtosował memorandum na ręce Józefa Piłsudskiego z prośbą o możliwość aktywizacji emigracji na polu wojskowym. Strona polska podjęła współpracę i 11 lutego 1927 roku utworzono głęboko zakonspirowaną namiastkę ukraińskiego sztabu generalnego. Wzorem Oddziału II Sz.G.WP utworzono Sekcję II Informacyjną, która dzieliła się na 3 referaty:

wywiad – sołnik W. Niedajkasz

kontrwywiad – porucznik I. Fartusznyj

biuro studiów – sołnik W. Szewczenko

Z zachowanych archiwaliów za lata 1930-31 wynika, że zajmowano się głównie badaniem nastrojów ludności i przemyśleniami literatury niepodległościowej na sowiecką Ukrainę. Między 15 VI 1929 a 1 II 1931 przerzucono 6.500 egzemplarzy czasopism i 1.100 druków ulotnych. Dla zadań dywersyjno-partyzanckich odczuwano dotkliwie brak pieniędzy i wyszkolonych ludzi, choć w latach 1929-30 dokonano 42 rajdów zwiadowczych, a w 1931-36 Sekcja II sprawowała także opiekę nad 30 punktami kontaktowymi (22 w Polsce), utrzymywano łączność z okupowaną Ukrainą i prowadzono działalność kontrwywiadowczą wśród własnych szeregów. Sekcję II rozwiązano w 1936 roku.

Na zakończenie warto dodać, że w dziedzinie kontrwywiadu Ukraińcy naddnieprzańscy współpracowali z polskim kontrwywiadem (Wydział IIB) i Samodzielnymi Referatami Informacyjnymi Okręgów Korpusów. Na polu wywiadu ścisły kontakt z petrułowcami utrzymywała Ekspozytura nr 2 kierowana przez mjr. Edmunda Charaszkiewicza a podporządkowana bezpośrednio szefowi II Oddziału. Sporadyczne natomiast były kontakty z Wydziałem IIA – Referat „Wschód”, ekspozytura nr 5 we Lwowie (wywiad defensywny na USSR) – i Wydziałem III Studiów – Samodzielny Referat „Rosja” (wywiad ofensywny).

Wiadomości powyższe zaczerpnąłem z mojego referatu pt. „Ukraińsko-polska konspiracja wojskowa (1926-1939)” przygotowanego na III Zjazd Ukrainoznawców w Charkowie (26-29 VIII 1996), s. 1-3.

Warto także odnotować, że pod koniec kwietnia 1996 r. ukaże się dawno zapowiadana na polskim rynku naukowym książka p. prof. Andrzeja Peplńskiego „Polski wywiad wojskowy na Rosję”.

Z wyrazami szacunku

Robert POTOCKI

Ottawa, dnia 8 kwietnia 1996

Szanowny Panie Redaktorze!

Z wielkim zainteresowaniem przeczytałam artykuł Pani Marii Turlejskiej pt. „Przyczynek do losów prawników w latach 1935-1953” (*Zeszyty Historyczne* nr 115).

Nie wiem, czy przed wojną przynależność religijna decydowała o przyjęciu do sądownictwa. Pamiętam natomiast, że w Wilnie był Sędzia apelacyjny, mahometanin, a Sędzią Sądu Najwyższego był Emil Rapapport, osoba o wielkim autorytecie prawniczym. Nie wiem dlaczego wśród Palestry nazywano go Tapirem.

Wyjechałam z Polski w ostatnich dniach kwietnia 1940 r. Mogę być tylko świadkiem tego, co przeżyłam w ciągu tych kilku miesięcy.

Otóż zaraz po kapitulacji, chyba jeszcze przed triumfalnym wjazdem Hitlera do Warszawy, Niemcy zaczęli się interesować adwokaturą warszawską. Jako warunek weryfikacji stawiano oświadczenie, że kandydat nie pracował politycznie przeciwko Rzeszy. Do tego nikt nie chciał się przyznać. Dziekanem wówczas był Mecenasek Leon Nowodworski i chyba to on doprowadził do porzucenia przez Niemców tego warunku i zgodzono się na pracę polityczną ogólną.

Niemcy mianowali komisarzem Rady Adwokackiej dr. Jana Podkomorskiego, który dzielnie wykonywał swą trudną funkcję. Bezapelacyjnie Niemcy wyłączyli z weryfikacji adwokatów Żydów. Rozpoczęła się weryfikacja. Byliśmy wzywani przynajmniej trzykrotnie na weryfikację, która w swej formie nie odbiegała od przesłuchania sądowego. Przy tych przesłuchaniach był zawsze obecny dr Podkomorski. Językiem przesłuchania był język polski.

W pierwszych dniach kwietnia moja sprawa została zakończona i bodajże 20 kwietnia miałam stawić się w zajęętym przez Niemców lokalu Ministerstwa Spraw Zagranicznych, nazywanym przez nich Pałacem Brühla, aby uzyskać prawo wykonywania zawodu adwokata.

17 kwietnia 1940 roku, chcąc pożegnać się z koleżankami i kolegami, poszłam do lokalu Związku Adwokatów Polskich, gdzie przy drzwiach przywitał mnie umundurowany gestapowiec pytając: „*Sind Sie Adwokat?*” Mając przy sobie przedwojenną legitymację adwokacką musiałam odpowiedzieć: „tak”. Na miejscu spotkałam grupę około 30 osób, złożoną z adwokatów, adwokatów oraz kilku osób z ich rodzin. Znalazła się tam organizatorka kawiarni adwokackiej żona Mecenasów Feliksa Zadrowskiego i kilka innych osób, których nazwisk nie pamiętam. Z adwokatów Mecenasek Ludwik Domański, prezes

Naczelnej Rady Adwokackiej, Aleksandra Stypułkowska.

Po przesłuchaniu udało mi się przekonać Niemców, że muszę wrócić do domu, bo jestem jedyną opiekunką mojej dwuletniej córki. Eskortowana przez gestapo zostałam odwieziona do domu. 25 kwietnia udało mi się z córką wyjechać na Zachód. Zachęcam świadków prześladowania prawników przez Niemców do dorzucenia swych doświadczeń do „Przyczynku” p. Turlejskiej. Z ofiar, których nazwiska pamiętam mogę zacytować tylko Mecenasa (Oświęcim) Stefana Niebudka oraz Mecenasa Jana Pożaryskiego przy przechodzeniu granicy.

Będąc na Palmirach znalazłam tam groby Mecenasa Czesława Jankowskiego i Jana Wernera, obaj rozstrzelani 20 czerwca 1940 roku.

Łączę wyrazy szacunku i poważania

K. Irena RUSZKOWSKA



Londyn 13 marca 1996 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

Dziękuję za przysłanie najnowszych *Zeszytów Historycznych* (nr 115), w których ukazało się moje omówienie wspomnień Felicji Konarskiej. W omówieniu tym pragnę skorygować parę nieścisłości w przypisach na str. 163. W przypisie 8 powinno być, iż Berlinga z Małachowki (a nie z „Małachowskim”, jak podano) skierowano do 5 Dyw. Piech. A przypis 10 odnosi się do książki Anieli Dziewulskiej o Polkach w łagrach sowieckich, którą omówiłem w *Zeszytach Hist.* nr 113.

Poza tym, jeżeli chodzi o „List do redakcji” Józefa Lewandowskiego trzeba by wyjaśnić, iż duże ilości Żydów (około 4 tysięcy) przyjęto do Wojska Polskiego w Sowietach przed grudniem 1941 r., czyli przed zakazem sowieckim rekrutowania Żydów, Ukraińców i Białorusinów. Natomiast po tym zakazie tylko niewielu Żydom udało się dostać do dywizji organizowanych później na południu. Dalsze dane dotyczące tych spraw można znaleźć na przykład w mojej książce „W sowieckim osaczeniu 1939-1943”.

O ile chodzi o opinie Witolda Kamienieckiego o uczniach Handelsmana nie zdołał pan Lewandowski mnie przekonać, iż są one niesłuszne. Zbyt wiele czytałem i słyszałem – na wykładach tu w Londynie – sowieckich naświetleń polskiej historii ze strony historyków wychowanych przez uczniów Handelsmana.

Nawiązując do angielskiej wersji wspomnień Jana Morelewskiego podanej na str. 159, chciałbym przypomnieć, iż moje omówienie tego wydania (niezbyt zresztą pochlebne) ukazało się w *Zeszytach Historycznych* nr 22 w 1972 r.

Wreszcie w związku ze „Szkołą szpiegów” Jerzego Straszaka, w której byłem kiedyś przez tydzień obsługując radiostację, warto by przypomnieć, iż popularnie nazywano ją „Kursiem gotowania na gazie”. Natomiast jej oficjalna, zakonspirowana nazwa brzmiała „Kurs doskonalący administrację wojskową”. Zdarzyło się kiedyś, że młody podporucznik skierowany do tej Szkoły, zabłądził w otaczającej, ładnej dzielnicy Glasgow, pomimo iż przedtem „zakuł” plan na pamięć. Cóż za tragedia. Kandydat na wywiadowcę od razu na początku tak „zblamował się”. Nie mając innego wyjścia zwrócił się do szkockiego policjanta, usiłując przetłumaczyć na angielski oficjalną nazwę kursu, co nie było proste. Szkot nie mógł zrozumieć, aż wreszcie krzyknął triumfalnie:

– *You want the Polish spy school.* (Chcesz polską szkołę szpiegowską). *It's there* (To tam) – i pokazał okazały dom.

Pozostaję z szacunkiem

Z.S. SIEMASZKO



18 marca 1996 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze 114 *Zeszytów Historycznych* p. G. Mazur pisze o ostatnich kilku miesiącach działalności AK oraz o początkach nowego podziemia („Agonia Armii Krajowej 1944-1945”).

Okres ten budzi wśród historyków wiele kontrowersji ze względu na skąpą dokumentację, a istniejąca dokumentacja (archiwa bezpieki i ówczesnych sądów) budzi wiele zastrzeżeń co do ich rzetelności. Dodatkowe zamieszanie budzą prace wydane w PRL, kiedy to historię pisano na zamówienie. Dane liczbowe oparte są na ocenach (często bardzo subiektywnych), a relacje o zdarzeniach – oparte na pamięci – nie zawsze zgodne z rzeczywistością. Jak wiemy, pamięć ludzka jest zawodna i... wybiórcza. Szczególnie po kilkudziesięciu latach.

Do artykułu p. Mazura zakradło się kilka nieścisłości. Są to może rzeczy drobne, ale właśnie z tych drobnych okrucich przyjdzie historykom ułożyć mozaikę tego czasu, która będzie możliwie wiernie odtwarzała dzieje tego burzliwego rozdziału historii.

Autor pisze o stratach AK i Niemców w czasie „Burzy” na terenie centralnej Polski, wykazując przy tym – i słusznie – że do tych danych należy podchodzić bardzo ostrożnie. W moim posiadaniu są dokumenty dotyczące danych liczbowych I batalionu 72 pp. wystawione przez Obwód AK Kozienice.

Batalion liczył 498 żołnierzy w tym 11 oficerów, 50 podoficerów, 60 Gruzinów, jako pluton taborowy. Tabory składały się z 8 wozów, 12 koni i 1 wozu sanitarnego. Opiekę lekarską sprawowało 2 lekarzy (jednym z nich był J. Aleksandrowicz, późniejszy profesor UJ) oraz jedna sanitariuszka. Uzbrojenie znośne. Każdy żołnierz miał broń. Oddział był wyposażony w 1 karabin maszynowy oraz 4 piaty.

Pierwotnym założeniem był marsz na odsiecz Warszawie. Jednak z różnych powodów okazało się to niewykonalne i batalion otrzymał rozkaz maszerowania na tak zwaną „letnią koncentrację”. Tak jest nazwana ta akcja we wszystkich dokumentach w moim posiadaniu. „Burza” nie jest tam wspomniana. Wymarsz nastąpił w dwóch rzutach. Pierwszy rzut wymaszerował 22 sierpnia o zmierzchu. Drugi rzut wymaszerował w dniu 25 sierpnia.

Batalion powrócił z letniej koncentracji na teren obwodu w dniu 6 października 1944 r. Jego stan liczbowy wynosił 288 żołnierzy. Na różnicę między stanem pierwotnym a końcowymłożyło się wiele czynników: Gruzinów przekazano innym oddziałom, zaginieli w rezultacie walk z nieprzyjacielem (używam tego terminu świadomie, ponieważ Niemcy używali do zwalczania partyzantów także własowców), następowały dezercje a także śmierci w walce. Te ostatnie straty okazały się najmniejsze. W rezultacie całego okresu walk straty oddziału wyniosły 6 zabitych i 9 rannych. Większość „strat” to zaginieli, którzy wrócili na teren obwodu. Pod koniec roku pod bronią było 43 żołnierzy. Dokumenty podają, że dla tyłu Komenda Obwodu zorganizowała „gwiazdkę”. Resztę urlopowano.

Kilka informacji dotyczących zdarzeń wymaga także sprostowania.

Akcja na areszt Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa w Kozienicach miała miejsce, tak jak podaje autor, w nocy z 5/6 maja 1945 r. Niestety nie osiągnięto zasadniczego celu – uwolnienia więźniów z aresztu UB. Uwolniono natomiast 10 więźniów z aresztu MO. Akcję wykonał oddział pod dowództwem „Graba” (Władysław Molenda), który uprzednio był dowódcą I bat. 72.

Akcja na więzienie w Radomiu miała miejsce 9 września 1945 r., a nie 8/9 września. Akcja zaczęła się między godz. 21.00 a 22.00 i przebiegała niezwykle sprawnie. Więzienie zdobyto w ciągu kilkunastu minut. W akcji brało udział około 150 ludzi, z b. AK, pod dowództwem „Harnasia” (S.J. Bembiński, wybrany

senatorem woj. radomskiego w roku 1989). W rezultacie akcji uwolniono około 300 więźniów, w tym około 50 osób oskarżanych o działalność podziemną.

Pan Mazur podaje, że instrukcje „rozładowania lasu” płk Rzepecki wydał w dniu 31 lipca 1945 r. a rozkaz 6 sierpnia. Ja dowiedziałem się o poleceniu „rozładowania lasu” w dniu 6 lipca na odprawie w podradomskiej miejscowości Makowiec. Polecenie przekazał mi Jan Tabeau („Doktór”), bliski współpracownik b. inspektora AK Radom ppłk. Zygmunta Żywockiego („Wujek”, „Kostur”). Przy okazji dowiedziałem się, że była to pierwsza wiadomość od zwierzchnich władz w ciągu ostatnich kilku tygodni. Jak wiemy obecnie władze podziemia były w owym czasie targane różnego rodzaju rozterkami. Pragnę dodać, że do daty odprawy nie mam wątpliwości, ponieważ w kilka godzin później przypadkowo aresztowała mnie bezpieka. A takie rzeczy się pamięta.

Kończąc, pragnę poruszyć jeszcze temat przyczyn powstania podziemia w powojennej Polsce.

Oczywiście temat jest niezwykle skomplikowany i nie można przypisać tego procesu jednemu czynnikowi. Na powstanie podziemia złożyło się wiele czynników. Jednym z nich były prowokacje nowej władzy, którym historycy w przeszłości nie mogli poświęcać uwagi, a obecnie nie jest ten czynnik należycie badany. A właśnie ten czynnik miał niepoślednie znaczenie w początkowym okresie. A następnie, raz uruchomiony proces stał się niezależny od inicjatorów i uczestników. Proces ten miałem możliwość obserwować na terenie b. Obwodu AK Kozienice.

Okolo połowy marca 1945 r. bezpieka zaczęła aresztować szeregowych członków b. AK. Przeważnie byli to b. partyzanci. Część aresztowanych zwalniano po „badaniach”. Kiedy koledzy zobaczyli jakie są skutki tych „badań” natychmiast znikali z domów i zaczęli się łączyć w luźne grupy. Byli przełożeni tych ludzi znaleźli się w trudnej sytuacji. Pozostawienie tych grup swojemu losowi groziło przekształceniem ich w bandy rabunkowe, które by działały na konto AK. Przełożonym nie pozostawało nic innego jak objąć kierownictwo tych grup. Tak powstawało nowe podziemie.

Dla nowych władz ta sytuacja była bardzo wygodna. Wszak to AK stało na przeszkodzie powrotowi do normalności, której pragnęła olbrzymia większość społeczeństwa zmęczonego okupacją. Podziemie wprowadzało zamęt, przedłużało wojnę i niepewność. Przy okazji stworzono syndrom obłożonej twierdzy jakże pomocny w utrwalaniu każdego nowego porządku narzucanego siłą. Pomaga zewrzeć szeregi, a „organa” wypożyczyć w odpowiednią władzę i środki. Same korzyści. Wszak bez podziemia byłoby trudniej przekonać społeczeństwo o zaletach nowej władzy. Eliminując podziemie pozbywało się także

potencjalnych przeciwników w przyszłości.

Przeciwników nowego porządku postawiono w niezwykle niewygodnej sytuacji. Ale właśnie o to chodziło. Władza doskonale zdawała sobie sprawę z mizernego poparcia. Toteż musiała zidentyfikować się z czynnikiem, który był bliski społeczeństwu – spokojem. Szczególnie, że to społeczeństwo – w tym czasie – nie darzyło nowej władzy zaufaniem. Zapewnienie spokoju miało na celu przełamanie nieufności i zdobycie poparcia.

Łączę wyrazy poważania

K. STYŚ



Kraków, 8 IV 1996 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Z prawdziwą radością przeczytałem uwagi do mego artykułu („Agonia Armii Krajowej 1944-1945”, *Zeszyty Historyczne*, 1995, z. 114), autorstwa p. Kazimierza Stysia. Rzadko się ostatnio zdarza, aby – jak to w tym przypadku ma miejsce – odnosiły się tego typu polemiki do materii historycznej, uzupełniały znane fakty nowymi szczegółami, pozwalały wysnuwać nowe wnioski i formułować nowe tezy. List p. K. Stysia uzupełnia nowymi szczegółami narysowany przeze mnie obraz; cieszy mnie, że w ten sposób znamy więcej szczegółów tamtych wydarzeń. I jeszcze jeden powód do satysfakcji: fakt, że moje teksty spotykają się z reakcją czytelników, nie przemijają bez echa.

Parę kwestii chciałbym jednak podnieść, korzystając z tej okazji. Przede wszystkim muszę zaznaczyć, że opisanie wszystkich wydarzeń lat 1944-1945 (a nawet nieco później, do 1947-1948 r., kiedy to zlikwidowane zostały przez UB ostatnie struktury organizacyjne WiN-u, a na „placu boju” został tylko prowokacyjny V Zarząd Główny WiN-u), wymaga daleko większej objętości i nawet nie jestem przekonany, czy cały *Zeszyt Historyczny* by na to wystarczył. Wszystko to: „Burza”, aresztowania i zesłania przez NKWD, funkcjonowanie WiN-u i rozbięcie go przez UB wymagałoby obszernej monografii, opartej na źródłach z wielu archiwów (polskich, niemieckich, postsowieckich itd.) Z konieczności wspominałem więc o najważniejszych wydarzeniach, starając się wyeksponować te fakty, które do tej pory były nieznane, bądź też błędnie przedstawiane.

Sprawa instrukcji „rozładowania lasów”. Proces ten był

bardziej złożony i bardziej długotrwały. Mianowicie już po powstaniu warszawskim zaczęto przeprowadzać pierwsze demobilizacje. Jesienią 1944 r. ma miejsce urlopowanie setek żołnierzy oddziałów partyzanckich AK, których istnienia Niemcy nie mogli dłużej tolerować, jako działających na bezpośrednim zapleczu frontu na Wiśle. Następnie w wyniku rozkazu gen. L. Okulickiego z 19 I 1945 r. rozwiązującego AK, następuje kolejna masowa demobilizacja. Nawiasem mówiąc, okres grudnia 1944 r. i stycznia 1945 r. był czasem swego rodzaju bezradności koncepcyjnej kierownictwa podziemia. Realizacja „Burzy” okazała się tylko polityczną demonstracją i nie przyniosła żadnych rezultatów politycznych. Kierownictwo podziemia znalazło się w sytuacji nie do pozazdroszczenia: nie miało możliwości podjęcia jakichkolwiek skutecznych posunięć militarnych i politycznych. Rozważano najbardziej fantastyczne warianty dalszego postępowania, na przykład był projekt przetrzucenia oddziałów partyzanckich 1 pułku strzelców podhalańskich AK do Austrii, aby połączyć się w ten sposób z Anglosasami. To wszystko było nierealne i bez perspektyw.

Kolejne demobilizacje zarówno struktur konspiracyjnych, jak i działających grup partyzanckich miały miejsce w dalszych miesiącach. Często na miejsce już istniejących powstawały nowe, „dzięki” represjom ze strony UB. Podniósł ten problem w swoim liście p. K. Styś, ujmując go bardzo precyzyjnie, jak już jednak wspominałem, wymaga on dalszej, szczegółowej analizy. Całkowicie się z nim zgadzam, jeśli chodzi o refleksje na temat konieczności rozbicia przez władze komunistyczne AK i resztek podziemia. Jako potencjalni przeciwnicy, zostali zgnieceni przez poważne, przeważające siły Sowietów i nowej władzy. Sprzymierzeńcem nowych władz okazały się w pełni zrozumiałe, ludzkie tęsknoty za spokojem i normalnością. Trzeba przy tym zdawać sobie sprawę, że choć wielu ludzi miało świadomość, że Polska nie jest suwerenna, że jest w bardzo poważnym stopniu podporządkowana ZSSR, to z drugiej strony były to zupełnie inne warunki egzystencji, niż za okupacji niemieckiej: otwarte były szkoły wszystkich szczebli, teatry i inne instytucje kulturalne, zniknął koszmar godziny policyjnej i nieustanne zagrożenie życia ze strony Niemców. Trzeba powiedzieć jasno: Polska II wojny światowej nie wygrała, po jej zakończeniu wyłonił się nowy organizm państwowy i polityczny, i konieczne było dostosowywanie się do niego i do nowych warunków egzystencji i funkcjonowania. Jest to już jednak zupełnie inne zagadnienie. Natomiast wśród zwycięzców wojny znalazł się J. Stalin i kierowany przez niego ZSSR; wyciągając maksymalne korzyści z wojny, podporządkowując sobie Europę Środkowo-Wschodnią, musiał on złamać opór polskiego podziemia. W tej sytuacji było ono skazane na

przegraną, jak też jego zwierzchnicy na obczyźnie. Zdaję sobie sprawę, że te moje stwierdzenia mogą być cokolwiek obrazoburcze i budzić protest, zwłaszcza uczestników wydarzeń, ale nikt nie stwierdzi, że w 1944-1945 r. Polska odniosła istotne sukcesy polityczne. Natomiast udział podziemia w walce z okupantem niemieckim był ważkim kapitałem moralnym. Że nie można było przekuć go w kapitał polityczny, to już było niezależne od żołnierzy.

Na zakończenie jeszcze drobna poprawka: wymieniona w przypisie nr 3 wspomnieniowa książka A. Pilcha nosi tytuł „Partyzanci trzech puszczy”, a nie „Polacy trzech puszczy”.

Łączę wyrazy szacunku

Grzegorz MAZUR



Drogi Panie Redaktorze!

W nr 115 *Zeszytów Historycznych* p. Z.S. Siemaszko nawiązując, w liście do Redakcji, do omówionej książki Macieja Józefa Kwiatkowskiego na temat audycji „Polskiego Radia” w powstańczej Warszawie (*Zeszyty Historyczne* nr 113) pisze, że „celem działania rozgłośni radiowej jest nie tylko samo nadawanie, co odbieranie tego nadawania...” i następnie, celem uzupełnienia tego omówienia przytacza wypowiedzi, jakie ukazały się na łamach londyńskiego *Tygodnika Polskiego*, odnoszące się do rozgłośni „Błyskawica”.

Otóż p. Siemaszko pomylił radiostacje, bo książka Kwiatkowskiego i jej omówienie, o którym wyżej, dotyczyło „Polskiego Radia” a nie „Błyskawicy”, co warto przypomnieć i podkreślić, gdyż dość często myli się, a niejednokrotnie w ogóle nie wie, że podczas Powstania działały w Warszawie dwie rywalizujące ze sobą radiostacje: „Polskie Radio”, wywodzące się z przedwojennej ekipy, oraz „Błyskawica” z odrębnym zupełnie zespołem.

Zbliżone pomyłki spotyka się również w stosunku do „Polskiego Radia” i sekcji polskiej w BBC z czasów wojny. Podczas gdy „Polskie Radio”, nawiązujące również do okresu przedwojennego, formalnie było organem naszego rządu w Londynie, sekcja w BBC podlegała całkowicie kierownictwu brytyjskiemu. W rzeczywistości jednak programy obydwu rozgłośni podlegały cenzurze angielskiej.

Łączę najlepsze pozdrowienia

Tadeusz WYRWA

SPROSTOWANIA

W artykule p. Romana T. Gerlacha „Ani niedźwiedzi, ani lasu, ani nic” zamieszczonym w 115 numerze *Zeszytów Historycznych*, nastąpiło zniekształcenie jednego ustępu, mianowicie na str. 6 ostatni akapit powinien brzmieć następująco: „Przez cały październik 1942 r. odbywały się pertraktacje ŻOB-u z partiami politycznymi, w których ŻOB sprzeciwiał się uznaniu ich autorytetu nad nim, a one słuzeniu jako płaszczyk”.

●

W artykule Janiny Hery: „Dlaczego ob. Korzeniewski kłamie?” na str. 187, przypis 35 ma być: List do *Życia Literackiego* (nie *Literatury*).

Na str. 188 ma być „Dardziński” (nie Derdziński)/

Na str. 191 ma być Adolf (nie Alfred Dymsha).

●

W artykule Marii Turlejskiej pt. „Przyczynek do losów prawników polskich w latach 1935-1953” na str. 22 w wierszu 4 od dołu ma być: studentów czyli 6% (a nie 62%).

SPIS TREŚCI

Czesław Brzoza: <i>Zapomniana armia. Polskie oddziały wartownicze w Europie (1945-1951)</i>	3
Andrzej Paczkowski: <i>Cenzura 1946-1949: Statystyka działalności</i>	22
Tomasz Mianowicz: <i>Stan wyższej konieczności</i>	58

WSPOMNIENIA

Nika Kłosowska-Wohlman: <i>Dwa lata więzienia</i>	83
Anatol Kobylński: „ <i>Mamusiu – czy to Ruscy?</i> ”	134

RECENZJE

Piotr Wandycz: <i>Nowe książki</i>	151
Tadeusz Wyrwa: <i>Historycy o agresji 17 września 1939</i>	158
Emanuel Halicz: <i>Zachód a granice Polski 1920-1940</i>	162
Krzysztof A. Kuczyński: <i>Uchodźcy polscy w Rumunii</i> .	166
Władysław Zajewski: <i>Dyplomacja Prus, Austrii i Rosji wobec Konstytucji 3-go maja 1791</i>	170
<i>Nadestane nowości wydawnicze</i>	175

OKRUCHY HISTORII

Andrzej Stach: <i>Polski „Urząd Gaucka”</i>	177
Piotr Wandycz: <i>Konfederacja polsko-czechosłowacka: dokumenty</i>	186

Tadeusz Wyrwa: <i>Audycje radiowe nadawane z Londynu</i>	190
Józef Kleszczyński: <i>Świadkowie historii: Wiesław Do- maniewski</i>	210
<i>Mord katyński w dokumentach SOE</i>	214
Piotr Daszkiewicz: <i>Pamiętki polskie w zbiorach manu- skryptów Narodowego Muzeum Historii Natural- nej w Paryżu</i>	219

LISTY DO REDAKCJI

Jerzy Drobiszewski: <i>Sprostowanie daty zamordowania profesorów lwowskich przez hitlerowców</i>	228
Robert Potocki: <i>Uwagi na marginesie artykułu p. A. Misiuka (Zeszyty Historyczne Nr 114)</i>	228
K. Irena Ruszkowska: <i>Uwagi do artykułu Marii Turlej- skiej pt. „Przyczynek do losów prawników w latach 1935-53” (Zeszyty Historyczne Nr 115)</i> . .	230
Z.S. Siemaszko: <i>Uwagi na temat nieścisłości w arty- kułach zamieszczonych w Zeszytach Historycznych Nr 115</i>	231
Kazimierz Styś: <i>Uwagi na temat artykułu Grzegorza Mazura pt. „Agonia Armii Krajowej 1944-1945”</i> 232 (Zeszyty Historyczne Nr 114)	
Grzegorz Mazur: <i>Odpowiedź na list Kazimierza Stysia</i> 235	
Tadeusz Wyrwa: <i>Sprostowania błędów w omówieniu przez Z.S. Siemaszkę książki Macieja Józefa Kwiatkowskiego (Zeszyty Historyczne Nr 115)</i> . .	237
<i>Sprostowania: R.T. Gerlach; J. Hera; M. Turlejska</i> .	238



Towarzystwo Obiektów i Archiwum
Instytutu Literackiego w Paryżu